

ANNA ROZENBERG

Nawet najgęstsza sieć kłamstw nie przysłoni prawdy

# WSZYSTYCY UMARLI



**WSZYSCY  
UMARLI**



ANNA ROZENBERG

# WSZYSCY UMARLI





Copyright © Anna Rozenberg, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Redaktorzy prowadzący: Anna Rychlicka-Karbowska, Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Joanna Zalewska

Redakcja: Aleksandra Deskur

Korekta: Marta Akuszevska, Anna Nowak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografia na okładce: © Maria Ilves | Unsplash

Fotografia autorki na skrzydełku: © Dominik Tamioła

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67176-37-8

**CZWARTA STRONA**

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



Moim wspaniałym Rodzicom





## PROLOG

Do świadomości przywraca mnie pulsujący w głowie ból. Walcząc z nim, zaciskam mocno powieki. I tak nie mam na co patrzeć. Wilgotna od łez opaska odbiera mi tę możliwość. Jestem jednak pewna, że otacza mnie nieprzenikniony mrok.

Taśma naklejona na usta szarpie delikatną skórę, gdy tylko próbuję krzyknąć, więc przestaję po drugiej próbie. Zresztą i tak nikt mnie nie usłyszy. Ryk silnika i szum opon przykrywają każde błaganie nieprzeniknioną warstwą. Bagażnik przesiąknął moim strachem. A może tak pachnie krew, która zastygła mi na twarzy i spętanych sznurem rękach i kostkach?

Modłę się, by samochód nigdy się nie zatrzymał. Póki jedzie, oprawca jest daleko, nie może mnie dotknąć, skrzywdzić. Ale wraz z przerażeniem pęcznieje we mnie świadomość, że nie będziemy jechać wiecznie.

Nie wiem, ile mija czasu. Opętane trwogą minuty zmieniają swą długość. Stajemy.

Zaciśniętą ze strachu piersią próbuję złapać kolejne oddechy, nie wiedząc, który będzie tym ostatnim. Zwykle kojąca cisza teraz odbiera mi resztki nadziei.

Zgrzyt klapy bagażnika i silne szarpnięcie za ramię. Stoję, choć wydaje mi się, że w pionie utrzymuje mnie tylko paraliż.

Szum morza szepcze przerażająco spokojnie, że to koniec.

Na szczęście uderzenie odbiera mi świadomość.



# ROZDZIAŁ I

Sobota, 30.11.2013, wieczór

Tego roku miasteczko Woking gwałtownie zrzuciło lekki jesienny płaszcz i włożywszy gruby kożuch, zapadło w sen zimowy. Poznikały nie tak dawno jeszcze rozstawione przed restauracjami stoliki i parasole, a mieszkańcy, jakby zapędzeni silnymi podmuchami lodowatego wiatru, pochowali się w domach.

Inspektor David Redfern mijał puste ulice, delektując się przestrzenią, której nie sposób zaznać tu latem. Stare kamienice przy Guildford Road, gdzie niegdzie rozświetlone punkcikami okien, spowijała mgła podszyta dymem z kominków, który lekko drażnił nos i oczy. Mroźne powietrze powoli przenikało przez rękawiczki i zaczynało kłuć w palce, i Redfern pomyślał, że zaczyna się dla niego trudny czas. Z tym większą przyjemnością wszedł do The Sovereigns Pub, który tętnił nie tylko gwarem, ale i ciepłem. Wszystkie złe myśli zatonęły w falach powitań i radosnych okrzyków kolegów, którzy przyszli na jego przyjęcie. Pierwszy raz, odkąd przeniósł się do Woking, poczuł się zaakceptowany, a może nawet i lubiany. Redfern odwzajemniał uśmiechy, odpowiadał zdawkowo na pytania o samopoczucie i powoli brnął do baru wśród morza twarzy, z których nie każdą kojarzył.

Pierwszy precisnął się Tinney, uzbrojony w dwa pokale. Uśmiechał się szeroko i zanim Redfern zdążył zdjąć kurtkę, podał mu jeden z nich.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że się zrywasz, Dave – powiedział, kiedy wreszcie usiedli przy stoliku, który zarezerwowali parę dni temu. – Co będziesz robił? Założysz biuro detektywistyczne czy jak?

– Rozważałem taką ewentualność, ale chwilowo daję sobie luz.

– Pierdzielisz. – Tinney upił łyk piwa i wytarł dłonią wąs z piany, która została mu pod nosem. – Jak zareagował McMahon?

– Pozytywnie – powiedział z ironią Redfern. – Odmówił mi *garden leave* i zamiast puścić mnie od razu, kazał mi służyć do końca okresu wypowiedzenia. Na szczęście mam w zanadrzu jeszcze parę dni urlopu.

– To wykorzystasz je na kaca, bo o własnych siłach stąd nie wyjdiesz – oznajmiła sierżantka Summer Winter, która właśnie się do nich przysiadła. Redfern był coraz bardziej zadowolony z jej obecności w zespole. I choć wciąż brakowało mu Lindy, od kilku tygodni przebywającej w szpitalu odwykowym, musiał przyznać przed samym sobą, że młoda sierżantka dobrze ją zastępuje.

– Sądząc po twoim drinku, to raczej ciebie będziemy stąd wynosić – skwitował ze śmiechem Tinney, patrząc na stojący przed nią szklany dzban, w którym w pomarańczowym płynie kołysały się plasterki owoców i ogórka.

– No, jeszcze zobaczymy, kto kogo wyśle na zieloną trawkę. – Summer się zaśmiała i naląła sobie kolejną szklankę *pimm's no. 1 cup*, uważając, by nie wpadło do niej zbyt dużo owoców.

– Nie znam żadnego gliny, który dostałby *garden leave* i mógł przez cały okres wypowiedzenia zbijać bąki w domu – rzekł Johanes, którego nalana czerwona twarz wcisnęła się między Puskę a Summer.

– Ja znam takich, co i bez tego zbijają bąki. – Ted zajął miejsce koło Redferna i postawił przed sobą margaritę.

– Uważaj sobie, panie plastikowy chirurg, bo się zamienisz miejscami z twoimi pacjentami – obsztorcował patologa Johanes i zniknął w tłumie tak szybko, jak się pojawił.

– Wrażliwiec się znalazł – skwitował Ted i upił łyk z kieliszka.

– Dlaczego chirurg? – zapytał Redfern zaciekawiony.

– A bo ja wiem? Johanes nie odróżnia baleronu od baleriny. – Ted zaśmiał się skrzekliwie, ale nikt nie podchwycił żartu. Niezręczną ciszę przerwał Tinney:

– Wznoszę toast za inspektora Redferna, który opuszcza nasz okręt! Zdrowie, Dave!

Redfern wstał, a cały pub zatrzęsł się od wtórujących Puszcze policjantów. Johanes najwyraźniej nie stracił rezonu, bo zaintonował *Leave Her, Johnny* i po chwili z każdego gardła wydobywał się śpiew.

– Trzeba upamiętnić tę chwilę! – krzyknęła Summer. Wyciągnęła z torebki telefon i zaczęła nagrywać.

Redfern dał się porwać atmosferze. Wstał i uśmiechając się szeroko, zaśpiewał z resztą współtowarzyszy starą szantę.

Kiedy pub ponownie wypełniły gwar rozmów i pobrzękiwanie szkła, Ted zwrócił swoją posiekaną zmarszczkami twarz w stronę Redferna.

– No więc dowiemy się, czym będzie się zajmować słynny inspektor na emeryturze?

– Będę od was odpoczywać. – David dopił piwo i z hukiem odstawił szklanekę.

Wkrótce przy stoliku zrobiło się tłoczno i Redfern pomyślał, że choć jest gwiazdą wieczoru, musi choć na chwilę odetchnąć. Poza tym miał ochotę zapalić. Przed pubem zastał McMahona, który stał do niego tyłem i przyglądał się przejeżdżającemu sportowemu audi. Redfern nie był pewien, czy obłok unoszący się nad głową przełożonego to para, czy dym. Dopiero gdy podszedł bliżej, poczuł zapach tytoniu.

– Nie wiedziałem, że masz tylu fanów – odezwał się Gregory, gdy Redfern zbliżył się do krawędzi jezdni.

– Jestem tak samo zaskoczony – odparł i sięgnął do paczki, którą McMahon trzymał w dłoni. Greg poczęstował go papierosem i po chwili obaj stali spowici błękitną chmurą.

– Jak się sprawy mają? – Redfern się zaciągnął, czując, jak nikotyna wchodzi w reakcję z procentami, które niedawno przyjął. Napływająca błogość sprawiła, że musiał oprzeć się o pobliską latarnię.

– Mógłbym cię zapytać o to samo – odparł McMahon, wpatrując się w odległą o kilkadziesiąt metrów fasadę komendy Woking. – Co kombinujesz?

– Nic, po prostu mam tego dość. – Redfern wzruszył ramionami.

– To weź urlop.

– Przecież jestem na urlopie. Wziąłem go zaraz po zamknięciu sprawy Ronalda Rudda.

– Dobrze wiesz, że sprawa Ronalda Rudda otworzyła cały kanał ściekowy. Naszym zadaniem jest wyłapać karaluchy, które z niego uciekają. Wybacz, Dave, ale nie mogę przyklasnąć twojej decyzji.

– Nie oczekiwałem okłasków. Wiesz, że mam swoje powody.

– Wiem, że szukasz Sokolińskiej – rzekł sucho Greg. – Ale jako glina powinieneś myśleć jak glina. Priorytety, Dave, priorytety! A w tej chwili najważniejsze jest znalezienie morderców dzieci.

McMahon miał rację, śmierć Ronalda Rudda, porywacza polskiej dziewczynki, wcale nie zakończyła sprawy. Redfern odpłynął myślami do czasu sprzed prawie dwóch tygodni, kiedy zwykły przypadek pomógł im odnaleźć dziecko, które w biały dzień zostało uprowadzone przed własnego domu. Dwie sprawy, które wtedy spadły na wydział policji kryminalnej w Woking, splotły się w ciąg, który zaskoczył nawet jego.

Redfern wiedział, że wszystko zaczęło się od Ronalda Rudda, który dotarł do ludzi odpowiedzialnych za handel żywym towarem i zlecił im porwanie pięcioletniej Izy Wolańskiej. Dziewczynka przypominała mu wnuczkę, kilka lat wcześniej porwaną i zamordowaną prawdopodobnie przez tych samych ludzi. Rudd w swym szaleńczym planie miał zamiar dotrzeć do jądra mafii i zabić jej członków.

Po części mu się to udało. Podczas przekazania małej Polki na mokradłach postrzelił i porwał Malika Tayyaba – płotkę, która działała na zlecenie mafii. Następnie tak długo go torturował i okaleczał, aż ten wyznał, kto kazał mu porwać dziewczynkę. Ronald Rudd w swej krwawej zemście pojechał pod osłoną nocy do domu Muztara Abbasiego i jego żony. Zakradł się do sypialni i zamordował ich, odcinając im głowy. O jego

złapaniu zdecydował przypadek, któremu dopomógł posterunkowy Tinney. Tamtej nocy sprawy potoczyły się bardzo szybko.

Redfern bezwiednie potarł ramię. Wciąż odczuwał skutki wspinaczki do okna domu Rudda. To wywołało w nim kolejną falę wspomnień. Słyszał echa słów, które wypowiedział wtedy mężczyzna. Wspominał o agencie Adrianie Bonesie – to on najprawdopodobniej był punktem zapalnym wszystkich wydarzeń, które wstrząsnęły w ostatnim tygodniu Woking. Im dłużej Redfern grzebał w tej sprawie, tym głębiej był przekonany, że udział jego tragicznie zmarłego przyjaciela w strzelaninie nie był przypadkowy. Redfern miał wrażenie, że dostał się w tryby maszyny, której mechanizm nie do końca rozumiał. Dlatego musiał zdjąć mundur i zagłębić się w ciemną stronę podlondyńskiego miasteczka.

– Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, dlaczego syn Muztara Abbasiego uciekł w noc morderstwa rodziców – powiedział Redfern. – Co go tak bardzo wystraszyło, że zabrał ciężarną dziewczynę i zaryzykował lot małym samolocikiem do Europy?

– To najbardziej bezsensowna śmierć w całej tej sprawie – stwierdził McMahan, przypominając tym samym, że próba przeprawy piperem nad kanałem La Manche zakończyła się dla pary tragicznie. – Myślę, że wszystko, czego szukamy, było w komputerze Ronalda Rudda.

– Nie było żadnego komputera. – Redfern pamiętał, że przy przeszukaniu posiadłości mężczyzny poza prostymi telefonami nie znaleziono żadnej elektroniki.

– W piwnicy, gdzie Rudd przetrzymywał Izabelę Wolańską, znaleźliśmy zasilacz od macbooka – wyjaśnił McMahan. – Pytanie, gdzie Rudd ukrył komputer.

– Obawiam się, że możemy się tego nie dowiedzieć.

– Stawiam swoją odznakę, że się dowiesz. Jeśli już tego nie wiesz – odrzekł McMahan i pstryknął niedopałkiem na ulicę. Tańczące na asfalcie złote iskry porwał wznoszący się od kilku minut wiatr. Redfern miał odeprzeć atak, ale przerwał mu niski męski głos tuż za nim.

– Nie zimno wam, gołąbeczki?



Jak spod ziemi wyrósł za nimi Zheng Cong Coh. Funkcjonariusz Agencji do spraw Przestępczości z Londynu był już po kilku piwach, z których jednym najwyraźniej się oblał. Uwiesił się na ramieniu starszej sierżantki Soyeon Kim, która wydawała się zażenowana stanem kolegi. Uciekała wzrokiem przed Redfernem, co uznał za urocze. Ich ostatnie spotkanie na posterunku w Hammersmith pozostawiło mnóstwo niedopowiedzeń. Cała czwórka w milczeniu mierzyła się wzrokiem.

– Ja już zmarłem dostatecznie – odezwał się McMahon i odszedł w stronę pubu.

– A tego co ugryzło? – spytała Soyeon.

– McMahon zawsze wygląda, jakby miał zaciśniętą na jajach pułapkę na niedźwiedzie – podsumował Zheng.

Redfern nie skomentował humoru McMahona. Wiedział, co nim powodowało, ale nie zamierzał się tym z nikim dzielić. Rozmowa o odejściu Davida wciąż pozostawała żywa w pamięci ich obu, choć inspektor wiedział, że tak naprawdę Gregory’ego napędzała niechęć do zmian, które miały niebawem nastąpić. Komendant Knight szykował się do powrotu, a to oznaczało bolesną detronizację namiestnika, jak ktoś kiedyś określił McMahona.

– Znacie się? – zagadnął Redfern, wskazując na podchmieloną dwójkę.

– Ze szkolenia w Leeds – odparł Zheng.

– W Liverpoolu – poprawiła go Soyeon.

– Dałbym sobie głowę uciąć, że w Leeds. – Zheng nie dał się przekonać.

– No, co tam u ciebie, Dave? Zmywasz się z tonącego statku?

– Co? Z jakiego tonącego statku?

– To ty nic nie wiesz? – Zheng puścił Soyeon, wyprostował się i zatoczył w drugą stronę. Redfern wyciągnął rękę, aby go złapać, ale policjant oparł się o lampę. – Krąży plotka, że Guildford was przejmie. Utrzymywanie dwóch pełnoprawnych komend w tak małej odległości to zdaniem tych na górze rozrzutność granicząca z głupotą.

– Nic nie słyszałem – odparł Redfern sucho.

Mimo przenikliwego wiatru czuł napierające na klatkę piersiową gorąco, a alkohol, który jeszcze przed chwilą zmiękczał mu nogi, wyparował.

W ostatnich miesiącach dawali z siebie wszystko, rozwiązując najpierw sprawę Millerów, a potem Ronalda Rudda. Pokazali, że są sprawnym zespołem. Tymczasem ktoś na górze uznał, że skoro radzą sobie w okrojonym składzie, to równie dobrze można go rozwiązać. Strzelili sobie w stopę. Redfern już wiedział, dlaczego McMahon nie chciał go puścić.

– To tylko plotka – rzucił Redfern i ostatni raz zaciągnął się papierosem, po czym zgasił go w pobliskiej popielniczce.

– Co z Knightem? – zapytał Zheng.

– Coraz lepiej. Możliwe, że za tydzień będzie już w domu.

– Pewnie już przebąkiwał coś o powrocie do pracy – wtrącił się Tinney, który właśnie do nich dołączył.

– Na to jeszcze za wcześnie – rzekł poważnie Redfern, myśląc o zapadniętej twarzy komendanta, którego wczoraj odwiedził w szpitalu. Po chwili się rozchmurzył i rzucił: – Za to ty, Puszka, wracasz na pełnym gazie. Awans, gratulacje od samego burmistrza. McMahon jeszcze pomyśli, że chcesz go wygryźć.

– Nooo, trochę mi się udało – odparł Tinney, drapiąc się po głowie. – Będę robił jako konsultant w zupełnie nowym projekcie. Departament do spraw Własności Intelektualnej – mówił z dumą. – Tworzy się zupełnie nowa baza danych, a mnie to akurat kręci. Za dwa tygodnie mam pierwsze szkolenie w...

– Pewnie w Leeds – wybełkotał Zheng, na co reszta parsknęła śmiechem.



– Całkiem udana impreza – stwierdził Rob, gdy minęli wiadukt. Rozpędzony pociąg Kolei Południowo-Zachodnich zagłuszył jego dalsze słowa, ale Redfern był pewien, że usłyszał coś o wybuchu.

– Słuchaj, jeśli chodzi o to dochodzenie...

– Nie ma sprawy. – Rob machnął ręką, jakby w ogóle go nie obchodziło, że zataił informacje o pożarze w mieszkaniu Redferna. – Nic mi nie mogli zrobić. Miałem pełne prawo do zewnętrznej konsultacji w tej sprawie. Powiedz lepiej, jak idzie śledztwo.

Redfern zastanawiał się, co może powiedzieć Maletzky'emu. Śledztwo w sprawie wybuchu toczyło się swoim, dziwnie spokojnym torem, choć inspektor spodziewał się prawdziwej burzy. Z oczywistych powodów sprawę prowadzili ludzie z Guildford i to oni przesłuchali wszystkich mieszkańców bloku przy Constitution Hill. Nikt nie zauważył niczego podejrzanego. Nie ustalono, kto i w jaki sposób dostał się do mieszkania Redferna i doprowadził do przedwczesnego przerdzewienia rury od gazu. Jego samego wezwano do Guildford tylko raz. Złożył możliwie obszerne wyjaśnienia, a prowadzący sprawę śledczy nie drażył.

– Właściwie to mam wrażenie, że jedyne, na czym wszystkim zależy, to to, by sprawa nie przeciekła do mediów.

– To chyba dobrze – powiedział Rob, gdy skręcali w Oriental Road. – Ale raczej miałem na myśli, czy sam się czegoś dowiedziałeś.

– W sumie to...

– Dave, nie leć ze mną w chuja. – Zatrzymał się nagle i zmierzył Redferna wzrokiem. – Nie prosiłbyś mnie o tamto, gdybyś nie miał swoich podejrzeń. Ja też nie nadstawiałbym karku, gdybym wiedział, że to jakaś pierdoła. Jesteś mi winien wyjaśnienia.

– W porządku – rzucił Redfern i ruszyli dalej. – Pamiętasz Adriana Bonesa?

– Brata Patricii? Pewnie. Myślisz, że ma z tym coś wspólnego?

Redfern był wdzięczny, że w przeciwieństwie do wszystkich wokoło Rob Maletzky nie wspomniał, że kilka miesięcy temu Adrian Bones zginął z rąk inspektora. Strażak był jedną z pierwszych osób, która wyciągnęła do niego pomocną dłoń, kiedy próbował pozbierać się psychicznie po strzelaninie. Jednak niezależnie od tego, ilu serdecznych ludzi by Redfern przy sobie miał, tamten lipcowy poranek nie dawał się zapomnieć.

Nawet dziś mógł odtworzyć z pamięci sekwencję zdarzeń minuta po minucie: budzik, śniadanie, przebieżka, prysznic. Siódma czterdzieści pięć

i trzaśnięcie drzwiami samochodu, dźwięk silnika, machnięcie ręką starej sąsiadce. Kalka poprzedniego dnia i stu poprzednich. Siódma pięćdziesiąt: szum opon i wjazd do centrum Guildford. Czerwone światło i nagle coś, co przerwało dobrze znany, nieco zardzewiały łańcuch. Komunikat o zbiegłym ze szpitala psychiatrycznego mężczyźnie, który zbliża się do głównej katedry miasta, grożąc przechodniom czymś, co świadkowie opisali jako pistolet. Redfern uznał, że jest bardzo blisko. Wjechał na skrzyżowanie i popędził w stronę Stag Hill.

Na miejscu zorientował się, że dotarł pierwszy. Rozejrzył się za napastnikiem. Kiedy go zobaczył, poczuł napierający na ściany żyl strach. Na schodach katedry stał mężczyzna, który – zanim pochłonęło go szaleństwo – był jego najlepszym przyjacielem i najlepszym gliną, jakiego znał. Adrian Bones łamiącym się głosem krzyczał, że wszystkich zabije, a w jego dłoni Redfern zauważył broń. W oddali słyszał syreny i łopaty helikoptera, z hukiem rozcinające niebo nad miastem. Zerknął na nadlatującą maszynę i ta chwila nieuwagi sprawiła, że stracił mężczyznę z oczu. Kiedy zdał sobie sprawę, że pośród tej kakofonii usłyszał trzaśnięcie ogromnych szklanych drzwi, pobiegł za Bonesem do katedry. Nie zobaczył go do razu. Stał więc chwilę w połowie nawy, rozglądając się po pustym, zimnym wnętrzu. Redfern miał wrażenie, że tamten moment podzielił się na miliony odcinków, a każdy z nich wbijał się w jego umysł osobnym obrazem. Pokierszowana twarz Adriana, jego krzyk odbijający się echem od filarów, broń w drżącej dłoni, która uniosła się w stronę Redferna. I strzał.

David Redfern był pewien, że celował w ramię. Tymczasem z przerażeniem patrzył, jak klatkę piersiową przyjaciela barwi coraz większa czerwona plama. Dźwięk upadku Adriana zagłuszył helikopter, który krążył nad katedrą. Redfern do tej pory nie mógł się pozbyć wrażenia, że tamtego dnia w nawie głównej był ktoś jeszcze.

– Dave? – Redfern wzdrygnął się na dźwięk głosu Maletzky'ego. – Powiesz mi, co się stało z Bonesem? Jaki to wszystko ma związek?

Redfern szedł chwilę w milczeniu, zastanawiając się, co może powiedzieć przyjacielowi. Odezwał się, gdy minęli pierwsze wille przy Lytton Road.

– Ktoś ze mną pogrywa, Rob – oznajmił. – A ja nie mam pojęcia, co to za gra i jakie są reguły. Jedyne, co wiem, to to, że wszystko zaczęło się od śmierci Adriana Bonesa, a każdy mój krok prowadzi do coraz to większej tragedii. Najpierw jakiś psychopata próbuje mnie przekupić, potem wybucha moje mieszkanie, komendant Knight zostaje otruty, a teraz ktoś najprawdopodobniej porwał moją... koleżankę.

– Linde?

– Nie. Nie Linde – odparł Redfern, mocno zirytowany własną wylewnością. – Inną koleżankę. Przyleciała do Anglii w sprawie morderstwa rodziców. Pracowałem przy tej sprawie i jakoś tak zaiskrzyło. – Czuł narastające zażenowanie tym, że nie mógł znaleźć lepszych słów. – Potem zniknęła.

– To dlaczego jej nie szukasz?

– Szukam, cholera jasna! Szukam! – wybuchł. – Pojechała na lotnisko, ale nikt jej tam nie widział. Miała wrócić do siebie, do Polski, ale tam nie dotarła.

– Skoro to porwanie, to jestem pewien, że porywacz się odezwie. – Maletzky silił się na optymizm, który Redfernowi z dnia na dzień stawał się coraz bardziej obcy.

– O ile to rzeczywiście porwanie – odezwał się Dave po chwili.

– Szukałeś jej telefonu? Gdzie się logowała?

– Zrobiłem już wszystko, Rob. Telefon zalogował się w Polsce.

– Przecież mówiłeś, że tam nie dotarła.

– Ale jej komórka dotarła – powiedział z naciskiem David, po czym dodał: – Facet jest sprytny. Wsunął komuś do kieszeni walizki wyłączony telefon Marty. Nieświadomy pasażer nadał swoje rzeczy na lotnisku i dopiero przy rozpakowywaniu w Polsce skapnął się, że ma nadbagaż. Udało mu się ze mną skontaktować, kiedy uruchomił telefon.

– Dziwne. – Strażak się skrzywił. – Po co ktoś zadał sobie tyle trudu?

– Nie wiem i nic nie wskazuje na to, że bym się szybko dowiedział.

– Mówiłeś o tym komuś?

– McMahan wie, ale myśli, że zwariowałem. Uważa, że równie dobrze Marta mogła zostać w Anglii i nie chce się ze mną kontaktować. Nie ma

rodziny w Polsce. W jej pracy wiedzą tylko tyle, że wzięła urlop do końca listopada. Jej najlepsza przyjaciółka robi kampanię na Facebooku, ale odezwały się tylko jakieś oszołomy. Kamień w wodę – dokończył z goryczą.

– OK, ale co to ma wspólnego z Adrianem Bonesem?

– Nie wiem, ale za każdym razem, jak biorę się do jego sprawy, dzieją się złe rzeczy. Jakby ktoś cały czas patrzył mi na ręce i walił po nich, gdy wykonam fałszywy ruch. Mam wrażenie, że nie cofnie się przed niczym.

– To grubo. Mam się zacząć o siebie bać? – Rob się zaśmiał, ale przez cienką warstwę wesołości prześwitywała niepewność.

Redferna poraziła myśl, że to pytanie nie jest pozbawione podstaw. Postanowił, że przemilczy temat swojej niedawnej wizyty w Dover i nieznanych zwłok, które tamtejsza policja z nim powiązała.

– Raczej o mnie – odparł i wykrzywił usta w uśmiechu. – Jakbym popełnił samobójstwo, to wiedz, że to nie ja.

– Nie zamierzam się nad tym zastanawiać. Po prostu przejmę twoje auto, psa i garaż. Wiesz, za straty moralne. – Tym razem kolega zaśmiał się szczerze.

Gdy dotarli do ronda przy markecie Asda, Rob wskazał na ulicę Maybury Hill.

– Tu odbijam. Gdybyś czegoś potrzebował, choćby browara w dobrym towarzystwie, to wal śmiało.

– Dzięki!

– Uważaj na siebie, Dave.

– Wiadomo. Trzymaj się!

Redfern ruszył w dół Monument Road, czując, jak emocje wypierają z krwiobiegu alkohol i dobry humor. Wiatr z minuty na minutę stawał się coraz silniejszy i gdy Dave dotarł do skrzyżowania, trudno mu było złapać oddech od ciągłych podmuchów. Między jednym a drugim uderzeniem serca dobiegło go wołanie.

– Panie Redfern, to pan?

Redfern dopiero teraz dostrzegł przed sobą machającą ręką postać, którą rozpoznał bezbłędnie. Pchany wiatrem, szedł do niego Bartosz Wolański,

ojciec szczęśliwie odnalezionej dziewczynki. Obok siebie prowadził rower obładowany zielonymi reklamówkami pełnymi zakupów.

– Co za spotkanie – powiedział Redfern, gdy mężczyzna podszedł bliżej. Miał zaczerwienioną twarz i David nie wiedział, czy powiązać to z aurą, czy alkoholem, którego Wolański nadużywał. Gdy był kilka kroków od niego, Redfern nie miał już wątpliwości.

– Byłem na zakupach w tej całodobowej Asdzie w Sheerwater – rzucił po polsku. – W ciągu dnia nie mam czasu.

– Jak się miewa pani Kinga?

– Wróciła z dziewczynkami do kraju.

– To dobrze.

– Właściwie to miałem do pana zadzwonić – wyjąkał niepewnie Wolański po chwili milczenia. – Chciałem o czymś z panem porozmawiać.

– O czym?

Redfern wciąż nie mógł się pozbyć uczucia pogardy do ojca dziecka. Uważał go za częściowo odpowiedzialnego za porwanie. Inspektor był pewien, że gdyby Wolański spełnił prośbę żony i podczas jej nieobecności zajął się córkami, porywacz nie miałby odwagi wejść na posesję. Z tym większą niechęcią słuchał pokrętnych tłumaczeń mężczyzny.

– Wolalbym kiedy indziej – bąknął Wolański. – Czy mógłby pan do mnie wpaść we wtorek po osiemnastej?

– Dobrze, przyjadę – zapewnił Redfern, chcąc jak najszybciej znaleźć się w ciepłym domu.

Ulga, która spłynęła na spiętą dotąd twarz mężczyzny, podsunęła inspektorowi myśl, że może to, co miał mu do powiedzenia, okaże się ważne. Zanim David dotarł do domu przy Princess Road, to przekonanie zupełnie z niego wyparowało, a kiedy kilka dni później powróciło, było już za późno.

Redfern przekręcił klucz w zamku i wszedł do ciemnego przedpokoju. Natychmiast dobiegł go odgłos człapania czterech łap. Bandit nie mógł się nacieszyć, że widzi pana, i cicho popiskując, usiłował zapanować nad ogonem, który, zupełnie jakby żył własnym życiem, zarzucał psiakiem po całym przedpokoju. Piętnastotygodniowy berneński pies pasterski przyniósł

Redfernowi smycz i inspektor nie mógł się wykręcić. Zapiął mu obrożę i razem wyszli w noc.

Redfern nie spodziewał się, że tymczasem zimny wiatr przyniesie ze sobą ulewę, i po kwadransie spaceru stali z powrotem w przedpokoju, przemoczeni do suchej nitki. Inspektor wytarł Bandita ręcznikiem, po czym rozebrał się i rozwiesił ubrania na grzejnikach. Dom po chwili wypełnił zapach suszonego prania i mokrego psa. Inspektor był wdzięczny losowi, że dziadek, z którym od paru tygodni mieszkał pod jednym dachem, jeszcze przez kilka dni będzie poza granicami kraju i nie musi się z nim spierać ani o nocne spacerki, ani o zapach psiej sierści.

Rozbudzony niespodziewanym prysznicem, postanowił jeszcze trochę popracować. Włączył komputer i rozłożył przed sobą teczki, które zgromadził w toku prywatnego śledztwa. Wciąż były w nim białe plamy i dziury, które w żaden sposób nie dawały się zapęłnić. Redfern urządził sobie w pokoju prowizoryczne stanowisko pracy i wpatrywał się teraz w białą tablicę, którą parę dni temu powiesił nad biurkiem. W jej centralnym punkcie zapisał nazwisko przyjaciela, a od niego pociągnął grube czerwone strzałki. Na ich końcach widniały kolejno: ośrodek leczenia uzależnień The Priory, gdzie mężczyzna się leczył, Silver Manor, gdzie mieszkał, Katedra Guildford, gdzie zginął oraz Agencja do spraw Przestępczości, w której pracował.

Poniżej Redfern zapisał nazwiska, które bezpośrednio kojarzyły się z Adrianem Bonesem: Nathan Wood – jego partner, Isabelle Bones – jego matka, Patricia Bones – siostra oraz Ronald Rudd, który w ostatnich minutach życia wspomniawszy byłego policjanta jako zamieszanego w historię porwania dziecka. Od nazwisk odchodziły kolejne strzałki z luźnymi skojarzeniami, które nie dawały się w żaden sposób powiązać. Stał przed rozrośniętym fraktalem, mając nadzieję na nagłe olśnienie. Jednak żadna z tych linii nie chciała się połączyć z inną we wspólny wątek. Ilekroć Redfern o tym myślał, podobnie jak strzałki, które kończyły się na srebrnej ramce tablicy, dochodził do muru. Przytłoczony nadmiarem myśli i skojarzeń, wyszedł zrobić sobie herbaty, a kiedy wrócił, znów popatrzył na tablicę i dopisał jeszcze jedno nazwisko. Swoje.



Zaczął przechadzać się po pokoju, w myślach odtwarzając najważniejsze punkty z życia mężczyzny, który, mimo że był jego najlepszym przyjacielem, stanowił dla niego największą tajemnicę.

Adrian Bones pracował w Agencji do spraw Przystępności w wydziale zajmującym się handlem ludźmi, któremu poświęcił się bez reszty. Redfern z niepokojem patrzył, jak z dnia na dzień praca stawała się dla przyjaciela obsesją. Kilka lat temu wpadł na trop zaginionej wykładowczyni z Exeteru. Tego dnia zaczepił Davida na biurowym korytarzu i z ekscytacją, którą rzadko zdradzał, oznajmił, że chyba ma przełom w sprawie. Rzucił, że musi jechać w jeszcze jedno miejsce, i pobiegł na parking. Redfern pomyślał, że była to ostatnia chwila, w której widział uśmiech na twarzy mężczyzny. Od tamtej pory w jego oczach widać było tylko strach.

Śpiący pod biurkiem Bandit nagle podniósł głowę i wpatrując się w okno, zaczął powarkiwać. Redfern popatrzył w mrok, ale niczego nie dostrzegł. Pogłaskał pieska po głowie i nakazał mu iść spać. Jednak szczeniak nie ustępował i jego mruczenie przerodziło się w piskliwy szczek. Inspektor uciszył go i nasłuchiwał. Tym razem był pewien, że usłyszał w przednim ogrodzie szelest, który natychmiast zamarł, pozostawiając w głowie Redferna pobudzającą wyobraźnię ciszę. Powoli sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął z niej broń, a następnie zgasił lampkę. Bandit przestał warczeć i wycofał się w kąt, wpatrując się w targane wiatrem łyse gałęzie grabu. Ich przesuwanie się po podłodze cienie sprawiały wrażenie, jakby po pokoju rozpełzły się węże. Wciąż trzymając broń, Redfern przeszedł ostrożnie wzdłuż ściany do okna. Krew napierała na żyły, sprawiając, że w uszach czuł szumiące pulsowanie. Nie sądził, że Palacz, który od kilku tygodni go śledził, odważy się zbliżyć. Tym bardziej że od chwili zaginięcia Marty nie dawał znaku życia. Musiał być jednak ostrożny. Jeśli mężczyzna posunął się do wysadzenia mieszkania i uprowadzenia, równie dobrze mógł przejść do bardziej bezpośredniego działania.

Wiatr nie ustępował, wyrywając z krajobrazu miasta coraz więcej. Redfern z niepokojem obserwował Princess Road, po której z metalicznym chrzęstem przesuwała się spora trampolina. Kolejny podmuch podniósł ją jak gigantyczny liść i zabrał w dół ulicy. Nagle Redfern usłyszał z tyłu

domu dźwięk tłuczonego szkła. Zapominając o Palaczu, pomyślał o małej szklarni dziadka. Schował pistolet za pasek i pobiegł do ogrodu. Szklarnia stała nienaruszona. Z ulgą stwierdził, że wiatr zrzucił jedynie ceramiczne doniczki, które teraz tworzyły pod stołem smutną mozaikę gliny i resztek ziemi, zabieranych przez kolejne podmuchy. Nagle między jednym świstem a drugim Redfern usłyszał szmer, a po chodniku przesunął się cień. Sięgnął po broń i wyskoczył z za węgła, ale nikogo tam nie było. Wyobrażenia podlana alkoholem i dudniący wichur podsuwały mu coraz to głębsze myśli. Zabezpieczył pistolet i idąc do domu, wsunął go z powrotem za pasek.

Wszedł do pograżonej w ciemności jadalni i zamknął z trzaskiem drzwi tarasowe. Zasuważąc zasłonę, poczuł obcy zapach. W ułamku sekundy miał pewność, że nie jest sam. Szybkim ruchem dobył broni i odwrócił się, robiąc krok do przodu. Nagle zahaczył o coś nogą i po chwili walki z grawitacją leżał na podłodze.

– Kurwa, jak tu ciemno – usłyszał na wysokości swojej twarzy.

– Zheng?

– A kto inny? – odparł agent, który siedział oparty plecami o ścianę.

– Mogłem cię zabić – syknął Redfern, podnosząc się z podłogi.

– Kurwa, mogłeś, ale nie zabiłeś. Taki z ciebie kumpel – burczał Zheng. – Lepiej zrób to, zanim dorwie mnie jutrzejszy kac.

Redfern pomógł koledze wstać i zataszczył go do pokoju dziadka. Ciało Zhenga stawiało opór szmacianej lalki i gdy inspektorowi udało się go położyć na łóżku, agent zasnął w pozycji, w której upadł. David pomyślał z rozbawieniem, że w kwestii nocnych odwiedzin ma wyjątkowo zezowate szczęście. Na wszelki wypadek postawił obok łóżka miskę, a na szafce nocnej – szklanekę z wodą.

Czuł, że wyrzut adrenaliny nie pozwoli mu dziś zasnąć. Stanął przed tablicą i myślami znów wrócił do biura agencji. Wciąż miał przed oczami twarz Adriana Bonesa, który chwilę po rozmowie z Davidem zabrał swój samochód i wyruszył w sobie tylko znanym kierunku.

Redfern do tej pory się zastanawiał, w jaki sposób policjant dotarł do portu w Dover. Domyślał się, że jeszcze w drodze Bones się dowiedział, że

doszło tam do zamieszek. Z powodu masowych zwolnień w jednej z firm transportowych ludzie wyszli na ulice, a Adrian najprawdopodobniej chciał wspomóc kolegów walczących z rozprzestrzeniającą się przemocą i dołączył do nich. Początkowo stosunkowo pokojowa demonstracja zmieniła się w regularną bitwę. W zamieszaniu padły strzały, a po nich na ziemię osunął się jeden z protestujących. Adrian Bones twierdził potem, że mężczyzna miał broń i nie było czasu na strzał ostrzegawczy. Niestety nikt tego nie potwierdził.

Rozpoczął się mozolny proces przed sądem, który orzekł przekroczenie uprawnień i skazał agenta Bonesa na dwa lata więzienia. Wziął przy tym pod uwagę nienaganność służby i stanowisko, jakie zajmował funkcjonariusz, i zawiesił karę na pięć lat. Adrian Bones był skończony dla świata.

Każdy, łącznie z Davidem, odsuwał się, a kiedy nie było przy nim już nikogo, Bones zamknął się w domu i oddał nałogowi. Redfern pamiętał, że podczas kilku ostatnich wizyt Adrian maniakalnym szeptem oznajmiał, że zna prawdę i gdy tylko opuści dom, ktoś go zabije. Spirala szaleństwa pociągnęła go na samo dno.

Ostatecznie rodzice umieścili go w ośrodku leczenia uzależnień The Priory, gdzie wydawało się, że dochodził do siebie. Choć nadal miewał ataki paranoi, znalazł partnera. Nathan Wood, podobnie jak on, zmagął się z alkoholizmem, ale jego obecność dawała nadzieję, że Adrian upora się z przeszłością. Kiedy ostatni raz Redfern odwiedzał go w The Priory, Bones rozmawiał przytomnie. Inspektor nie przypuszczał wtedy, że kiedy znów stanie twarzą w twarz z przyjacielem, będzie on mierzył do niego z broni.

Na to wspomnienie Redfern poczuł się nieswojo. Usiadł przy biurku i pogłaskał śpiącego pod nim Bandita. Piesek, zmęczony pilnowaniem pana, spał twardym snem i nie zareagował na dotyk. Inspektor sięgnął po teczkę z napisem „Dover”. Przejrzał po raz kolejny wydrukowane artykuły o strajku w porcie i strzelaninie. Niedawno dołączyły do nich te o wnuczce Ronalda Rudda i na nich postanowił się skupić. Kilka lat wcześniej pięcioletnia Katie Rudd została porwana z placu zabaw, kiedy opiekował się nią dziadek. Inspektor przeczytał w aktach, że miała zostać

przewieziona na Bliski Wschód, gdzie czekał na nią kupiec. Redfern wzdrygnął się na myśl o tym, co stałoby się ze złotowłosą dziewczynką, co działo się z innymi dziećmi.

Plan przerzutu pokrzyżowały masowe zwolnienia dokonane przez firmę promową P&O, które objęły również szajkę odpowiedzialną za transport dzieci przez kanał La Manche. Nie mogąc przewieźć dziewczynki za granicę, porywacze postanowili się jej pozbyć. Jej martwe ciało było bielsze od klifów Dover, pod którymi znalazła je para turystów.

Z biegiem czasu Ronald Rudd rozpacz i żalobę przekuł w pragnienie zemsty, której poświęcił resztę życia. W toku dochodzenia Redfern zastanawiał się, dlaczego akurat dziadek, a nie ojciec zajął się poszukiwaniem zbrodniarzy, którzy skrzywdzili dziewczynkę. Odpowiedź dały kserówki dziennika „Daily Mail”. Przeglądając wydruki, Redfern natrafił wtedy na obszerny artykuł o dramacie rodziny Rudd. Ronald opowiadał w nim o tym, że poza żoną została mu tylko Katie – córka jego tragicznie zmarłego syna i synowej.

Inspektor usiłował odtworzyć moment, w którym stał w piwnicy posiadłości Rudda. Ze wszystkich stron patrzyły na niego oczy dziewczynki, uwiecznione na stronach gazet, które Ronald przykleił na ścianach. Gdy Redfern później przeglądał zdjęcia z miejsca zbrodni, zauważył, że mężczyzna pozaznaczał fragmenty, w których dziennikarze wspominali o nieudolnej pracy policji i Agencji do spraw Przestępczości.

Kiedy sięgał po teczkę opisaną jako „Sprawa Rudda”, na nocnym stoliku zawibrował telefon. Bandit podniósł głowę i z zaciekawieniem wpatrywał się w tańczący na blacie aparat. Redfern wstał, ale kiedy wziął komórkę do ręki, ta wyświetliła komunikat o nieodebranych połączeniach, a po chwili SMS: „Sorki, pomyliłam się. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam”. Wiadomość pochodziła od Patricii i Redfern pomyślał, że siostra Adriana Bonesa ma niesamowite wyczucie czasu.

Odpisał: „Nie obudziłaś. Pracuję”. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast: „Dlaczego nie jestem zaskoczona?” i uśmiechnięta buźka. Redfern nie miał ani czasu, ani ochoty na gierki z byłą narzeczoną. „Odezwę się jutro”, napisał i wyłączył telefon.

Poziom adrenaliny sięgnął dna, obnażając potworne zmęczenie. Redfern chciał jeszcze przejrzeć dwie teczki, by jutro z gotowym planem móc przystąpić do działania. Zaparzył sobie mocną kawę i zasiadł znów do biurka. W teczce, którą wcześniej odłożył, znalazł dobrze znane artykuły i dokumenty. Wynikało z nich, że zastrzelony przez Adriana mężczyzna to Gruzin, Levan Chikovani, marynarz wachtowy na promie P&O. W toku śledztwa policja ustaliła, że nie miał rodziny w Wielkiej Brytanii, a tą pozostawioną w Gruzji stanowiły jedynie siostra i jej dzieci. Z nikim też nie utrzymywał bliższych kontaktów. W pokoju, który wynajmował, nie natrafiono na nic, co pozwoliłoby powiązać go z handlem ludźmi. Redfern zaczął wątpić w łańcuch zdarzeń, o którym mówił Ronald Rudd. Zamierzał poprosić Zhenga o pomoc, kiedy tylko ten się obudzi. Słyszając jego donośne chrapanie, Redfern z rozbawieniem pomyślał, że wcześniej niż w południe agent Zheng nie będzie w stanie stawić się na służbę.

Wygrzebał ze stosu teczkę z napisem „Silver Manor” i przeniósł się z nią na łóżko. Posiadłość rodziny Bonesów stanowiło blisko sto hektarów ziemi, na której znajdowały się osiemnastowieczny pałac, stadnina, oranżeria i domek dla gości. Choć młody David Redfern spędził w niej najwięcej czasu, miał o tym miejscu najmniej informacji i to go martwiło. Do wszystkich pozostałych lokalizacji mógł w taki czy inny sposób dotrzeć. Jednak siedziby rodowe stanowiły w Anglii niemal osobne państwa i ani policyjne nakazy, ani spryt nie pozwalały się wślizgnąć za wysokie mury.

Niedziela, 1.12.2013, rano

Przez cieniutką skórę powiek do Davida docierało światło świtu, ale nie to go obudziło. Czuł, że jego klatka piersiowa nie może się swobodnie podnosić, a po twarzy jeździ mu coś ciepłego i mokrego. Uchylił oko i zobaczył uśmiechniętą mordkę Bandita, który uznał, że trzy godziny snu w zupełności im wystarczą.

Inspektor ziewnął przeciągle i odsunął pieska, który natychmiast poczłapał do drzwi, domagając się spaceru albo chociaż wizyty w ogródku. Zmęczony do granic możliwości Redfern zdecydował się na prostsze rozwiązanie.

Stojąc na tarasie, patrzył na różowiejący w kompletnej ciszy świt. Nieruchome białe apaszki mgieł zawisły nad dachami, łagodząc ostre krawędzie miasta. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz miał okazję podziwiać to widowisko. Wszystkie spektakle brzasku przemijały niezauważone, kiedy pochylony nad kolejnym miejscem zbrodni zastanawiał się, dokąd zmierza ten świat. Po tylu latach wciąż nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, natomiast wiedział, dokąd będzie zmierzał on sam.

Zawołał Bandita i wrócił do domu. Po szybkim śniadaniu zasiadł znów do biurka i sięgnął po leżącą na łóżku teczkę. Po raz kolejny odczytał napis na niej: „Silver Manor”. Ponad dwa lata temu doszło tam do wybuchu gazu, w wyniku którego o mało nie zginął Adrian Bones. Tylko cud i szybka interwencja lekarzy z prywatnej kliniki sprawiły, że mężczyzna pozostał przy życiu. Redfern przewertował zgromadzone materiały, aż dotarł do starych dokumentów dostarczonych mu przez Maletzky’ego. Eksplozja butli z gazem praktycznie rozerwała domek dla gości.

Przypomniał sobie, że miał zadzwonić do Patricii, ale wciąż słyszał pochrapywania nocnego gościa, więc dał sobie spokój. Jak na zawołanie dobiegły go dźwięk sprężyn i przeciągłe jęknięcie. Redfern poszedł do kuchni i wziął jedyne słuszne w takiej sytuacji lekarstwo, które dzień wcześniej przygotował z myślą o sobie. Z dziwną mieszaniną smutku i satysfakcji stwierdził, że go nie potrzebował. Odkręcił słoje, który lekko syknął, i przelał zawartość do szklanki. Przyjemnie kwaśna woń wypełniła mu nozdrza i nie mogąc się powstrzymać, Redfern upił łyk ze słoika i zabrał go ze sobą. Poszedł do pokoju dziadka, gdzie nocował Zheng.

– Dzień dobry, kochanie – huknął od progu.

– Niech cię szlag, David! – stęknął agent i osłonił oczy dłońmi. Wpadające przez okno słońce oświetliło jego trupio bladą twarz. W pokoju unosił się kwaśny smród alkoholu, ale Redfern z ulgą zauważył, że agent nie skorzystał z miski.

– Masz, wypij. – Inspektor podał mu szklankę i podszedł do okna, żeby przykręcić żaluzje. W pokoju zapanował półmrok. Zheng usiadł na łóżku i powąchał zawartość szklanki.

– Co to, do cholery, jest?

– Woda z kiszonych ogórków.

– Z czego?

– Takie kimchi z ogórków. – Redfern się zaśmiał. – Nie ma nic lepszego na kaca.

– Nie wiesz, że Chińczycy ślubowali nie jeść koreańskiego jedzenia? Słyszałeś o narodowym bojkocie?

– No, słyszałem. Ale to wcale nie przeszkadzało ci balować całą noc z Soyeon Kim, co?

– Aaa, no tak... – Zheng upił łyk i się skrzywił. – Ty, dobre to! – powiedział i wypił zawartość szklanki jednym haustem.

– Dobre, bo polskie. – Redfern odczytał napis ze słoika, który trzymał w ręce. – Zbieraj się, mamy robotę.

– Nigdy nie odpuszczasz, co? – zapytał Zheng, na co Redfern wzruszył ramionami.

– Będę w kuchni.

Zheng skorzystał z prysznicza i po kwadransie opierał się o kuchenną futrynę. Z wciąż mokrymi włosami patrzył na dokumenty, które Redfern rozłożył na stole.

– Niezłe to polskie kimchi – powiedział i usiadł naprzeciwko inspektora.

– Mówiłem.

– Co tam masz? – Wskazał brodą na teczkę.

– Papiery z The Priory.

– Z tej kliniki odwykowej, w której jest Linda?

– Też – odparł Redfern i wstał, by zaparzyć kawy. – Adrian Bones spędził tam ostatnie miesiące życia.

– I co z nią?

– No właśnie nie wiem. Coś tam się wydarzyło, co wypchnęło Bonesa poza jej mury.

Przesunął dokumenty leczenia, które zdobyła dla niego Patricia. Nie było w nich niczego, co posunęłoby go do przodu. Na końcu jednego z nich widniało odręcznie skreślone zdanie: „Wypisany na własną prośbę”. Adrian Bones nie był ubezwłasnowolniony, więc w każdej chwili mógł opuścić ośrodek. Redfern wciąż nie wiedział, dlaczego pierwsze kroki skierował do Guildford, które od The Priory dzieliło sześć mil. Spojrzał na wydrukowaną mapę, a Zheng podążył wzrokiem w tym samym kierunku.

– Dlaczego przeszedł taki kawał, by dotrzeć do katedry? – Agent zdawał się czytać w jego myślach, choć Redfern stawiał na to, że mimo różnicy wieku przyswoili w akademii dokładnie te same metody.

– A może szedł zupełnie gdzie indziej?

– Do ciebie?

– Minał mój dom. – Redfern dotknął mapy, gdzie maleńkie litery układały się w napis „Roundhill Way”, a następnie przesunął palec na południe, w stronę niewielkiego krzyżyka. – Mnie bardziej interesuje, skąd wziął pistolet.

– Sprawdzalesz w aktach?

– Jako oskarżony nie miałem do nich dostępu, ale doszły mnie słuchy, że to broń niewiadomego pochodzenia. – Redfern zrobił w powietrzu cudzysłów.

– Postaram się dowiedzieć czegoś więcej – zapewnił Zheng. – A co z drugim napastnikiem?

– Wiesz o drugim napastniku? – Inspektor wstał, by zaparzyć kawę, choć tak naprawdę poczuł się obnażony i chciał to ukryć.

– Chyba wszyscy wiedzą. Wewnętrznym nie po drodze z dyskrecją.

– To fakt. – Redfern wypuścił powietrze nosem. Zaczął odczuwać skutki zarwanej nocy. Oparł głowę o dłoń i wpatrywał się chwilę w dokumenty. – Wciąż jestem pewien, że strzelał ktoś inny.

– Nie odwróciłeś się po strzale, żeby sprawdzić?

– Nie, nie sprawdziłem. Sparaliżowało mnie – wyznał. – Po prostu nie mogłem uwierzyć, że Bones leży tam w kałuży krwi.

– OK. Od początku. Wbiegłeś do kościoła i co było później?



– Nie zobaczyłem go od razu. Zrobiłem kilkadziesiąt kroków, wciąż mając broń w pogotowiu. Wychylił się po chwili zza chrzcielniczy. Musiałbyś widzieć jego twarz i te oczy pełne szaleństwa. Krzyczał, że nie jest Adrianem.

– A był?

– Myślisz, że nie poznałbym kumpla? – Redfern się zirytował, ale szybko się uspokoił. – Bones bez ostrzeżenia podniósł broń i strzelił. Nie miałem chwili do namysłu. Strzeliłem, ale przysięgam, że celowałem w ramię. Byłem pewien, że chybiłem.

– Ktoś majstrował przy broni?

– Nie wiem, upuściłem ją zaraz po strzale i od tamtej chwili jej nie widziałem.

– Ale wnioskowałeś o przebadanie jej?

– Wnioskowałem, sprawdzili. Skoro mnie zdegradowali, to znaczy, że nikt niczego nie przestawił, a Bones zginął z moich rąk – posumował gorzko.

– Musi być coś, co wtedy przeoczyłeś – powiedział z naciskiem Zheng.

– Nic nie przeoczyłem – odparł inspektor. – Wciąż słyszę dziwny szcęk jeszcze jednego pistoletu, a zaraz po nim głuchy trzask drzwi.

– Jeśli strzelał, musiał użyć tłumika – skonstatował Chińczyk.

– Takich tłumików nie ma.

– Są. Słyszałeś na przykład o Hush Puppy Project?

– Urocza nazwa, ale nie słyszałem – rzekł Redfern i spojrzał na Bandita, który właśnie przeglądał zawartość swoich misek. – Wbrew pozorom broń jakoś nigdy mnie nie pociągała.

Zheng pokiwał milcząco głową, po czym wstał i poszedł do pokoju. Po chwili wrócił z telefonem, na którym odtworzył film na YouTube.

Stojąc na leśnej polanie, dwóch mężczyzn rozmawiało o modelach i zaletach tłumików spółki Hush Puppy, której historia podobno sięgała wojny w Wietnamie. Ten w firmowej fioletowej polówce omówił ze szczegółami dwa modele, które można było ze sobą skrócić. Składały się nie tylko ze standardowych komór, ale i poliuretanowych dysków, przez które przechodziła kula. Zheng przewinął do czwartej minuty, w której facet

w stroju myśliwego przeszedł do prezentacji tłumika z bronią Smith & Wesson. Strzał z użyciem jednego modułu był zaskakująco cichy, ale dopiero gdy mężczyzna założył drugi i nacisnął spust, myśli Redferna eksplodowały. Spojrzał zszokowany na Zhenga.

– Wiemy, że co najmniej od roku można je u nas kupić na czarnym rynku – oznajmił agent. – Nie nadają się do kul grzybkowych, ale pełnopłaszczkowe spisują się w nich idealnie.

– To ten dźwięk. Właśnie to słyszałem w katedrze. Ale jak, do cholery, moja kula trafiła Bonesa? Bóg mi świadkiem, że go nie zabiłem!

– Wierzę ci – powiedział poważnie Zheng, przerywając wściekłą bezradność Redferna, który patrzył na niego zaskoczony.

– Co?

– Nie strzeliłbyś Bonesowi w pierś, Dave. Posłuchaj, byłeś nie tylko świetnym agentem, ale przez te lata wspólnej służby przekonałem się, że także dobrym człowiekiem. Nie wierzę, że strzeliłbyś do kumpla, i to prosto w pierś. To się nie trzyma kupy. Powiedz więc dokładnie, co widziałeś, zanim strzelił.

– Nic nie widziałem, mówiłem ci. Obecność tego drugiego to tylko moje wrażenie. Adrian celował we mnie, ale jego wzrok był tak jakby poza mną. On oszalał.

– Nie odwróciłeś się?

– Mierzył do mnie z pieprzonego pistoletu.

– W porządku. Nie oskarżam cię – powiedział spokojnie Zheng. – Mówiłeś o helikopterze. To była nasza maszyna?

– Nie mam pojęcia. Gdy tylko wyszedłem z katedry, zrobiła się wrzawa. Niewiele pamiętam z tamtego okresu.

– Spoko, ustali się – zapewnił agent.

Każdy z policjantów patrzył w innym kierunku, zamyślony nad czymś innym. Ciszę przerwał Redfern.

– Słuchaj, czy możesz przyjrzeć się papierom, które Bones po sobie zostawił?

– Zaginięcie wykładowczyni chyba już ci przesłałem. – Zheng się zdziwił.

– Chodzi mi o to, żebyś przyłożył ucha, rozejrzał się. Mam wrażenie, że całe to Dover to nie był przypadek.

– OK, coś zadziałam. Dave, a nie myślałeś, żeby do nas wrócić?

– Do agencji?

– To nie byłoby trudne do załatwienia. Byłeś świetny, Dave. Wiele dzieciaków zawdzięcza ci życie. – Podniósł rękę, by nie dać dojść do głosu Redfernowi, który właśnie otworzył usta. – Po prostu to przemysł.

– W porządku – westchnął.

Agent Zheng kiwnął głową i wstał od stołu. Redfern zorientował się, że z tego wszystkiego nawet nie poczęstował kolegi kawą.

– Dobra, muszę się zbierać, bo żona mnie powiesi za jaja – powiedział z uśmiechem Chińczyk.

– No, myślę, że najgorsze dopiero nadejdzie – oznajmił ponuro Redfern.

– Odebrałem w nocy twój telefon, bo dzwonił chyba z dwieście razy. Zanim udało mi się przedrzeć przez jej słowotok, usłyszałem rzeczy, które by ci się nie spodobały.

– Chce rozwodu?

– Nie.

– No to faktycznie mam przesrane.

Redfern odprowadził Zhenga do drzwi i pożegnał, dziękując za pomoc. Sam wrócił do pokoju i się ubrał, a następnie posprzątał biurko. Przekładając dokumenty, wziął do ręki ten z ośrodka uzależnień, gdzie napisane było, że Adrian wypisał się na własną prośbę. Spojrzał na datę – pięć dni przed strzelaniną w katedrze. Wciąż zastanawiając się, dlaczego przyjaciel mimo wypisu jeszcze przez jakiś czas pozostał w klinice, wyszedł z domu, po czym wsiadł do samochodu i odjechał w stronę Guildford. Miał nadzieję, że siostra Bonesa udzieli mu odpowiedzi na to i wiele innych pytań.

Minął rondo pod betonową wstęgą trasy A3, które zawsze wywoływało u niego ból zębów. Ze złością pomyślał, że najwięksi stratedzy klękali przed absurdami tego skrzyżowania. Gdy wreszcie znalazł odpowiedni pas ruchu, wjechał na teren kampusu. Wciąż nękała go myśl o koszulce, którą Palacz podrzucił do mieszkania Patricii Bones. Był to T-shirt, w którym

Adrian mierzył do swojego najlepszego kumpla, ten sam, przez którego cienki materiał tak łatwo przeszła kula wysłana przez Redferna.

Wjeżdżał właśnie na Old Palace Road i zatrzymał się, by przepuścić dwoje starszków, kiedy rozdzwoniła się jego komórka. Zerknął na leżący na siedzeniu telefon i zobaczył na ekranie nazwisko zastępcy komendanta. Nie miał ochoty na kolejne przepychanki z McMahonem, więc odrzucił połączenie. Jednak zanim podjechał pod mały apartamentowiec Patricii, Greg zdążył zadzwonić jeszcze cztery razy. Coraz bardziej zaniepokojony natarczywością przełożonego, Redfern zjechał gwałtownie na pobocze i odebrał.

– To, że jesteś na wylocie, nie oznacza, że możesz mnie olewać – warknął McMahon w słuchawkę. – Koniec urlopu. Mamy morderstwo.

– Gdzie? – Redfern westchnął, próbując opanować wściekłość.

– Pirbright, kościół St. Michael and All Angels. Pospiesz się.

– Będę tam najdalej za kwadrans.

– Z Woking? Wątpię.

– Jestem w Guildford – oznajmił.

W odpowiedzi usłyszał świszczący oddech McMahonona, a potem suchy komunikat:

– Summer i Puszka już tam są.

Ku swojej złości musiał zatrzymać się na Ash Road, by przepuścić na przejściu grupę starszych ludzi podążających w stronę jakiegoś kompleksu budynków. Redfern pomyślał, że wyglądali jak uczestnicy konferencji naukowej, i chyba się nie pomylił. Zanim ruszył, kątem oka zauważył, że za skrzyżowaniem znajduje się Instytut Pirbright, chociaż do centrum miasteczka miał jeszcze ponad półtorej mili.

Wjechał w ciasną Church Lane i uważając, by nie najechać żadnego ze stłoczonych wokół ogrodzenia gapiów, powoli sunął do przodu. Zaparkował koło zadaszonej furtki kościoła, za którą dostrzegł zgarbioną postać Tinneya chodzącego pomiędzy licznymi kamiennymi nagrobkami. Puszka machnął na inspektora i coś zawołał, ale jego głos porwało potężne uderzenie wiatru. Redfern postawił kołnierz kurtki i wszedł na teren kościoła. Szutrową alejką dotarł pod granitowy głaz, na którym wyryto

nazwiska spoczywających pod nim ludzi: Henry'ego Mortona Stanleya i jego żony Dorothy. Redfern był pewien, że już kiedyś zetknął się z tym nazwiskiem.

Przywitał się z Mattem, szefem ekipy techników, a następnie podał rękę Summer i Tinneyowi.

– A gdzie zwłoki?

– Nie ma – oznajmiła Summer, przypatrując się nagrobkowi.

– McMahan wezwał mnie do morderstwa – rzekł Redfern zirytowany. – Swoją drogą następnym razem wolałbym, żebyś to ty do mnie zadzwoniła.

– Czyli zostajesz? – wtrącił się Tinney.

– Co?

– Powiedziałaś „następnym razem”...

– Nie łap mnie za słowa – rzucił. – Skąd pomyśł, że to morderstwo?

– Stąd. – Matt podniósł się z kolan. Trzymał w szczypcach coś, co przypominało maleńką starą pastylkę wyciągniętą spod kanapy. – To fragment czaszki i jeśli dodać do tego, że znalazłem ich tu kilka, to mamy morderstwo. Tutaj upadł. – Matt wskazał na brunatny ślad na skraju chodnika. – Ale nie ma żadnych śladów wleczenia.

– To może wstał i poszedł?

– Wątpię – rzucił technik.

– To może chociaż narzędzie? – dopytywał Redfern, coraz bardziej zły.

– To akurat nie było trudne. – Summer trzymała przed sobą plastikową torbę, w której prześwitywał kawałek granitu, zbyt ciemny, by Redfern mógł zobaczyć ślady krwi. – Jeden z kamieni okalających nagrobek. Leżał na ścieżce przy furtce.

– Czyli zabójstwo w afekcie – podsumował inspektor. – Jacyś świadkowie?

– Jak na razie nic. Możemy przyjąć, że morderstwa dokonano tej nocy albo nad ranem. Pastor powiedział, że jeszcze wieczorem wszystko było w porządku, a ślady znalazł przed ósmą, kiedy szedł się przygotować do pierwszej mszy.

– Gdzie go znajdzie?

– Kręci się wśród wiernych. – Tinney wskazał na tłum zgromadzony pod ogrodzeniem, ale Redfern nie dostrzegł nikogo z koloratką. Pochwalił ekipę i ruszył w stronę kościoła, gdzie miał nadzieję zastać pastora.

Wrócił tą samą alejką, którą przyszedł. Mijał zniszczone nagrobki, przypatrując się bryle osiemnastowiecznego budynku, wrzynającej się w niebo spiczastą wieżą. Przylegające do północnej ściany rusztowanie zasłaniało część strzelistych witraży, na których Redfern rozpoznał postać Świętego Michała. Targana podmuchami folia budowlana przywodziła na myśl czającą się za horyzontem burzę. Redfern przyspieszył i minawszy drewnianą kruchtę, wszedł do kościoła. Zamykając za sobą ciężkie dębowe drzwi, miał wrażenie, jakby ktoś założył mu słuchawki ochronne, których jedną parę widział pod rusztowaniem. Czuł się nieswojo, gdy jego kroki niczym wystrzały rozsadały panującą w nawie ciszę. Omszały zapach starego wnętrza wypełniał mu nozdrza, skutecznie odciągając od wspomnień, które zaczęły napływać niechcianymi obrazami.

Mijając rzędy ław, Redfern z niesmakiem stwierdził, że dwa wieki historii ukryto pod grubą warstwą białej farby, co odebrało kościołowi surowy charakter. Gdy dotarł do katedry, jego uwagę przyciągnęła marmurowa tablica. Zmrużył oczy, starając się odczytać napis: *Sua sorte contentus fretus temen spemelioris.*

– Zadowolony ze swego losu, mający nadzieję na lepszy.

Redfern usłyszał za sobą drżący głos. Kątem oka zobaczył zbliżającego się starczym krokiem pastora.

– Bardzo prawdziwe – rzekł inspektor, nie odrywając wzroku od tablicy.

– Tak, wielbny Dawson służył kościołowi swą mądrością ponad pół wieku.

– A pastor?

– Nieskromnie powiem, że przegoniłem ten wynik. – Uśmiechnął się zakłopotany. – Jednakowoż inteligencją nigdy mu nie dorównam.

– Teraz najbardziej potrzebna jest wiedza, a nie inteligencja pastora.

– Merton Addison – przedstawił się. – Służę pomocą. – Pastor wskazał na pierwszą z ław i usiedli. Chłód kamiennych ścian powoli przenikał przez

kurtkę Redferna, więc skrzyżował ręce na piersi, mając nadzieję zatrzymać choć trochę ciepła.

– Podejrzewam, że nikt nie zna Pirbright lepiej niż ksiądz – oznajmił inspektor i wyciągnął z kieszeni legitymację, na którą pastor zerknął przelotnie. – Czy wydarzyło się ostatnio w parafii coś, co mogłoby zapowiadać tę tragedię?

– Panie inspektorze, Pirbright to najspokojniejsze miasteczko, jakie znam. Przyjechałem tu w pięćdziesiątym czwartym jako młody ksiądz i zakochałem się. Nie było dla mnie ratunku. – Uśmiechnął się rozmarzony. – Tutaj życie płynie powolną strużką, z dala od wielkiej Tamizy. Trzy tysiące cichych i przyjaznych ludzi. Wciąż nie rozumiem, co się w ogóle stało.

– To ksiądz znalazł ślady krwi, prawda?

– Tak. Szedłem akurat przygotować się do mszy. Minąłem zachodnią furtkę i chciałem otworzyć północną, by wierni mogli wejść od strony centrum. To, że pomnik Stanleya jest brudny, zauważyłem dopiero, gdy wracałem. Z początku myślałem, że to jakiś dziwny akt wandalizmu, ale gdy podszedłem bliżej, nie miałem już wątpliwości. Zadzwoiłem na policję i wróciłem do kościoła, by się pomodlić.

– A co robił ksiądz wieczorem?

– Jestem podejrzany? – Pastor uniósł krzaczaste siwe brwi, które stanowiły jedyne owłosienie jego pomarszczonej głowy.

– Chciałem tylko ustalić, czy może coś pastor widział.

– Nie było mnie w domu. Około dziewiątej wieczorem wezwano mnie do ostatniej posługi. Jedna z parafianek dobiega końca swej ziemskiej ścieżki. Chociaż „dobiega” to złe słowo. Leży biedaczka od roku i już tylko czeka na wezwanie Pana.

– Gdzie jest ten dom?

– Czyli jednak jestem podejrzany?

– Proszę odpowiedzieć.

– Posiadłość Furzehill. – Westchnął głęboko. – Ta, co góruje nad Pirbright. Nie sposób nie znaleźć.

Redfern przypomniał sobie, że wjeżdżając do miasteczka, faktycznie widział wzgórze, a na nim potężny dom.

– To największy nagrobek, a właściwie głaz, na cmentarzu – odezwał się Redfern po chwili. – Nie wydaje się to pastorowi dziwne?

– Nie, zważywszy na to, kto pod nim leży. Nazwisko sir Henry’ego Mortona Stanleya nic panu inspektorowi nie mówi?

– Nie bardzo.

– To on odnalazł Davida Livingstone’a przy jeziorze Tanganika – wyjaśnił pastor z czułością i wstał. Przechodząc pod gotyckim łukiem, zniknął w cieniu prezbiterium. – Doktor Livingstone, jak przypuszczam – zacytował słynne zdanie i skinął na inspektora.

– No pewnie! – przytaknął Redfern.

Było mu głupio, że od razu nie skojarzył nazwiska słynnego podróżnika i dziennikarza, który wybrał się na mordercze poszukiwania zaginionego doktora. Wstał i podszedł do pastora, który stał przed złożoną tablicą. Nad połączoną płaskorzeźbą kontynentu afrykańskiego wyryto litery upamiętniające największe osiągnięcia Stanleya – odnalezienie Livingstone’a, poszukiwanie źródeł Nilu i Konga oraz walkę z niewolnictwem, chociaż Redfern kojarzył, że to ostatnie wzbudzało spore kontrowersje.

– Powinien spoczywać w Westminster, przy swoim przyjacielu – oznajmił kapłan.

– Dlaczego więc go tam nie pochowano? – zapytał Redfern, choć właściwie znał odpowiedź. Jednak to, co usłyszał od pastora, zdziwiło go.

– Takie było życzenie Stanleya. Wiedział, że gdyby złożono go w opactwie Westminsterskim, jego ukochana żona nie spoczęłaby obok niego.

Redfern odczytał datę śmierci podróżnika przypadającą na dziesiąty maja tysiąc dziewięćset czwartego roku i zwrócił się do pastora:

– Wróćmy jeszcze na chwilę do nagrobka. Jak ksiądz myśli, dlaczego ktoś zabija akurat w takim miejscu?

Duchowny nagle spochmurniał, jakby przygnieciony świadomością, że tuż za murami kościoła stały się rzeczy, które nigdy nie powinny mieć



miejsca na poświęconej ziemi.

– Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia. Od śmierci Stanleya minęło przecież sto lat.

– Fakt, ale pod głazem zauważyłem też marmurową tablicę.

– Zgadza się. W rodzinnym grobowcu spoczywają jeszcze adoptowany syn oraz wnuk Henry’ego.

– Znał pan któregoś z nich?

– Tak, George Stanley był moim przyjacielem. – Addison zapatrzył się w jedną z drewnianych figur wiszących na ścianie. – Zmarł w osiemdziesiątym szóstym, zdecydowanie za wcześnie. Jakkolwiek by patrzeć, wszyscy oni odeszli bardzo dawno temu.

– Z doświadczenia wiem, że nienawiść się nie starzeje.

– To tak jak miłość – odparł pastor.

Tego bym nie powiedział, pomyślał Redfern.

Dobiegło ich skrzypnięcie drzwi, a po nich świst wiatru, który porwał kilka ulotek leżących na stole przed wejściem. Summer bąknęła przeprosiny, pozbierała szybko kartki i podeszła do Redferna.

– W zasadzie możemy kończyć – oznajmiła.

– Czy mogę odprawić mszę? – wtrącił się pastor.

Redfern w pierwszej chwili chciał odpowiedzieć, że to absolutnie niemożliwe, ale Summer skinęła niezauważalnie głową.

– Myślę, że nie tylko pastor może, ale nawet powinien – odparł inspektor, chwając w duchu sierżantkę.

– W takim razie idę na dzwonnice ustawić automat – oznajmił ucieszony i zniknął w zakrystii. Redferna zdziwiła ta mechanizacja zabytkowego kościoła.

– Może uda się coś zaobserwować – powiedział, gdy upewnił się, że nie dotrze to do uszu pastora.

– Wszystko OK? – zatroskała się Summer, przyglądając się uważnie inspektorowi.

– Ciężka noc.

– Mnie to mówisz? Ten cholerny pims to prawdziwy morderca. – Sięgnęła do kurtki po blister ibuprofenu i bez popijania połknęła trzy

tabletki, a kiedy wewnątrz kościoła wypełniły uderzenia dzwonu, oznajmiła:  
– Bierzemy się do roboty.

Wyszli na dziedziniec. Metaliczny huk niósł się po miasteczku, a na ulicy zobaczyli zbliżających się do muru wiernych.

– Idę otworzyć furki – powiedziała Summer i osłaniając się od zimna, ruszyła w dół chodnika.

Redfern popatrzył na wiatrowskaz w kształcie złotego smoka, który zdecydowanie bardziej kojarzył mu się ze Świętym Jerzym aniżeli z patronem parafii. Mimo że wiatr ciągle zmieniał kierunek, bestia pozostawała nieruchoma, jakby zaciekawiona tym, co się dzieje na dole.

Zanim tłum wiernych dotarł do wejścia, Redfern przeszedł na tył kościoła, za którym rozciągał się wysoki żywopłot. Między gałęziami dostrzegł wtulony w pagórek niewielki dom. Wrócił do furki i idąc wzdłuż muru, dotarł do kładki przerzuconej nad strumieniem. Ku swojemu zaskoczeniu, na poręczy dostrzegł ostrzeżenie, by w nim nie pływać z powodu krokodyli. Redfern zdziwił się jeszcze bardziej, gdy zobaczył w dole zanurzonego po pysk plastikowego przedstawiciela gatunku. Żeby nie odpłynął, właściciel gada obciążył go metalową sztabą, której małeńki kawałeczek wystawał z głębi uzbrojonej w szereg zębów paszczy, nadając mu jeszcze bardziej groteskowy wygląd. Inspektor uśmiechnął się pod nosem i przeszedł na drugą stronę, zatapiając się w wąską ścieżkę. Najwyraźniej podróżniczy duch krążył wśród mieszkańców Pirbright, gdyż na szopie za ogrodzeniem zobaczył przybity znak (zapewne doprowadzony z jednej ze stacji kolejowych) oznajmiający, że znajduje się na terenie Londyńskiej Kolei Północno-Wschodniej.

To miejsce wzbudzało w nim tyle samo ciekawości, co rozbawienia. Mając nadzieję znaleźć świadka nocnych wydarzeń, pchnął furkę, do której gospodarz przybił kolejną tabliczkę. Tym razem ostrzegła ona, że nieproszeni goście zostaną skompostowani. Redfern przeszedł kamienną ścieżką do drzwi domu i zapukał. Nikt mu nie odpowiedział, więc spróbował jeszcze raz. Tym razem pukanie utonęło w dudnieniu kościelnych dzwonów, zatem je ponowił.

Przeszedł za dom i się rozejrzył. Pod szopą spoczywał kopiec drew, na który ktoś niedbale rzucił potarganą płachtę brezentu. W głębi podwórka wałały się sprzęty, z pewnością używane przez gospodarzy do obrabiania ogrodu, na który przewrócił się płot. O zniszczoną szklarnię stała oparta zardzewiała taczka. Wiatr niósł ze sobą zgniły zapach walających się po ziemi resztek jedzenia. Bałagan panujący w obejściu z pewnością miał jakieś usprawiedliwienie, a może nawet wzór, ale Redfern mimo wysiłku nie potrafił go dostrzec.

– No bez żartów – szepnął, wpatrując się w ogromną beczkę stojącą pod rozłożystym dębem.

Zrobił krok do przodu, ale natychmiast się cofnął. Bez nakazu nie powinno go tu w ogóle być. Opuścił podwórko i poszedł wzdłuż ogrodzenia, aż doszedł do kompostownika. Wciąż wpatrując się w wypchniętą klapę pojemnika, z której wystawał znajomy kształt, założył rękawiczki i uchylił górną pokrywę. Zawartość sprawiła, że śniadanie podeszło mu do gardła. Znalazł na ziemi gruby patyk i przełożywszy rękę nad siatką, zaczął nim przesuwac zgniłe resztki, które po chwili odsłoniły mroczny sekret.

Przez chwilę Redfern miał wrażenie, że patrzy na pokrytą brązowymi plamami czaszkę starego pastora, jednak w miarę jak odsuwał kolejne obierki i kości, dochodził do wniosku, że ma do czynienia z kimś młodszym. Drobnej budowy mężczyzna wyglądał, jakby kompostownik miał być jego kryjówką podczas zabawy w chowanego. Skulony, z podkurczonymi rękami czekał, aż ktoś go odnajdzie.

Redfern odłożył kij i poszedł w górę ścieżki. Jeszcze raz obejrzał się na klapę kompostownika, spod której wystawał czubek buta, i przebiegł przez kładkę.

Wślizgnął się do kościoła przez zakrystię. W drzwiach prowadzących do prezbiterium dostrzegł Summer, która dyskretnie przyglądała się siedzącym w ławach wiernym. Stanął koło niej i zapytał szeptem:

- Działo się coś?
- Nic. Siedzą i słuchają jak zakłęci, a pastor jedzie freestylem.
- Co?

– Improwizuje kazanie o piątym przykazaniu. – Uśmiechnęła się z przekąsem. – Było już o Kainie i Ablu, a teraz...

Redfern przerwał jej gestem. Wszedł na środek kościoła, który zalała betonowa cisza. Szepnął coś do pastora, a ten zrobił mu miejsce przy katedrze. Inspektor wspiął się na pulpit i zbliżył usta do mikrofonu.

– Proszę mi wybaczyć. Nazywam się Redfern i jestem inspektorem policji. Mam do państwa pytanie: do kogo należy dom przy kościele?

– Do mnie. – Słaby głos odbił się echem od ścian.

Inspektor Redfern odniósł wrażenie, że w głównej nawie kościoła St. Michael and All Angels zrobiło się jeszcze ciszej.

Widząc zbliżającego się człowieka, inspektor zyskał pewność, że to śledztwo odbije się szerokim echem nie tylko w Pirbright.



Wiatr ściągnął z nieba grubą zasłonę chmur, sprawiając, że zakrystie zalały promienie słońca. Pastor siedział skulony na krześle i trzęsącymi się dłońmi obejmował parującą filiżankę herbaty.

– To nie może być prawda. Mam osiemdziesiąt pięć lat i nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. To straszne. Biedny człowiek! Czy wiecie, kim on jest?

– Nie znaleźliśmy przy nim dokumentów, ale jeszcze nie skończyliśmy przeszukiwać kompostownika – odparła Summer, a na jej twarzy malował się grymas obrzydzenia.

– Czy słyszał ksiądz o jakichś zatargach czy konfliktach we wsi? – zapytał Redfern.

– Już panu mówiłem, inspektorze, że to spokojna miejscina. Tutaj ludzie nie wchodzą sobie w paradę. Odkąd pamiętam, nie było tu większych awantur. Zresztą prawda jest taka, że większość z nas to siwe emerytowane głowy.

Do pokoju wszedł Tinney i oznajmił, że są gotowi. Redfern skinął głową, zwracając się do staruszka:

– Czy pomoże nam pastor w identyfikacji?

– Czy to konieczne? – Przez twarz duchownego przemknął cień strachu.

– Myślę, że jeśli ktokolwiek może nam pomóc, to pastor – wtrąciła Summer.

Staruszek podźwignął się z krzesła i westchnął ciężko.

– Skoro tak, to zrobię, co w mojej mocy.

Wiatr nie ustawał ani na moment i gdy tylko opuścili zakrystię, uderzył ich silny podmuch. Pastor opatulił się płaszczem i podążył za Redfermem w stronę ukrytego domu. Gdy tylko minęli kładkę, zobaczyli stojącą na ścieżce Bente Hansen. Złotowłosa prokuratorka miała ściągnięte usta i zaczerwienione od zimna policzki, co jeszcze bardziej podkreślało jej norweskie pochodzenie.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – zapytała inspektora, gdy podeszli bliżej.

– Lepszego nie mam.

– Niech będzie – odparła i zrobiła miejsce, pozwalając przejść mężczyznom. – Porozmawiamy potem.

Redfern nie odpowiedział. Poprowadził pastora do miejsca, gdzie patolog Ted Meiklejohn zasuwał worek ze spoczywającymi w nim zwłokami, który miał wyjątkowo niespotykany kształt. Inspektor zauważył, że koło drzewa Matt pakuje piłę, którą rozciął kompostownik.

– Nie dało rady inaczej – skomentował Ted niezadowoloną minę inspektora. – Został włożony na świeżo, ale w beczce zeszywniał, biedaczysko.

– Na miłość boską, niech pan przestanie – fuknął pastor, coraz bardziej blady.

Redfern wiedział, że zaraz usłyszą zjadliwy komentarz patologa, więc rzucił tylko:

– Otwórz.

Ted posłusznie wykonał polecenie i ich oczom ukazała się niemal biała twarz z niedomkniętymi oczami. Leżący na boku mężczyzna wyglądał jak śpiące duże dziecko, choć sieć zmarszczek pokrywająca jego skórę

wskazywała, że od dawna bawił już wnuki. Ręce miał podciągnięte do głowy, a kolana pod brzuch. Redfern się zorientował, że nigdzie nie widać rany, którą zadał starcowi napastnik.

– To Kenneth O'Malley. Hodowca koni – oznajmił pastor, nie odrywając wzroku od mężczyzny spoczywającego na ścieżce. Redfern nagle poczuł, że duchowny napiera na niego plecami. W ostatniej chwili złapał staruszkę i bezpiecznie posadził na ziemi.

– Ted, wezwij karetkę – poprosił.

– Nie, nie trzeba – jęknął pastor. Miał przymknięte powieki, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała szybko. – Poproszę tylko o wodę.

Ted wstał i poszedł w stronę kościoła, a Redfern rozpiął kurtkę duchownego i poluzował kołnierzyk.

– Już mi lepiej, dziękuję – powiedział cicho. – Za dużo emocji. Za dużo lat. Znam Kennetha od dzieciaka. Niełatwy charakter, oj, niełatwy. Ale to dobry człowiek i nie zasłużył na taką śmierć.

– Miał z kimś szczególnie na pieńku? – zapytał Redfern, wciąż pochylając się nad pastorem.

– Z każdym po trochu, ale wie pan, panie inspektorze, to raczej były drobiazgi wynikające z tego, że Kenneth nie lubił ludzi. Jedyne, co kochał, to konie.

– Miał jakąś rodzinę?

– Syna, ale chyba nie utrzymywali kontaktów. Jak on miał na imię? – Staruszek popatrzył w dal, jakby przesuwał się po niebie chmury miały przynieść odpowiedź. – Nie przypominę sobie, przepraszam.

– Nic nie szkodzi – rzekł Redfern. – Proszę odpocząć. Na pewno nie potrzebuje pastor lekarza?

– Nie, wszystko w porządku. Proszę mi tylko pomóc wstać.

Inspektor podał mężczyźnie rękę, a ten uchwycił ją pewnym ruchem i podniósł się. Redfern stwierdził, że prawie nie czuje jego ciężaru.

– Woda – oznajmił Ted, który niespodziewanie stanął przed nimi. Wręczył pastorowi kubek i wrócił do ciała. Ze świstem zasunął zamek i skinął na swoich asystentów, którzy podeszli z noszami.

Pastor, wciąż wspierając się na Redfernie, nieruchomym wzrokiem patrzył, jak młodzi ludzie układają zwłoki na platformie.

– Proszę zaczekać – odezwał się słabym głosem, gdy asystenci podnieśli nosze. – Może pan odsunąć?

Ted złapał za maszynkę i otworzył worek. Pastor zrobił niepewny krok w przód i zbliżył dłoń do głowy martwego mężczyzny, a potem uczynił na niej znak krzyża.

Redfern polecił Summer, by zajęła się pastorem, a sam wrócił do ogrodu, gdzie wciąż pracowali ludzie Matta. Podszedł do szefa techników i zagadnął:

– Co macie?

– Wiem już, jak się znalazł w beczce. Przewieziono go na taczce. Znaleźliśmy na niej ślady krwi.

– Dobra robota – ucieszył się Redfern. – A odciski?

– Czysto, ale mam trochę włókien i czegoś, co przypomina pomarańczową gumę umazaną sadzą czy czymś podobnym. Podobne ślady znalazłem na pokrywie kompostownika oraz na kamieniu, którym uderzono ofiarę, ale nie wiem, czy to te same. Wygląda na to, że sprawca miał rękawiczki.

– Zatem morderca zna okolicę – skonstatował Redfern w zamyśleniu. – Możliwe też, że był w domu pastora i wiedział o taczce.

– Albo był pomysłowy i szybko działał.

– Wątpię. Tego domu nie widać ani z cmentarza, ani z drogi, a taczka pewnie stała w głębi ogrodu.

– Możliwe. – Matt wydawał się znudzony wywodami Redferna i sprawiał wrażenie, jakby tylko czekał, żeby wrócić do swoich zajęć. – W ogóle dziwne miejsce na schowanie zwłok, biorąc pod uwagę ostrzeżenie na furtce – dodał, wskazując na tabliczkę.

– Kolejny dowód na to, że to miejscowy – oznajmił patolog, który właśnie nadszedł od strony domu. – Pewnie chciał skierować uwagę na pastora.

– Albo miał pewność, że u niego nikt nie będzie szukał – podsumował Redfern.

– A ja chciałabym mieć pewność, że szybko zakończycie tę sprawę – rzekła Bente Hansen.

Prokuratorka, zwana przez wszystkich Dużą Elsą, zbliżała się do nich sprężystym krokiem. Jej długi warkocz w kolorze białego złota spoczywał na ramieniu niczym szal.

– Ostatnio trochę wam zajęło poskładanie sprawy do kupy – powiedziała z wyrzutem.

– Trzech spraw – poprawił ją Ted i odszedł, mrużąc coś pod nosem.

– Jasne. – Wzruszyła ramionami. – W tej wsi raczej nie powinno być problemu. Od czego zaczniecie?

– Od sprawdzenia alibi pastora – oznajmił Redfern i chciał się oddalić, ale Elsa złapała go za ramię.

– Jeszcze chwila, inspektorze.

– To ja wracam do pracy – bąknął Matt i wycofał się w stronę rozciętej beczki.

Gdy zostali sami, prokuratorka przełożyła na plecy swój warkocz i spojrzała surowo na Redferna.

– Słyszałam, że odchodzisz – syknęła. – Teraz? Powaliło cię?

– Jak widzisz, jeszcze tu jestem. – Rozłożył ręce w geście rezygnacji.

– Nie dowcipkuj, tylko powiedz, co kombinujesz.

– Mam po prostu dość, Bente. Ostatnio dużo mi się zwaliło na łeb i jakoś nie mogę tego udźwignąć. Prawda jest taka, że gdyby nie czujność Tinneya, pokpiłbym sprawę Rudda.

– Skoro przy tym jesteśmy, to wiesz, że dziś odebrali mi sprawę dzieci z Sheerwater?

– Pieprzysz. To nasze śledztwo! Gdybyśmy się nie urabiali po łokcie, to gównu by wiedzieli. Wchodzą na gotowe.

– Mnie to mówisz? – Pełne wargi Bente zmieniły się w cienką, niemal siną kreskę. – Powiem ci, w co się gra, Dave. Linda była tuż przed awansem, stary Johanes idzie niedługo na emeryturę, a Knight nie wiadomo kiedy wróci – szeptała histerycznie. – Jesteś przedostatnim starszym oficerem. Zaraz przydzielą nam jakiegoś palanta, który przekona władze, że utrzymanie naszej komendy to absurd. Oddelegują nas do jakichś dziur,



a zostawią tylko śmieszny posterunek. Jeszcze wspomnisz moje słowa. Wszystko się centralizuje.

– Nie panikuj. Na miejsce Johanesa wskoczy Summer. Spokojnie ogarnie jego ludzi, może nawet dostanie awans. Powiedzmy, że pozwolę jej się wykazać. Knight nie da się usadzić w domu i lada moment przekroczy próg komendy. Wtedy McMahon weźmie kryminalną i po sprawie. W międzyczasie Linda dojdzie do siebie i wróćcie do stanu sprzed mojego wątpliwego awansu.

– Dla ciebie to wszystko takie proste, co?

– Nie lubię komplikować sobie życia. – Wzruszył ramionami i odszedł. Między dźwięczeniem dzwonów na kolejną mszę usłyszał jeszcze coś o raporcie i uśmiechnął się pod nosem na myśl o tym, że Duża Elsa chwyciła się brzytwy typowej dla wszystkich zdesperowanych prokuratorów.

Wbrew temu, co powiedział Bente, Redfern wrócił na teren kościoła. Z zakrystii doszły go głosy Summer i pastora. Zdziwił się, że sierżantka nie odprowadziła słaniającego się staruszka do domu. Spod przykrytych kurzem wspomnień dotarło do niego przysłowie, które często powtarzała jego matka: jak trwoga, to do Boga.

Obchodził cmentarz, przyglądając się nagrobkom, z których czas do spółki z deszczem usunął nazwiska i daty. Spękane omszałe płyty wskazywały, że poza nimi nie ma już nikogo, kto by pamiętał śpiących tam ludzi. Nagle usłyszał nad sobą metaliczny łomot, a gdy spojrzał w górę, zauważył, że stojąca na rusztowaniu drabina kolebie się niebezpiecznie. Zanim zdążył zareagować, kolejny podmuch zepchnął ją z platformy i sprzęt runął wprost pod nogi Redferna.

– Nic ci się nie stało? – Summer wybiegła z zakrystii i dopadła do inspektora. Za nią drobnym krokiem podążał pastor.

– Tyle razy prosiłem, żeby sprząтали po sobie! – Uniósł pięść w gniewie. – Skaranie boskie z tymi robotnikami. Mam nadzieję, że nic panu nie jest.

– Nie, wszystko w porządku – zapewnił Redfern, podnosząc drabinę z ziemi. Przeszedł z nią pod mur okalający cmentarz, odłożył ostrożnie i wrócił do nich.

- Chciałbym zapytać jeszcze pastora o taczkę.
- Nie rozumiem. – Staruszek zmrużył oczy i ściągnął brwi.
- O tę, co stoi u pastora w ogrodzie.
- Ale ja nie mam żadnej taczki. – Zdziwił się.
- Więc do kogo należy?
- Pewnie do robotników remontujących dach – odparł pastor. – Będą tu jutro z samego rana, to może pan o to zapytać.
- Jak nazywa się ta firma budowlana?
- L&D Construction, miejscowy fachowiec. Mam do niego numer telefonu w notesie. Zaraz przyniosę – powiedział i poszedł w stronę kościoła.
- Pierwsza myśl? – zapytał Redfern, gdy pastor oddalił się na bezpieczną odległość.
- Stary koniarz zaszedł komuś za skórę – odparła Summer. – Ktoś go tu zwabił i wyrównał rachunki.
- No właśnie – rzekł Redfern i wskazał na nagrobek. – Tu. Dlaczego akurat tutaj?
- Tak, miejsce zupełnie nie pasuje. – Summer w zamyśleniu przygryzła palec. – No i jeszcze to podrzucenie zwłok pastorowi. Z jednej strony kamień wskazuje na zabójstwo w afekcie, a z drugiej na przemyślaną zbrodnię.
- Albo próbę zrządzenia winy na pastora.
- Więc możliwe, że nasz morderca miał zatarg i z ofiarą, i z klechą.
- Za plecami Summer Redfern zauważył zbliżającego się pastora, który zdawał się odzyskać siły.
- Niestety nie mogę znaleźć notesu, ale firmę prowadzi mój stary znajomy, Ben Green. Mieszka przy Chapel Lane. Numeru nie pamiętam, ale to najładniejszy dom w uliczce, znajdziecie. Swoją drogą, myśli pan, że Ben może mieć z tym coś wspólnego? – zapytał z troską w głosie.
- Na razie chciałbym z nim po prostu porozmawiać – odparł Redfern i widząc odjeżdżający wóz patologa, zwrócił się do sierżantki: – Sprawdź, co się dzieje u Matta.
- Jasne – rzuciła Summer i odeszła.

– Czy zna pastor kogoś, komu śmierć Kennetha mogła być jakoś na rękę?  
– Redfern ponownie zwrócił się do pastora.

– Na pewno nie na tyle, by posunąć się do morderstwa. Tak jak mówiłem, Kenneth nie miał przyjaciół, ale też nie miał zajadłych wrogów. Po prostu nie był tu lubiany. Za to jeśli chodzi o hodowlę koni, to nie miał sobie równych. Toteż ludzie prosili go często o pomoc przy swoich zwierzętach, a on nigdy nie odmawiał.

– Czyli aż tak zły nie był? – dopytywał Redfern.

– Powiedzmy, że bardziej kochał zwierzęta niż ludzi.

Od strony żywoplotu nadeszła Summer i oznajmiła że technicy skończyli i szykują się do powrotu do Guildford. Redfern uznał, że oni też mogą odjechać.

Niedziela, 1.12.2013, południe

Jadąc wąską Chapel Lane, rozglądali się uważnie, by nie przegapić domu. Gdy dotarli do skraju kutego ręcznie ogrodzenia, nie mieli wątpliwości, że są na miejscu. Redfern wjechał przez strzelistą bramę i zaparkował na podjeździe wyłożonym białymi kamieniami. Pastor miał rację, dom odróżniał się od wszystkich przy tej uliczce i można było przyjąć, że mieszka w nim ktoś, kto wyjątkowo dba o estetykę. Wysiedli z auta i skierowali się do pokrytego trzcina bungalowu. Szachulcowa fasada kończyła się niespodziewanie połączeniem lustrzanego szkła, w którym odbijało się niewielkie oczko wodne ukryte za przepierzeniem z egzotycznych krzewów.

– Wiedziałem, że do mnie zawitacie – zakrzyknął brzuchaty mężczyzna, który czekał na Summer i Redferna w progu. Gdy podeszli bliżej, odsunął się, by wpuścić ich do środka. Po wymianie uprzejmości poprowadził ich do kuchni w stylu kolonialnym. Usiedli na hokerach przy wysokim blacie. Gospodarz podał im gorącą herbatę, za którą byli mu wyjątkowo wdzięczni.

Oboje opletli zmarzniętymi palcami filiżanki i dopiero po pierwszym łyku Redfern wyciągnął z kurtki notes i przystąpił do zadawania pytań.

– Co pan robił wczoraj wieczorem?

– Od razu do konkretów, co? – Gospodarz odstawił czajnik. Usiadł naprzeciwko policjantów i patrzył na nich przez chwilę znad gęstej brody. Po chwili odchrząknął i powiedział: – O dwudziestej byłem z córką w Odeonie w Guildford.

– Na czym? – zapytała Summer, a Redfern w duchu pochwalił ją za skrupulatność.

– Co? – Budowlaniec uniósł krzaczaste brwi.

– Na jakim filmie był pan w kinie?

– *Thor: Mroczny świat* – odparł pewnie. – Moja Agnes za tym szaleje, ale nie jestem do końca pewien, czy za samą historią, czy jednak za tym aktorem. – Roześmiał się, ale szybko się zmytygował. – Po filmie wróciłem do domu, a potem poszedłem jeszcze popykać w darta do White Hart. Skończyliśmy, gdy zamykali bar, to znaczy przed pierwszą.

– Co było potem?

– Poszedłem do domu, porozmawiałem z żoną i poszliśmy spać. Koło dziesiątej obudził mnie telefon barmana, bo zostawiłem czapkę. Przy okazji powiedział mi, że stary Kenneth O'Malley nie żyje. Tak po prawdzie to myślałem, że przez tę wichurę spadło na niego nasze rusztowanie. A wy mi teraz mówicie, że został zamordowany. Co za los!

– Kiedy ostatnio był pan na parafii? – odezwała się sierżantka i upiła łyk herbaty, nie zważając na przejęcie mężczyzny.

– Chyba jakoś w ubiegły wtorek. – Zamyślił się. – Zawiozłem sprzęt. Potem już tylko raz, dać wypłatę chłopakom.

– Mogę prosić nazwiska i adresy tych ludzi?

– Jasne. Już zapisuję. – Ben wstał i zerwał ze ściennego notatnika kartkę, na której napisał dane pracowników. Przyjmując od niego kartkę, Redfern zauważył, że mężczyzna zapisał również adres. Dla wszystkich ten sam.

– Długo dla pana pracują? – spytała Summer, zerkając na obco brzmiące nazwiska.

– Stefan się zgłosił, gdy dałem ogłoszenie o pracę. Potrzebowałem ludzi do wymiany dachu w kościele. Gdzie ja nie dawałem ogłoszeń, to sobie nie wyobrażacie! – trajkotał Ben. – Strasznie dziś trudno o dobrych fachowców, a Stefan wydawał się bardzo konkretny, no i od razu miał kolegów, którzy też wydawali się w porządku. Vaclav jest trochę wolny, ale przemykamy na to oko, a Jonas zagląda do butelki, za to pracuje ciężko i ma pomysły. Myślę, że po skończonej robocie zostawię ich w firmie.

– Znał pan Kennetha O'Malleya? – zapytał inspektor, gdy budowlaniec skończył swój wywód i usiadł z powrotem.

– Chyba całkiem nieźle – odparł Green. – Pomagał mi czasem naprawić jakąś maszynę. Moje córki trzymają u niego swoje konie. Stary znał się na tym. Kochał te zwierzęta jak nikt. Ba! On nawet wyglądał, jakby nigdy nie zsiadał z siodła.

– Miał własną stadninę? – zdziwił się Redfern, bo nikt inny o tym nie wspominał.

– Kiedyś tak. Jakie on miał piękne konie, to sobie nie wyobrażacie, ale teraz... Ech, szkoda słów. Sprzedał wszystkie zwierzęta i większość terenu, żeby pokryć długi. W ostatnich latach opiekował się tylko kilkoma końmi z okolicznych wioch. Dodatkowo pracował w dwóch stadninach, Bradley i Manor Barn. Tyle wiem.

– Zna pan jego syna?

– Jacka? Tylko z opowieści. Nie utrzymywał kontaktów z ojcem.

– Wiem pan, co ich poróżniło? – Redfern zapisał imię syna ofiary.

– Stare dzieje. Podobno żona Kennetha wyprowadziła się, kiedy ich syn był jeszcze mały, jakoś w latach osiemdziesiątych. Jedni mówili, że to dlatego, że O'Malley ją bił, a drudzy, że to on ją wystawił za drzwi, bo go zdradzała. Żadna z tych wersji nie wydaje mi się prawdziwa.

– Dlaczego?

– Wie pan, ja całej tej hecy nie pamiętam, ale jestem pewien, że ludziska dołożyli do tego sensacji. Fakt, Kenneth był gburem, ale na pewno nie brutalem. Ona natomiast raczej nie miała szans, by go zdradzać.

– Okazja czyni złodzieja – wtrąciła Summer.

– Pirbright nie jest najlepszym miejscem na romanse, proszę pani. Jeszcze nie zdąży pani kichnąć, a już na drugim końcu wiedzą, że to grypa.

– U nas w Woking jest podobnie. – Sierżantka uśmiechnęła się znad filiżanki.

– Eee tam, Woking to przy nas metropolia. – Green machnął ręką.

– Tym większa siła plotki – odparła Summer.

Niedługo później pożegnali się z budowlańcem i wsiedli do samochodu. Redfern dopiero przy cofaniu zauważył, że dom jest na sprzedaż. Przyczepiona do wysokiej tyczki tablica agencji nieruchomości chybotąca się na wietrze niczym chorągiewka. Gdy minęli bramę, inspektor się odezwał:

– Podejrzenie dużo wie o sytuacji rodzinnej O'Malleyów, nie sądzisz?

– Tu wszyscy żyją plotkami. – Wzruszyła ramionami i wpakowała sobie do ust kolejne tabletki ibupromu. – Poza starym pubem i stawem z kaczkami nie ma tu innych rozrywek. Wiesz, jakich sensacji się dowiedziałam, przepytując świadków, którzy podobno nic nie widzieli?

– Mogę się tylko domyślać. – Redfern uśmiechnął się pod nosem. – Słuchaj, pojedziesz rozpytać tych trzech. – Wręczył sierżantce kartkę, którą wyciągnął z kieszeni kurtki. – Weź sobie do pomocy Tinneya.

– Sama sobie poradzę.

– Tego jestem pewien, bardziej chodzi mi o Puskę. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Skoro tak stawiasz sprawę. – Pokręciła głową, próbując zapanować nad kącikami ust.

Wrócili na teren kościoła, na którego schodach czekał na nich posterunkowy Christopher Tinney.

– Masz coś więcej?

– Ted powiedział, że będzie gotowy na jutro po południu, najdalej na wtorek rano, bo ma na stole jakiegoś topielca. Duża Elsa poklepała nas po ramieniu i odjechała chyba jeszcze przed wami – referował, trzęsąc się z zimna. – Matt i ekipa zebrali pół wozu śmieci. Zgarnęli też kompostownik.

– Po co?

– Powiedział, że będzie do ciebie dzwonił w tej sprawie.

– Nie mógł powiedzieć tobie?

Tinney rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Dobra, wy jedziecie do pracowników L&D Construction, a ja obejrzę sobie dom Kennetha O'Malleya. Ustalcie w międzyczasie adres jego syna.

Niedziela, 1.12.2013, popołudnie

Wąska i stroma uliczka Mill Lane zaskoczyła Redferna. Zredukował bieg, ale samochód nie chciał się zebrać. Wyjący pod maską silnik dawał do zrozumienia, że wspinaczka na pagórek, na którym mieszkał Kenneth O'Malley, była dla małej toyoty zbyt dużym wysiłkiem. Inspektor spojrzął na kolejny zakręt, za którym droga zdawała się piąć niemal pionowo, i zjechał na pobocze. Zauważył na nawigacji, że blisko tego miejsca znajduje się ścieżka publiczna, prowadząca do ziem hodowcy koni, a dojście tam powinno zabrać mu sześć minut. Wysiadł z auta, zatrzasnął drzwi i odnalazł dróżkę wijącą się między gęstymi krzakami, które osłaniały Redferna od wiatru. Szedł kamienistym wąwozem, dysząc i przeklinając, że jednak nie wycisnął z auta trochę więcej. Kiedy jednak dotarł na rozległą polanę, na której pasły się przykryte derkami konie, zapomniał o zmęczeniu. Rozprostował się i próbując zapanować nad oddechem, napawał się widokiem. Targane wiatrem trawy raz się kładły, to znów stawały na sztorc, dając Redfernowi poczucie, że stoi pośrodku szarozielonego oceanu. Inspektor zrobił kilka kroków do przodu. Konie podniosły głowy i strzygąc uszami, przyglądały się uważnie przybyszowi, który swą obecnością zakłócił im posiłek.

Na horyzoncie dostrzegł panoramę Woking. Z tej perspektywy kolaż dachów wyglądał jak wtulone w spokojną dolinę stalowe jezioro. Pchnięty ciekawością przeszedł na drugą stronę polany, by się przekonać, czy uda mu się wypatrzyć Guildford. Jednak zanim dotarł na skraj łąki, jego uwagę

przykuł kształt ostro odcinający się od krajobrazu. Osłaniając się od wiatru, który rozwiął mu rozpiętą kurtkę, Redfern podszedł do skraju pagórka, zza którego wystawało ramię koparki.

W dole zbocza zobaczył potężne doły, częściowo już zalane betonem, które układały się w fundamenty blokowiska. W połowie przecięta budowlanym ogrodzeniem posiadłość sprawiała wrażenie okaleczonej. Rozdarta tkanka łąki zionęła czarnymi placami rozkopanej ziemi, a powalone stare drzewa wyglądały, jakby się przewróciły, nie mogąc znieść tego widoku. Redfern wyobraził sobie, jak niegdyś musiało być tu pięknie, i ogarnął go dziwny smutek. Surrey rozwijało się w zastraszającym tempie, wydzierając naturze najpiękniejsze fragmenty.

Odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę stadniny, którą zauważył, gdy tylko wspiął się na wzgórze.

Właściciel firmy budowlanej nie mylił się, twierdząc, że O'Malley miał kłopoty finansowe. Pokryta grubą warstwą mchu centralna część dachu domu zapadła się pod swoim ciężarem, a po ciemnych i ponurych oknach spływała wilgoć. Kontrastowo do tego w oddali błyszczało nowe pokrycie budynków stadniny, zbudowane z jasnej cegły.

Redfern podszedł do drzwi domu i zapukał, nie wiedząc, czy może spodziewać się kogoś w środku. Odczekawszy chwilę, chwycił za klamkę, która ustąpiła pod naciskiem. Nagle silny podmuch wyrwał skrzydło z dłoni inspektora, ukazując ponury korytarz. Policjant zrobił krok do przodu i zawołał, jednak gdy odpowiedź nie nadeszła, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, pogrążając się w ciemnościach. Odczekał chwilę, dopóki wzrok mu się nie przyzwyczaił, i ruszył w stronę jedyne źródła światła.

Kuchnia przypominała salę operacyjną, każda rzecz zdawała się mieć swoje miejsce. Pamiątkowe magnesy na lodówce przytrzymujące recepty i listy zakupów O'Malley poustawiał w trzech równych rzędach. Redfern pomyślał, że jeśli z taką pedanterią Kenneth podchodził do opieki nad końmi, to nic dziwnego, że mimo trudnego charakteru wciąż miał klientów.

Inspektor dłuższą chwilę przyglądał się wypolerowanemu szafkom, lśniącej kuchence i nożom pionowo zwisającym z magnetycznej taśmy niczym sople z dachu. Jedynym odstającym od tej nienaturalnej gładzi



elementem była niedomknięta szuflada. Redfern podszedł do niej i dotknął uchwyty, lecz zanim zdążył za niego pociągnąć, zobaczył za oknem przemykający cień. Dopadł do parapetu, jednak nikogo nie zauważył. Wrócił do szuflady i otworzył ją, ale poza równo poukładanymi szpulkami nici, nożyczkami i pudełkiem z reklamowymi długopisami nie dostrzegł niczego istotnego.

Minął drzwi, przeciął w poprzek korytarz i znalazł się w pokoju, który na pierwszy rzut oka należał do zupełnie innej osoby niż kuchnia. Redfern nie był pewien, czy bałagan pojawił się sam, czy też spowodował go ktoś, kto czegoś szukał. Na skórzanej kanapie leżały pootwierane książki i teczki wypełnione papierami. Na stole pod oknem niczym wielki obrus spoczywała mapa Surrey, którą O'Malley obsiał czarnymi krzyżykami i adnotacjami. Na podłodze walały się papiery, listy i kserówki starych dokumentów.

Redfern kucnął i zebrał kilka losowych kartek, które następnie uważnie przejrzał. Wynikało z nich, że Kenneth O'Malley prowadził badania historyczne regionu obejmujące cały dziewiętnasty i dwudziesty wiek. Inspektor znalazł kserokopie aktów nadania i kupna ziemi, spisy ludności, zdjęcia starych mieszkańców Pirbright oraz licznych budynków.

Wstał i ponownie przyjrzał się mapie. Krzyżyki najmocniej zagęszczały się wokół Furzehill i Redfern natychmiast skojarzył, że to tam udał się pastor, kiedy najprawdopodobniej został zamordowany O'Malley. Odnotował w pamięci, by zaraz po zebraniu z załogą zapytać mieszkańców posiadłości o ostatnie namaszczenie.

Odłożył trzymane w rękach dokumenty i wyszedł z pokoju.

W łazience znów odnalazł taki sam porządek, jaki panował w kuchni. Jedynie w szklance na sztuczną szczękę zauważył osad.

Przy końcu korytarz się rozwidłał, prowadząc do dwóch małych sypialni. Pierwsza z nich wyglądała na nieużywaną, w drugiej znalazł pościelone łóżko i szmacianą szafę zawiązaną na misterne kokardki. Odwiązał dwie z nich i zajrzał do środka. Tak jak się spodziewał, wewnątrz przypominało półki w ekskluzywnym sklepie – równo złożone kostki swetrów i polówek tworzyły proste wieże. Redfern zawiązał troczki z powrotem i odwrócił się.

Na szafce nocnej oprócz szklanki z wodą zauważył książkę. Podniósł ją. *Biblia odżywiania koni*, przeczytał na okładce, na której gniady koń wgryzał się w soczystą zielen trawy. Odkładając wolumin, zauważył, że spomiędzy pozółkłych stron wystaje zakładka. Wyciągnął ją i bez większego zdziwienia stwierdził, że trzyma w ręku wizytówkę. Odwrócił ją w palcach. Na purpurowym kartoniku błysnęło srebrne logo przypominające starą królewską monetę i litery „G.C.”.

Zamknął za sobą drzwi i poszedł do budynków stajni. Po drodze minął chylącą się ku ziemi chatę, porośniętą gęstą siecią brązowej o tej porze roku winorośli.

Większość boksów zionęła pustką, choć w żłobach czekały na mieszkańców spore porcje czegoś, co kojarzyło się Redfernowi z owsianką. Idąc korytarzem, nabierał przekonania, że O'Malley nie mógł prowadzić stadniny sam, choć jak dotąd żaden ze świadków nie wspominał o współpracownikach. Zza drewnianej przegrody wysunęła się głowa karego konia. Lśniaca grzywa opadała czarną kaskadą aż do krawędzi drzwi. Redfern podszedł do niego i poklepał go po ganaszu, na co koń zareagował cichym parsknięciem. Czując pod palcami ciepło zwierzęcia, pomyślał, że przyjemnie byłoby teraz wsiąść na niego i pogalopować po rozległej łące.

Nagle usłyszał niespokojne rzenie pozostałych koni i trzeszczenie zgniatanej ciężkimi krokami słomy. Obejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Pobiegł w stronę wyjścia, gdzie natychmiast owionął go lodowaty podmuch. Na szczycie zobaczył ludzką sylwetkę.

– Hej! Proszę zaczekać! – krzyknął i rzucił się biegiem w stronę uciekającej postaci. W tym samym momencie mięśnie przeszył mu ból, jakby ktoś wbił w nie miliony rozżarzonych igieł. Wiedział, że toczeń, z którym walczył od paru lat, przypomni mu jeszcze nieraz dzisiejszą niefrasobliwość.

– Zatrzymaj się! Policja! – wrzasnął i postać znieruchomiała. Pokonując zeszytywnienie, Redfern dogonił ubraną w ogrodniczki i flanelową koszulę kobietę. Na jej ogorzalej twarzy strach mieszał się z nieufnością.

– Inspektor Redfern. Policja Woking – wydyszał policjant. – Co pani tu robi?

– Pracuję, jak widać. – Rozłożyła ręce, prezentując opięty brudnym jeansem brzuch. – Chłopa nie mam, to trzeba zasuwać, nie?

– Dlaczego pani uciekała?

– Myślałam, że to komornik, i chciałam zadzwonić do pubu White Hart, czy Kennetha tam nie widzieli.

– Nie mogła pani na komórkę?

– O'Malley i komórka? – prychnęła, jakby Redfern opowiedział średniej jakości dowcip. – Panie, on by wciąż koniom słomę podkładał zamiast peletu, gdyby mu ludzie nie kazali inaczej. Cięty był na zmiany jak osa. Żadne tam komórki, internety! – Zarechotała. – Zresztą tu i tak zasięgu nie ma. No więc co? Komornik nie dał rady, to policję przysłał?

– Niezupełnie – odparł twardo Redfern, odzyskując oddech i siłę w nogach. – Kiedy ostatni raz widziała pani Kennetha O'Malleya?

– A po co panu policjantowi to wiedzieć?

– To ja tu zadaję pytania, pani...

– Bevan. Caroline Bevan.

– No więc? Kiedy ostatni raz widziała pani Kennetha? – zapytał inspektor z naciskiem.

– Wczoraj około ósmej, kiedy wychodził od ojca.

Redfern zdziwił się, ale nie dał tego po sobie poznać. Nikt jak dotąd nie wspominał o ojcu. Ani też o Caroline Bevan. Powoli się przekonywał, że będzie mu trudno przebić się przez ten zwarty wiejski mur.

– Gdzie to było?

– Tam. – Bevan wskazała na wałącą się chatę, z której komina unosiła się teraz cienka smużka dymu, natychmiast porywana przez wiatr. – Leży chłopsko, jeszcze kiedyś to wstawał, ale teraz to Kenneth się nim zajmuje. Ja też tam od czasu do czasu zajdę i do ognia dołożę. Kennetha nie stać na ośrodek. Zresztą na niewiele go stać.

– Zajrzę tam później – odparł Redfern, patrząc na porośnięte mchem kamienne ściany domku. – Co może pani powiedzieć o O'Malleyu?

– W porządku gość. – Bevan wyciągnęła z przedniej kieszeni ogrodniczek długie źdźbło słomy, wsadziła sobie do ust i zaczęła przeżuwać jego końcówkę. – Trochę szorstki, ale w porządku.

– Dlaczego ścigają go dłużnicy? Wydaje się, że sprzedał ziemię jakiemuś deweloperowi. – Redfern odwrócił się w stronę, gdzie wcześniej widział sprzęt budowlany.

– Coś pan? Wcale nie sprzedał. Wydarli mu to z rąk, złodzieje!

– Nie bardzo rozumiem.

– Nic tu do rozumienia nie ma. To była dzierżawa, która po stu latach wygasła. Stary O'Malley zapomniał o tym powiedzieć synowi i Kenneth musiał się pogodzić z tym, że na południowym zboczu wyrosną te potworki. – Wskazała na zbocze. – Nie znam szczegółów. Jedyne, co wiem, to to, że Kenneth walczył z całym hrabstwem, zadłużył się u wszystkich świętych, ale przegrał. Zostawiono mu tylko ten ochłap.

– Nie mógł przedłużyć, dogadać się z hrabstwem?

– Pewnie, że mógł, a jakże! Gdyby tylko znalazł dwadzieścia milionów.

– Dwadzieścia milionów?

– Gówno tam wiecie w tej policji. – Splunęła słomką przed siebie i przetarła twarz, rozmazując na niej smugi kurzu. – Na tamtej ziemi stał dom O'Malleyów z dziada pradziada. Kupili go jakoś w tysiąc dziewięćset ósmym czy coś. Podobno sam Stanley pomógł, ale tego to tam nie wiem na pewno. Pewne jest zaś, że ziemia jednak należała i należy do hrabstwa. Przecież do tej pory tak jest, nie wie pan?

– Tak, wiem – odparł bez przekonania. Jego myśli skupiły się na tym, że znów pojawia się postać podróżnika.

– No to pan wie, że przedłużenie ani nie jest łatwe, ani tanie. Tak czy siak Kenneth nie przedłużył dzierżawy, a walcząc z biurokracją, stracił i majątek, i zdrowie. Narobił sobie za to wielu wrogów.

– A konkretniej?

– Konkretniej się nie da, drogi panie. Kenneth miał przeciwko sobie pół Pirbright. Wie pan, ludzie chcą zmian, a nowe osiedle to rozwój miasteczka i pieniądze. On miał w sumie tutaj najwięcej ziemi, nie licząc Furzehill, ale tam to nikt nie wtrzymania nochala, bo to prywatne przecież jest.

- Czy ktoś mu groził?
- Eee, aż tak to nie. Ludzie tylko pozabierali swoje konie, żeby zmusić go do wycofania roszczeń. Mnie się zdaje, że mógł wygrać tę sprawę, ale kasy zabrakło.
- To dlatego w domu jest tyle starych dokumentów? Szukał punktu zaczepienia?
- Jakich dokumentów?
- Zauważyłem, że w jednym z pokoi jest mnóstwo map i papierów – wyjaśnił Redfern.
- Panie, a ja wiem, co on tam w domu ma? Ja się nie pcham nikomu do chaty, jak mnie nie zapraszają. Pewnie jak pan zaczeka, to zaraz przyjedzie i sam powie, co tam w tych papierzyskach jest.
- Obawiam się, że nie przyjedzie – rzekł Redfern, nie mogąc już dłużej utrzymywać tajemnicy.
- Jak to? – Caroline Bevan zmrużyła oczy.
- Kenneth O’Malley został tej nocy zamordowany – oznajmił.
- Święty Michale i wszyscy aniołowie! – zakrzyknęła i złapała się za serce. Jej twarz, dotąd zaczerwieniona od zimna, przybrała barwę mgły. Redfern był pewien, że kobieta za chwilę osunie się na ziemię. – Ale jak? Jak to się stało?
- Proszę mi powiedzieć, o której dokładnie...
- Zaraz, zaraz. – Kobieta zrobiła mały krok do tyłu i z tej pozycji przyglądała się podejrzliwie Redfernowi. – Pan był w domu, co nie?
- Tak. – Inspektor pożałował, że mówiąc o dokumentach, zdradził się z wizytą. – Drzwi były otwarte.
- Ale to niemożliwe! Kenneth zawsze zamykał za sobą drzwi. Wracał czasami, żeby sprawdzić i się upewnić, czy wszystko jest w porządku. – Caroline Bevan kiwała gorliwie głową. – To jest, znaczy się był, bardzo dokładny chłop. Nic mu nie umknęło, a już na pewno nie otwarte drzwi. Co to, to nie!
- Czy widziała pani kogoś dzisiaj albo wczoraj wieczorem na farmie?
- Nie, poza mną i moimi córkami nikt tu nie przychodzi. Oporządzamy stajnie i konie. Kenneth, jak mógł, to płacił mi jakieś pensy, ale w sumie

jestem na emeryturze i mogę sobie odpuścić zbijanie kokosów. Są też właściciele koni, ale ostatni był tu ze trzy dni temu. – Zamyśliła się, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. Jednak pamięć musiała zabrać ją w przygnębiające miejsce, gdyż po chwili spojrzała na Redferna oczami pełnymi łez. – Biedny Kenneth, całe życie nieszczęśliwy – westchnęła.

– Zna pani syna Kennetha?

– Jak się Kenneth podchmielił, to czasem mówił o synu, ale niewiele. Podobno matka zabrała chłopaka, jak był mały, i Kenneth nie miał z nim kontaktu. Nikt właściwie nie wie, co się stało. Moje stare kości mówią mi jednak, że prawda leży pośrodku, a jak nikt nie zawinił, to zawinili po trochu wszyscy.

Redfern milcząco przyznał jej rację.

– Czy może mnie pani zaprowadzić do ojca Kennetha O'Malleya?

– Jasne, chodź pan. Może to i lepiej, że z panem pójdę, bo jeszcze stary gotowy zejść z tego świata, jak mu policja bez zapowiedzi wpadnie do domu.

Zeszli kawałek w dół zbocza i stanęli na betonowym podeście, od którego odchodził drugi chodnik, prowadzący w stronę lasu. Zdawało się, że kończy się na ścianie drzew, za którą rozciągała się budowa, ale Redfern uznał to za złudzenie.

– Albert! – krzyknęła kobieta do środka, gdy tylko uchyliła drzwi. – To ja, Caroline!

– Chodź, kochana, chodź. Ten łajdak od wczoraj u mnie nie był!

Caroline posłała inspektorowi przerażone spojrzenie i nerwowo pokręciła głową. Redfern wiedział, że nie może zataić śmierci Kennetha, ale też nie chciał narażać umierającego staruszka na stres. Skinął na znak, że będzie milczał.

– Mamy gościa – krzyknęła w stronę drzwi, zdejmując buty.

– A ładny chociaż?

– Przecież ty i tak guzik widzisz!

Usłyszeli suchy śmiech, który natychmiast przerodził się w rwący kaszel. Caroline minęła Redferna i stanęła w progu pokoju, z którego dochodził głos O'Malleya.

– Wchodźże, dziewczyno. Musisz mi poprawić łóżko – rozkazał.

Kobieta weszła do pokoju, ale zanim w nim zniknęła, dała Redfernowi znak ręką, by zaczekał. Inspektor rozejrzał się po przedpokoju. Właściwie nie różnił się od stajni, którą oglądał pół godziny temu. Dolną połowę sinych od brudu ścian pokrywała podrapana boazeria. Wszędzie wisiały zakurzone zdjęcia koni i stare podkowy, a w końcu korytarza Redfern zauważył przybite wielkim hakiem chomąto. Zapach pomieszczenia również przywodził na myśl koński boks, ale z domieszką starości i próchnicy.

– Weź mnie tu przygotuj na tego gościa, kochana! Poduchy mi popraw, żebym jak dziad nie leżał.

Caroline zaśmiała się krótko i sztucznie. Redfern słyszał szelest pościeli przeplatany rzęzącym oddechem staruszka, a także coś, czego nie umiał rozpoznać. Policzył w myślach, że jeśli Kenneth O'Malley miał siedemdziesiątkę, to jego ojciec nie może mieć mniej niż dziewięćdziesiąt lat.

– No, gotowe. Proszę wchodzić!

Redfern wszedł do pokoju bardziej przypominającego starą salę szpitalną niż miejsce wypoczynku. Miał wrażenie, że najwięcej miejsca zajmuje dębowy stół, którego blat pokrywał istny kolaż buteleczek, pudełek z lekarstwami i artykułów higienicznych. W kącie Redfern zauważył wózek elektryczny, z którego siedziska obłaziła derma. Oblepione błotem i słomą koła świadczyły o tym, że Kenneth O'Malley zabierał ojca na spacer po stadninie. Obok łóżka niczym strażnicy więzienni stały na baczność duże butle z tlenem i aparatura do jego podawania.

Drewniane łóżko przykrywał patchworkowy koc, który stary O'Malley miał podciągnięty aż pod brodę. Zapadłe, pokryte szronem zarostu policzki miał niezdrowo zaróżowione jak przy gorączce. Mętne ciemne oczy wpatrywały się w Redferna spod lekko zmrużonych powiek, jakby był jakąś zjawą, w której istnienie staruszek nie może uwierzyć.

– Nazywam się David Redfern i szukam Kennetha. Pan jest jego ojcem?

– Pewności to nie ma, nie? – zarechotał, ale jego oczy ścięła podejrziwość.

– Szukam pana syna...  
– Mów głośniej, chłopcze! Nie mam już uszu dwudziestolatka.  
– Szukam Kennetha – powtórzył dobitniej, starając się, by nie zabrzmiało to jak krzyk.

– A co? Nie ma go? – Mężczyzna uniósł się na rękach z zaciekawiony.

– Ano nie ma – wtrąciła się Caroline.

– Kiedy Kenneth był u pana ostatni raz? – zapytał Redfern.

– A z wieczora, jak zawsze. Pewno koło ósmej.

– Co wtedy robił?

– Kolację mi przygotował, łóżko poprawił i zastrzyki dał – referował sucho staruszek, jakby czytał z kartki. Inspektor wiedział, że rutyna niemal boleśnie wypełniała dni chorego. Liczył więc, że tym łatwiej uda mu się dostrzec cień odstępstwa.

– Jak się zachowywał? – dopytał.

– A bo ja wiem?

– Zrobił coś inaczej? Może coś powiedział? – Redfern próbował naprowadzić mężczyznę. – Może zachowywał się dziwnie?

– Dziwnie to nie, ale pachniał inaczej niż zwykle i ogolony był.

– Czyli wychodził?

– A cholera go wie. Chyba do domu poszedł, bo światło w kuchni widziałem, że się świeciło. Auta nie brał, bobym słyszał tego klekota.

– Czyli Kenneth miał gościa?

– Jezusie Nazareński! – zakrzyknął. – Nie wiem. A czemu w ogóle o to pytasz, chłopcze? Coś taki ciekawy?

Caroline Bevan, która siedziała za stołem, spojrzała nerwowo na Redferna. Inspektor odchrząknął i odezwał się:

– Myślę, że pana syn... zaginął.

– Zaginął? Dobre sobie! – zachrypiał staruszek i ponownie zaniósł się kaszlem, a gdy się opanował, rzucił: – Pewno zachlał w White Hart, i tyle. Pod płotem w mieście go szukajcie i nie zawracajcie mi głowy. Weź no mi, Carol, zaparz jakiejś herbaty czy coś, bo się zdenerwowałem.

Gdy Carol wyszła, Redfern wyciągnął z kieszeni wizytówkę i chwilę się jej przyglądał.



– Pana syn miał długi, prawda? – zapytał w końcu.

– Ano miał – przyznał już spokojniej staruszek. – Miasto wydarło nam naszą ziemię. Naszą ziemię, chłopcze. Mój ojciec ją dostał, potem ja ręce na niej urabiałem, a teraz Kenneth. Zabrali wszystko. – Głos mężczyzny się załamał, a broda zaczęła mu drżeć. Zaciśnął wargi i patrzył na Redferna z dziecięcą bezradnością. – Wie pan, ile razy nas nachodzili? Najwięcej to ten... ten... niech no se przypomnę...

– Inicjały G.C.? – Inspektor spojrział jeszcze raz na wizytówkę i podał O'Malleyowi.

– Pokaż pan to. – Starzec chwycił ją łapczywie i przyciągnął szybko do twarzy, bacznie przyglądając się wytłoczonym literom. Po chwili zawyrokował. – Nie ten. Tamten się inaczej nazywał... Nie przypomnę sobie.

Redfern stał przez chwilę, zastanawiając się, o co jeszcze zapytać staruszka, by zbytnio go nie męczyć.

– Niech mi pan powie. – Albert O'Malley przerwał milczenie. – Stare kości zwykle się nie mylą... Pan już wie, gdzie jest Kenneth?

Redfern skinął głową, ale zanim zdążył coś powiedzieć, staruszek odezwał się znowu:

– Powiesił się, prawda?

Inspektor wziął głęboki oddech. Ta część pracy policjanta, mimo całej makabry, z jaką się stykał, zawsze wydawała mu się najtrudniejsza.

– Nie, nie powiesił się, ale jeszcze badamy przyczyny... jego śmierci.

Może była to wina ciężkich zasłon, które opadały na okno, ale twarz Alberta O'Malleya wydawała się teraz Redfernowi wykuta z porowatego kamienia. Zastygłe nieruchomo źrenice pokryła cieniutka jak muślin warstwa łez, które zebrały się w kąciku oka i spłynęły po szarej twarzy przezroczystą strużką.

– Ta ziemia splamiona jest krwią. – Staruszek odwrócił się tyłem do Redferna i naciągnął na siebie kołdrę. Inspektor wiedział, że niczego więcej dziś nie wskóra. Niezależnie od wieku śmierć dziecka jest ciosem i wywróceniem świata do góry nogami, a im ten świat jest starszy i bardziej scementowany, tym dotkliwsze wydaje się jego naruszenie.

W progu stanęła Caroline Bevan. Trzymając w dłoniach tacę, wpatrywała się w Redferna zdziwionymi oczyma. Inspektor minął ją bez słowa i wyszedł wprost w szalejącą ulewę.



Ulewny deszcz towarzyszył Redfernowi aż do progu komendy, sprawiając, że wodoodporna kurtka straciła swoje właściwości. Wszedł do biura i odszukał w szafie starą bluzę. Ściągnął przemoczoną koszulkę i zanurkował w suche ubranie.

– Dorabiasz jako striptizer? – usłyszał, zanim zdążył naciągnąć bluzę przez głowę.

– A widziałaś swój ostatni odcinek wypłaty? – odpowiedział, siłując się z materiałem, który przyłgnął do wilgotnej skóry.

– Powalający. – Summer podeszła do biurka i usiadła na stojącym obok krześle. – Jak tam wizyta na farmie? Masz coś nowego?

– Nic, czego byśmy wcześniej nie wiedzieli. Kenneth O'Malley miał długi i raczej kiepsko radził sobie z ich spłatą. Ale chyba nie po to przyszłaś?

– Nie. Chciałabym wiedzieć, co dalej z komendantem Knightem.

– Raczej co dalej z zastępcą komendanta McMahonem – poprawił ją Redfern. – Na jedno i drugie mogę ci odpowiedzieć, że nie wiem. Knight dochodzi do siebie i pewnie niebawem będzie się przymierzał do powrotu.

– Czyli pójdę do obyczajówki, do Johanesa?

– Summer. – Redfern spojrzał na nią poważnie. – Może powinnaś zacząć się zastanawiać, czy nie pójdiesz do obyczajówki zamiast Johanesa?

Sierżantka starała się ukryć uśmiech, który wykwitł na jej twarzy. Po chwili jednak jej policzki spięły się i Summer powiedziała cicho:

– Wolałabym z wami.

– Z McMahonem – znów ją poprawił.

– Nic nie rozumiesz – rzuciła i wyszła pośpiesznie.

Rozumiał więcej, niż jej się wydawało, ale tę kartę postanowił odłożyć na później. Miał do spłacenia dług wobec Gregory'ego McMahona. Jego stosunki z Summer Winter powinny również być wolne od domysłów całej komendy, co Redfern chwilowo brał na siebie.

W konferencyjnej zastał wszystkich, których wezwał. Tinney przewijał na telefonie śmieszne zdjęcia, Johanes kończył kanapkę, a Summer starała się udawać, że ich rozmowa nie miała miejsca.

– Jak było u tych budowlańców? – Redfern rozpoczął, kierując pytanie do Puszkii.

– Zastaliśmy dwóch z nich, z czego tylko jeden mówił po angielsku – odparł młody policjant.

– Przecież właściciel firmy mówił, że to miejscowi. – Redfern się zdziwił.

– Tak, z miejscowego pośredniaka i bardzo miejscowej kawalerki, w której upchało się trzech chłopów.

– OK. No więc, co ustaliliście?

– Że wszyscy trzej byli wtedy w Woking, u O'Neila, i do pierwszej racyli się piwem, a o Kennecie O'Malleyu nigdy nie słyszeli. Pastor za to zachodzi im za skórę. Jednogłośnie stwierdzili, że jeśli ktoś powinien leżeć na cmentarzu, to właśnie on.

– No dobra, trzeba sprawdzić ich alibi. A gdzie ten trzeci?

– Powiedzieli, że jak tylko zamknięto bar, to we trzech kimali u jakiejś nowo poznanej koleżanki, jak się wyrazili.

– Masz jej adres?

– Panowie nie do końca sobie przypominają, ale podobno ich kolega jeszcze u niej jest i jak tylko uda się z nim skontaktować, to ją znajdziemy. Jak na razie komórka nie odpowiada.

– Aha, dzwonił Matt – oznajmiła nagle Summer. – Podobno twoja komórka też jest nieczynna.

– Cholera, faktycznie, na farmie nie ma zasięgu. – Redfern sięgnął do kieszeni spodni po telefon i zobaczył kilka nieodebranych połączeń. – Mówił coś?

– Tylko tyle, że masz do niego zadzwonić.

– Po co te tajemnice? – Redfern się zdenerwował i wychodząc z sali, wybrał numer do Matta.

Technik odebrał, nim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Do piekła się prędzej dodzwonię niż do ciebie – ofuknął Redferna.

– Nie marudź, tylko mów, co masz. Podobno zabrałeś nawet kompostownik z ogrodu pastora.

– Bo coś mi się w nim nie podobało – oznajmił. – I miałem rację. Ktoś do niego strzelał. Znalazłem otwór wlotowy w kompostowniku. W kompoście nie było żadnej kuli, więc pewnie utknęła w ciele, ale sam widziałeś, jak ubabrane były zwłoki.

– Ted nie mówił nic o kuli. – Redfern zamyślił się chwilę, analizując to, co właśnie usłyszał. – W ogóle nic nie mówił.

– I pewnie do jutra nic nie powie, bo siedzi w sądzie. Wylosowali go do ławy przysięgłych, a wiesz, że z tego się nie da wykręcić.

– Jasna cholera! Że też musiało trafić na niego.

– Każdy może być wylosowany – powiedział obojętnie Matt.

– Wiem – warknął Redfern, wściekły, że Ted nie powiadomił go o wezwaniu. – Wszystko się odwlecze.

– Spróbuj może pogadać z jego asystentem – zaproponował Matt. – Podeślę ci numer SMS-em.

– Będę wdzięczny – powiedział i rozłączył się.

Gdy tylko wrócił do sali, jego komórka oznajmiła nadejście wiadomości z kontaktem do asystenta koronera. Napotkawszy pytający wzrok Puszkę, Redfern przekazał to, co usłyszał od szefa techników.

– Nie wiemy jednak, czy na pewno kule są w ciele i jaki to w ogóle ma związek.

– Czyli stoimy w miejscu.

– Niezupełnie – odparł Redfern, wyciągając z kieszeni spodni wizytówkę ze srebrnym logo. – Chciałbym, Puszkę, żebyś znalazł tę firmę. To pochodzi z domu Kennetha. Summer, ty się dowiesz, w których bankach denat miał długi oraz który komornik prowadził jego sprawę. Ustalcie też, gdzie jest ten trzeci budowlaniec. Ja tymczasem sprawdzę alibi pastora. Spotkamy się jutro koło południa.

– Tak późno? – zaproponowała Summer.

– Rano będę w urzędzie miasta – wyjaśnił spokojnie Redfern, choć zdenerwowała go ta uwaga. Summer najwyraźniej nie zamierzała odpuścić i obawiał się, że to dopiero początek tej batalii. – Chcę się dowiedzieć, dlaczego miasto tak nagle zainteresowało się ziemią O'Malleya.

– Myślisz, że to może mieć związek?

– Jeszcze nie wiem, ale mam wrażenie, że zbyt wielu osobom zależało na tym, by Kenneth O'Malley wyniósł się z Pirbright.

Puszka pokiwał głową w milczeniu. Redfern nie mógł pozbyć się wrażenia, że w sali zebrań zawisło coś, co niebawem miało stać się znakiem szczególnym tej sprawy.

## Niedziela, 1.12.2013, wieczór

Dzień zdążył posprzątać z nieba swój bałagan, upychając za horyzontem ciężkie chmury i deszcz. Za to na wschodzie Woking noc rozpościerała już kir, choć wskazówka zegarka jeszcze nie zwisała pionowo w dół. Inspektor odpalił silnik, wyjechał z policyjnego parkingu i skierował się w stronę miasta. Mijając wiadukt Victoria Arch, zdał sobie sprawę, że ostatni raz przejeżdżał pod nim z Martą. Mimo wielu prób kontaktu kobieta milczała. Nawet jej przyjaciółka, która kilka tygodni temu dzwoniła z informacją, że Marty nie było w samolocie do Katowic, nie odbierała telefonów.

Zajęty myślami o Marcie, nie umiał przejąć się śmiercią starszego mężczyzny. Dopiero przekraczając próg domu, zdał sobie sprawę, że Kenneth O'Malley był w wieku zbliżonym do jego dziadka. Wstrząśnięty tą myślą postanowił zadzwonić do Bohdana Siwiaszczyka, który od kilku tygodni przebywał w Polsce.

– Cześć, Dawidek! – usłyszał po kilku sygnałach.

– Cześć! Co u ciebie?

– A w porządku. Mamy śnieg, czapy śniegu! – powiedział dziadek, wyraźnie ucieszony.

W Edynburgu często narzekali na opady śniegu, ale gdy Redfern przeprowadził się na południe, brejowata londyńska zima szybko zaczęła go przygnębiać. Stojąc w przy oknie wynajętego pokoju w Hammersmith, tęsknił za widokiem ojca, który przeklinając, skuwał lód z podjazdu. Nie za samym ojcem, bo jego akurat bał się najbardziej, ale za białym puchem, w którym mógł ze śmiechem wytarzać wszystkie troski złego dzieciństwa.

Popatrzył na okno, przez które powoli zaczął dobijać się deszcz, i z rozrzewnieniem pomyślał, że trochę zazdrości Siwiaszczykowi.

– A poza aurą coś jeszcze słyhać? Jak się czujesz? Jak wyniki badań?

– Jest dobrze, Dawidek. A co u ciebie?

– Mamy nową sprawę – mruknął Redfern bez entuzjazmu.

– Coś ciekawego?

– To się okaże.

– A co z twoimi sprawami? No wiesz... – Dziadek zawiesił głos.

– Jeśli pytasz o Martę, to kamień w wodę, Palacz też wyparował, a gdyby to był on, to już by się odezwał.

– A co konkretnie powiedział ten facet z Kielc, ten, który do ciebie dzwonił?

– Że znalazł telefon w przedniej kieszeni walizki, którą nadał jako bagaż rejestrowany. Odkrył go dopiero, kiedy się rozpakowywał. Był wyłączony. Włączył go, zobaczył kilka połączeń ode mnie i oddzwonił.

– Podejrzane to wszystko – podsumował Siwiaszczyk. – Masz numer do tego gościa? Zadzwoń do niego i spróbuję odzyskać telefon. Może jest w nim coś, co cię naprowadzi na ślad Marty.

– Nie fatyguj się. – Redfern ostudził zapał staruszka. – Już się z nim umówiłem, że mi go wyśle.

– Myślisz, że nie dam rady? – zapytał zaczepnie Siwiaszczyk. – Co ty się tak o mnie boisz, Dawidzie?

Przyłapał go. Redfern podskórnie obawiał się, że wyjazd dziadka do Polski wiąże się z czymś o wiele gorszym aniżeli zwykłe badania, i nie

chciał go nadwyręzać. Najbardziej wyrzucał sobie, że boi się nie tego, że dziadek zachoruje, ale tego, że nie będzie potrafił się nim zająć.

– Wyślę ci jego numer. – Redfern nie chciał wchodzić w dyskusję. – Może uda ci się czegoś jeszcze dowiedzieć. Może facet jednak coś widział, może skojarzy moment podrzucenia telefonu.

– Dobra, to zaraz do niego zadzwonię i się umówię. – Dziadek się ucieszył. – Aha, te opony do triumpha nadałem ci kurierem.

– To świetnie – odparł Redfern.

Mimo pierwszego entuzjazmu po kilku dniach jazdy wypożyczoną toyotą IQ miał ochotę przesiąść się na rower. Potem jednak powoli zaczął zmieniać zdanie. Z jednej strony przygnębiał go widok triumpha, któremu niedawno ktoś złośliwie przeciął opony. Z drugiej natomiast musiał przyznać sam przed sobą, że przez tych kilkanaście dni zdążył się przyzwyczać do klimatyzacji i dynamiki dwudrzwiowego auta.

– Nie taki znowu stary ramol ze mnie, co? – Siwiaszczyk się zaśmiał, wyrrywając Redferna z zamyślenia.

– Nigdy tak nie twierdziłem – odparł inspektor.

– Ja tam swoje wiem!

Dziadek nie tracił humoru i Redfern był pewien, że zawdzięcza to nowemu zadaniu, które mu zlecił. Zauważył, że z każdym miesiącem Siwiaszczyk stara się udowodnić, że jest jeszcze potrzebny. Każda kanapka czekająca na niego na stole, każdy sweter z pieczołowitością ułożony w szafce były nie tylko przejawami troski o Davida, ale też chęcią pokazania sobie, że stare dłonie mogą się jeszcze na coś przydać, że to jeszcze nie koniec. A może Redfern tak sobie to racjonalizował, by zagłuszyć wyrzuty sumienia. Nie mógł zaprzeczyć, że korzysta na tym układzie najwięcej. Z tą gorzką myślą pożegnał się z Siwiaszczykiem, składając sobie obietnicę, że będzie bardziej o niego dbać, ale gdy naciskał czerwoną słuchawkę, wiedział, że jest ona wąż.





## ROZDZIAŁ II

Poniedziałek, 2.12.2013, rano

Kilka promieni słońca, które obudziły go rano, sprawiło, że zostawił auto pod domem i poszedł do centrum piechotą, co szybko uznał za błąd. Gdy mijał biurowiec Dukes Court, fałszywie ciepłe bladozłote nitki zniknęły za chmurami, pozostawiając miasto w przygnębiającej szarówce.

Redfern przyspieszył kroku, by się rozgrzać. Przeszedł przez bramę prowadzącą do centrum, która za każdym razem przypominała mu unoszący się na falach morszczyń, choć podobno nawiązywała do historii Woking. Tak przynajmniej zakładał Alan Dawson, który wykuł na jej skrzydłach symbole miasta – tory kolejowe, kanał Basingstoke i piec do wypalania cegieł, do których przyspawał teatralne maski. Nad tym wszystkim górowały splątane ramiona marsjańskiego trójnoga z *Wojny światów* Herberta George'a Wellsa. Redfern musiał przyznać, że mimo wysiłków nie znajdował w tej rzeźbie niczego, co oddawałoby ducha miasteczka. Przeszedłszy krótką alejką między biblioteką a biurowcem Woking Gate House, znalazł się pod betonowym reliktem, w którym znajdował się urząd rady gminy. W okienku na parterze dowiedział się, że za grunty odpowiedzialna jest Rada Własności Gruntów, mieszcząca się na drugim piętrze. Czuł się na siłach wejść po schodach, więc z lekką satysfakcją ominął drzwi windy.

Bardzo cenił fakt, że wszystko mógł załatwić przez internet. Urząd ponadstutysięcznej gminy zatrudniał w swoich działach niespełna dwustu

pracowników, którzy pracowali w wydziałach komunikacji, podatkowym czy gruntów. Pamiętał, że dziadek bardzo narzekał na rozrost biurokracji i liczby biurokratów w Polsce, co przy wydajności polskich pracowników, którą tak chwalono w Anglii, wydawało się Redfernowi absurdem. Kiedy jednak usłyszał, że w samym urzędzie miasta Częstochowy pracuje ponad ośmiuset urzędników, a w skarbowym drugie tyle, zrozumiał, co Siwiaszczyk miał na myśli. Nie pamiętał, by w całym swoim życiu musiał odwiedzić urząd miasta, a jeśli nawet, to nie wiązało się to z żadnymi wędrówkami po pokojach, o których opowiadał dziadek.

Z tą myślą wszedł przez drzwi pokoju wydziału gruntów, gdzie przy biurku siedział mężczyzna, którego wiek zdradzała jedynie łysina. Zwrócił pogodną twarz w stronę Redferna i przywitał się.

– Policja? – zdziwił się urzędnik. – W czym mogę panu pomóc?

– Chodzi mi o tereny w Pirbright. Konkretnie o ziemię, które do niedawna należały do pana O'Malleya.

– Znane jako The Vines Farm – poprawił go mężczyzna. – Świeża rzecz. Z tego, co pamiętam, stuletnia dzierżawa dobiegła końca, więc prawa zostały skutecznie wygaszone.

– Nic nie dało się zrobić w tej sprawie?

– Dałoby się, gdyby pan O'Malley zechciał przedłużyć dzierżawę. Rzecz jasna musiałby zapłacić tak zwany *lease top-up*, czyli doładowanie dzierżawy, które, jak podejrzewam, nie mieściło się w jego budżecie.

– Nie mógł po prostu przedłużyć tej dzierżawy i opłacać nadal tak jak do tej pory?

– Gdy zbliża się koniec takiej dzierżawy, właściciel, w tym przypadku gmina, dokonuje wyceny oraz potencjału gruntu. Obawiam się, że pan O'Malley nie dysponował...

– Dwudziestoma milionami funtów – dokończył Redfern, coraz bardziej poirytowany bezdusnością systemu. Gdyby ceny gruntów wokół Woking nie rosły w tak zastraszającym tempie, O'Malleyowi z pewnością udałoby się dogadać z miastem.

– W rzeczy samej – zgodził się uprzejmie urzędnik.

– Nie należała mu się żadna rekompensata?

- Niestety nie. Nie skorzystano z takiej opcji.
- Kenneth O'Malley odmówił przyjęcia odszkodowania?
- To bardziej skomplikowane. Gdyby zgłosił się do dewelopera i przepisał na niego ową dzierżawę, deweloper opłaciłby tak zwane doładowanie i odszkodowanie dla pana O'Malleya. Tak się jednak nie stało.
- Ktoś zatem przyczytał się na tych kilka lat. Skąd wiedział, że te ziemie są dzierżawione? Przecież takich informacji nie ma w gazecie.
- Można złożyć oficjalne zapytanie do działu ksiąg wieczystych o konkretny teren czy budynek i w ciągu kilku dni uzyskać takie informacje wraz z mapami. Często tak się dzieje, gdy ludzie próbują wyznaczyć publiczne ścieżki czy też na nowo wyznaczyć dostępy do swoich posesji, co niestety jest obecnie istną plagą.
- Kto zatem złożył do państwa takie zapytanie o The Vines Farm?
- Rada parafialna Pirbright – oznajmił mężczyzna, zerkając do komputera.
- A kto wymyślił kwotę dwudziestu milionów funtów?
- Ja.
- Pan? Na jakiej podstawie?
- Oceniliśmy wraz z komisją potencjał tych ziem pod względem inwestycyjnym, porównaliśmy z podobnymi nieruchomościami w tej okolicy. Rzeczoznawcy byli zgodni, że to uczciwa kwota.
- I w tym samym momencie zjawił się deweloper, który w zaledwie w rok był w stanie zabetonować pół wzgórza?
- Przecież pan wie, że w Surrey ziemia rozchodzi się jak świeże bułki. Wszystko schodzi na pniu. Zresztą spór między gminą Woking a panem O'Malleyem rozpatrywał niezależny LVT, czyli Trybunał do spraw Wyceny Dzierżaw.
- Czyli w majestacie prawa wydarto ludziom z rąk ich własny dom?
- W świetle tego samego prawa dom nigdy nie należał do tych ludzi. – Urzędnik cedził każde słowo, a jego szyję przykryła purpura, która zaczęła szybko podpełzać na policzki.

Redfernowi huczało w uszach, kiedy schodził po schodach Urzędu Rady Gminy, nie odpowiedział też, kiedy recepcjonistka wychyliła się przez

kontuar, by go pożegnać. Był przekonany, że choć nie bezpośrednio, ale z całą pewnością bezduszność urzędników doprowadziła do śmierci człowieka, który ukochał Surrey.

Spojrzał zegar na wieży Kościoła Chrystusowego, zaklął pod nosem i zaczął biec.



Spóźnił się. Pierwszy raz, odkąd pracował w Woking, biegł przez korytarze komendy, próbując bezskutecznie wyrwać czasowi tych kilka sekund. Zza drzwi dochodził go głos Summer, która przejęła pałeczkę, najwyraźniej robiąc sobie trening przed przejęciem departamentu starego Johanesa.

– O, dobrze, że jesteś. – Uśmiechnęła się szeroko, ale Redfern nie odwzajemnił uśmiechu. – Rozgrzałam ich dla ciebie.

– Przepraszam za spóźnienie. Utknąłem w maszynie biurokracji – próbował zażartować, ale widząc zmęczone twarze kolegów, kontynuował: – Oczywiście priorytetowa jest sprawa śmierci Kennetha O'Malleya. Czy udało się znaleźć budowlańca, który zabalował w Woking?

– Jeszcze nie – odpowiedział Tinney. – Mieszkańcy też niestety nic nie widzieli.

– Co wiemy o samym zabójstwie?

– Matt przekazał, że kula, którą Ted wyciągnął z denata, pasuje do rewolweru MK VI z czasów drugiej wojny światowej i także pochodzi z tego okresu – referowała Summer.

– A zatem szukamy weterana albo kolekcjonera – skonstatował Tinney, zapisując coś w komórce.

– Taka broń robi dużo hałasu – podrzucił ktoś z sali. – Nie wierzę, że nikt nic nie słyszał.

– Mógł nie słyszeć – powątpiewał Redfern, mając w pamięci układ budynków i umiejscowienie domu. – Ten dom od południa osłonięty jest przez mury kościoła, od zachodu mamy wielką szopę, a za nią trzy domy,

które tej nocy stały puste. Natomiast w stronę północnego wschodu rozciągają się wyłącznie pola, gdzie pasą się owce.

– Jest i nasza gwiazda patologii – skomentował niespodziewanie Tinney. Redfern odwrócił się w stronę drzwi, w których stanął Ted Meiklejohn, skwaszony bardziej niż zazwyczaj.

– Wpadłem do was przy okazji – zaczął bez powitania. – Mój asystent wreszcie się na coś przydał i mam dla was trochę ciekawostek.

Usiadł koło Summer i wyciągnął ze starej skórzanej teczki jakieś dokumenty, z których wyłuszczył jeden i przyglądając mu się przez chwilę, zaczął:

– Z tego, co udało się ustalić mojemu pozał się Boże asystentowi, denat żył w chwili oddania strzału.

– Czyli ktoś spartaczył robotę, a drugi ktoś poprawił – odezwał się Tinney.

– Albo też skapnął się, że spartaczył, i sam poprawił – dodała Summer, przygryzając długopis, który trzymała w smukłej dłoni.

– To już wy musicie ustalić – odparł Ted. – Problem polega na tym, że nie wiem, co było bezpośrednią przyczyną śmierci. Facet żył w chwili, gdy dostał kulkę, ale miał tak rozległy uraz czaszki, że prawdopodobnie umarłby w ciągu kilku następnych minut.

Tinney odchylił się na krześle i powiedział:

– Skoro czaszka była aż tak mocno uszkodzona, to możliwe, że zadała je bardzo silna osoba, najpewniej...

– I tu dochodzimy do sedna sprawy. – Ted mu przerwał. – Uderzenie kamieniem wcale nie musiało być mocne. Nasz denat cierpiał na chorobę Pageta, która tak w wielkim skrócie zmiękczała mu kości. Jego ciało było lekko zdeformowane.

– Stąd też stwierdzenie budowlańca, że Kenneth O'Malley wyglądał, jakby nigdy nie schodził z konia – przypomniał sobie Redfern.

– Tak, tak. Skrzywione nogi są charakterystyczne dla tego schorzenia. Poza tym prawie zjadł go rak żołądka. Długo by nie pociągnął.

Summer zerknęła na raport od szefa techników i powiedziała:

– Po dokładnej analizie wiemy, że strzał został oddany z daleka i dodatkowo stłumiony przez ścianę kompostownika.

– Zgadza się. Spowodował krwotok, ale przy tak niskim ciśnieniu niewielki, dlatego też ciężko ustalić jednoznacznie, co go zabiło.

– Czyli nie wiemy nic. – Tinney uniósł głowę znad telefonu i ze zrezygnowaną miną lustrował kolegów, jakby w oczekiwaniu, że ktoś zaprzeczy jego pesymistycznemu stwierdzeniu.

– Mogę wam tylko powiedzieć, że facet się z kimś szarpał, ale są to raczej stare dzieje – ciągnął Ted. – W jego nielicznym uzębieniu znalazłem ubytek, który nie powstał w wyniku profesjonalnego serwisu, a raczej mało profesjonalnego mordobicia. Miał też parę zadrapań na wewnętrznej stronie dłoni i kolanach. Stawiałbym na upadek.

– Świetna robota, Ted – pochwalił go Redfern i odszukał wzrokiem Summer. – Co wiemy o synu Kennetha?

– Na razie nie mogę go namierzyć – odparła zmieszana sierżantka. – Ludzie w Pirbright mówili, że podobno mieszka gdzieś w Woking, ale żaden z siedmiu O'Malleyów nie jest Jackiem. Nie znalazłam żadnego kontaktu w książce adresowej denata. Chyba naprawdę nie utrzymywali kontaktu.

– Trzeba kopać głębiej – oznajmił Redfern. – Tinney, co z wizytówką?

– Nigdzie nie znalazłem podobnej grafiki z tymi inicjałami, ale się nie poddaję.

– Wiem, że to rozgryziesz – odparł Redfern, choć miał na końcu języka reprimendę. Uznał jednak, że tym razem zastosuje pozytywne wzmocnienie. – Postarajcie się też znaleźć tego budowlańca z kościoła. Nie podoba mi się ta przedłużająca się nieobecność. Jadę do pubu, a wy działajcie. Widzimy się jutro i chcę dostać konkrety – zakończył ostro i wyszedł.



Zaparkował przy urokliwym jezioru, którego mimo niezłej pogody nie zaszczycił żaden turysta ani mieszkaniec Pirbright. Pływające po zielonkawej tafli kaczki i gęsiówki egipskie wyciągnęły głowy w nadziei na choć okruszek chleba. Redfern potępiał dokarmianie ptactwa pieczywem i ignorowanie tabliczek, które wyraźnie mówiły o tym, że chleb czy bułki nie tylko szkodzą ptakom na żołądki, ale też powodują deformację skrzydeł i zanieczyszczają wodę. Dla kilku minut zabawy ludzie byli gotowi okaleczać te piękne zwierzęta, które były nie tylko ozdobą zbiorników, ale też zapewniały w nich równowagę. Patrząc na pływające ku niemu kaczki, obiecał sobie, że gdy mróz przycisnie, to podjedzie tu z pudełkiem gotowanych warzyw, które i tak zostawały po przyrządzaniu posiłków dla Bandita.

Przeciął biegiem ulicę White Hart Corner i wszedł do pubu o tej samej nazwie, który według napisu na białej fasadzie mieścił się w tym budynku od tysiąc sześćset trzydziestego roku. Przy stołach zdążyli się już rozsiaść pierwsi amatorzy brunchu, a zapach unoszący się po zabytkowym wnętrzu wskazywał, że nie będą musieli zbyt długo czekać na posiłek, który już teraz postanowili wspomóc lampkami czerwonego wina. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy Redfern przeszedł przez środek i udał się prosto do baru, za którym uwijał się barman. Wąsaty, ubrany w białą koszulę i krawat mężczyzna otaksował policjanta wzrokiem.

– Rezerwacja? – zagadnął szorstko, odkładając trzymaną w rękę szklanke do piwa.

– Lepiej – odparł inspektor i wyciągnął z kieszeni legitymację. – Policja.

Miał wrażenie, że wypełniony dotąd gwarem pub ucichł i nasłuchiwał teraz, co nastąpi po tych magicznych słowach. Wbrew temu, co sądził, nie był dla tych kilkunastu par oczu niewidzialny.

– Chciałbym zapytać o Kennetha O'Malleya – kontynuował Redfern i przysunął sobie wysoki stółek, na którym usiadł. – Podobno często tu bywał.

– Nie tak znowu często – prychnął barman. – To dość drogi lokal.

– Faktycznie. – Redfern rzucił okiem na wiszący nad barkiem cennik. – Cenicie się. Kiedy ostatnio Kenneth O'Malley odwiedził pański przybytek?

– Jakoś we wtorek, ale nie jestem pewien, czy to był Kenneth.

– Nie bardzo rozumiem.

– Był wyjątkowo wylewny i zadowolony. Właściwie w życiu go takim nie widziałem. Zamówił nawet specjalność szefa kuchni.

– Przed czy po tym, jak dostał łomot?

Barman zmierzył Davida wzrokiem, ale nie odpowiedział od razu.

– Nie wiem, o czym pan inspektor mówi.

Redfern nachylił się do mężczyzny i powiedział:

– Między stolikami na zewnątrz zauważyłem ślady krwi. Jeśli pan sobie życzy, mogę wezwać ekipę techników i ci mili państwo nawet nie doczekają posiłku, a pub na cały dzień, a może nawet dwa, wypadnie z obrotu. Pasuje?

– Poszarpali się trochę z Marcusem Bevanem.

– Z synem Caroline?

– Nie z synem, tylko z mężem – poprawił Redferna barman.

– Myślałem, że on nie żyje.

– Żyje, żyje, ale co on ma za życie? Pijaczek i obdartus. Żona z córkami go pogoniły i tak się chłopisko tuła. Jak ma robotę, to jeszcze jakoś funkcjonuje, a jak nie ma, to wiadomo. O awanturę łatwo.

– I o to się poszarpał z O'Malleyem – podsumował Redfern.

– Eee tam. – Barman machnął energicznie ręką. – O żonę poszło.

– Zazdrość?

– Gdzie tam zazdrość! O'Malley trochę się przyczynił do sytuacji Bevana, bo go ze swojej stajni wywalił, a w to miejsce wziął Caroline z córką. Szybko się podobno nauczyła wszystkiego, przy ojcu pomagała. Carol to twarda babka.

– Dlaczego go wywalił?

– Raz, że Bevan pił, a dwa, że podobno Kenneth nie lubił damskich bokserów i kiedyś, jak podobno Marcus rzucił się na żonę z batogiem, to mu Kenneth kości porachował i z Vines Farm wyrzucił.

Obraz Kennetha rozmywał się, jakby zanurzony w terpentynie. Jedni uważali go za brutala i awanturnika, inni – za zamkniętego, ale dobrego człowieka. Jednym głosem mówiono o nim tylko wtedy, gdy poruszano



temat koni. Redfern był pewien, że mordercy należy szukać pośród tych pierwszych. Brakowało mu zdania ludzi, którzy najwięcej znaczyli w Pirbright, a jednocześnie trzymali się od miejskich plotek najdalej.

Wsiadł do samochodu i ustawił nawigację, po czym przekręcił kluczyk i objechał jezioro, zostawiając za sobą ciekawskie kaczkę, które wyszły na brzeg, by wygrzać się w ostatnich promieniach słońca.

### Poniedziałek, 2.12.2013, popołudnie

Zatrzymał toyotę pod gęsto splecioną kutą bramą i odkręcił szybę. Oko nowoczesnej kamery bacznie mu się przyglądało z wyżłobionego w murze zagłębienia. Nacisnął chromowany guzik. Zanim zdążył zabrać rękę, odezwał się niski męski głos.

– W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Redfern i jestem z policji, chciałbym porozmawiać z Celią lub Michaelem Stanleyem.

– Państwo nie przyjmują dziś gości.

– Nie jestem gościem – odparł ze złością. – Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa na plebanii.

W odpowiedzi usłyszał cichy pomruk automatu otwierającego bramę, z za której wyłoniła się jedna z piękniejszych rezydencji, jakie Redfern widział w życiu. Jadąc kamienną drogą, inspektor z zachwytem stwierdził, że nawet listopadowa szarość nie była w stanie odebrać urody Furzehill Place, która dumnie stała na straży pamięci o swoim projektancie, twórcy i gospodarzu. Henry Morton Stanley – najsłynniejszy, zaraz po doktorze Livingstonie, podróżnik, odkrywca i dziennikarz – zakupił tę ziemię z końcem dziewiętnastego wieku i chcąc zatrzymać wspomnienia z afrykańskich wypraw, nadał domowi ciepły południowy charakter.

Redfern mijał przycięte w równe stożki tuje, rozstawione wzdłuż alejki wyłożonej białym kamieniem, który zdawał się zamieniać ostatnie

promienie słońca w połyskujące diamenty. Im bliżej willi, tym droga rozszerzała się bardziej, by wreszcie przy samym budynku rozlać się śnieżnym placem z niewielką fontanną. Redfern zaparkował samochód przed schodami, na których szczytce czekał na niego ubrany w garnitur starszy mężczyzna. Inspektor wysiadł i wszedł na stopnie, próbując ukryć, że wspinaczka sprawia mu kłopot. Kiedy zrównał się z lokajem, ten skinął głową i poprowadził go do wnętrza willi.

– Proszę tu zaczekać – rozkazał, nie patrząc na Redferna, i zniknął za strzelistymi drzwiami prowadzącymi do salonu.

Korzystając z chwili, David usiadł na obitym ciężkim materiałem szezlongu i dał odpocząć stawom. Wodził wzrokiem po misternej mozaice, podziwiając dokładność spasowania płaskich kamyczków, które co jakiś czas układały się w gwiazdki, by przy ścianach zakwitnąć kwiatowym wzorem. Gdy zaczął przyglądać się wyłożonym tkaniną ścianom, zza drzwi doszedł go szelest. Inspektor wyprostował się, ale nikt nie nadszedł. Wrócił do podziwiania hallu, który, jak podejrzewał, był tylko skromnym wstępem do wnętrza Furzehill Place. Mosiężne kinkiety i ramy obrazów tonęły w miękkim świetle. Redfern zauważył, że spływało ono ze szklanego dachu górującego nad trzema kondygnacjami, spowitymi szalem schodów z egzotycznego drewna.

– Mhm – usłyszał za sobą głos lokaja. – Pani prosi do bawialni.

Redfern wstał i podążył za mężczyzną. Żałował, że nie miał czasu przyjrzeć się mijanym pokojom. Jeden z nich, który w myślach nazwał salą kominkową, szczególnie przykuł jego uwagę. Wyłożony kasetonami z ciemnego drewna, pełen był afrykańskich pamiątek, które z pewnością należały do wielkiego podróżnika. Nawet zapach przywodził na myśl wyprawy w głąb Czarnego Łądu.

Z satysfakcją jednak stwierdził, że ten, w którym czekała na niego właścicielka posiadłości, przebijał wszystko, co do tej pory widział, i w pełni zasługiwał na swoją nazwę. Jego centrum wypełniał obciągnięty zielonym sukniem, inkrustowany masą perłową stół do bilarda. Przestrzeń była tak ogromna, że wymagała ogrzewania dwoma kominkami, z których każdy stanowił inny wysmakowany element wystroju.

Redfern zauważył przez uchylone drzwi wózek inwalidzki. Spod rzuconego na siedzisko koca wystawał jakiś opasły wolumin. Inspektor skonstatował, że lokaj musiał pomóc przesiąść się kobiecie na fotel uszak, z którego patrzyła teraz na niego z uprzejmym zainteresowaniem. Pomyślał, że ludzie jej pokroju nie okazują słabości.

– W czym mogę pomóc, inspektorze Redfern?

– Jak zapewne pani wie, na terenie parafii zginął człowiek.

– Doszła mnie ta smutna wiadomość – powiedziała. – Podobno nie żyje jeden z mieszkańców naszego miasteczka.

– Tak, Kenneth O'Malley.

– Kenneth O'Malley. – Zamyśliła się. – Czy to aby nie był ten koniarz ze wzgórza, Stuart?

– Tak, proszę pani.

– Czy możesz nam przynieść herbaty, Stu? – poprosiła, po czym zwróciła się do Redferna: – Bo napije się pan herbaty, prawda?

– Właściwie...

– Och, proszę nie odmawiać starej kobiecie drobnej przyjemności. – Uśmiechnęła się łagodnie.

– W takim razie poproszę czarną bez cukru – odparł Redfern, a Stuart skłonił się i wyszedł.

– Chciałbym zapytać panią o pastora Mertona Addisona – powiedział, gdy lokaj bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. – Podobno był u państwa w momencie morderstwa.

– Morderstwa? – zainteresowała się. – Mówił pan, że ten O'Malley zginął na terenie parafii. Myślałam, że chodzi raczej o wypadek.

– Chciałem...

– Oszczędzić mi przykrości – dokończyła za niego. – Bardzo to uprzejme z pana strony, inspektorze, ale przez blisko dziewięćdziesiąt osiem lat nasłuchiwałam się i naoglądałam takich okropności, że śmierć sąsiada, choćby w tak przygnębiających okolicznościach, jest przy tym dość bladym wydarzeniem. Starszym ludziom zawsze wszystkiego chce się oszczędzać, jakbyśmy byli dziećmi, a przecież właśnie teraz najbardziej chcemy w życiu uczestniczyć – oznajmiła z buńczuczną miną.

Łagodna, pokryta makijażem twarz lady Celi Stanley nie zdradzała tak sędziwego wieku. Zupełnie jakby w Furzehill Place czas omijał nie tylko przedmioty, ale i ludzi.

– Swoją drogą: morderstwo w Pirbight? – dodała kobieta. – Intrygujące. Ostatnio taka sytuacja miała miejsce chyba w pięćdziesiątym czwartym, ale z tego, co pamiętam, szybko ujęto sprawcę. Mam nadzieję, że mnie pan nie podejrzewa. – Zaśmiała się perliście.

– A powinienem? – Redfern podjął grę, wprawiając starszą panią w jeszcze lepszy nastrój.

– Panie inspektorze – powiedziała, wzdychając lekko. – Od roku nie opuszczam Furzehill, nawet nie wychodzę do ogrodu. Zbyt mi to męczy. Dobrze, że mam Stu – powiedziała z wdzięcznością, patrząc w stronę drzwi, w których zniknął lokaj.

– Wracając do pastora... – Redfern starał się nakierować rozmowę na właściwe tory. – Podobno tamtej nocy był tutaj, by udzielić ostatniego namaszczenia.

– Komu?

Redfern odruchowo chciał wskazać lady Celię, ale odparł:

– Miałem nadzieję dowiedzieć się tego od pani.

– Jak pan widzi, nigdzie się nie wybieram. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Poza tym pastor nie jest mile widziany w Furzehill.

– Proszę jaśniej.

– Ujmijmy to tak: światopoglądowo jest nam nie po drodze, toteż nasze drogi rzadko się przecinają – odparła. – Och, proszę się temu nie dziwić. W moim wieku mam prawo się nie zgadzać z głoszonymi z ambony tezami.

– Oczywiście – odparł Redfern, czując, że coraz bardziej lubi lady Stanley. – Co pani wie o sprawie ziemi należącej do O'Malleyów?

– Niezbyt wiele. Podobno stryj mojego męża pomógł w dzierżawie tego terenu staremu O'Malleyowi, ale przez niedopatrzenie pewne sprawy zostały zaprzepaszczone i ziemia wróciła do hrabstwa. Pan O'Malley kontaktował się w tej sprawie z moim synem. Myślę, że on będzie w stanie więcej panu na ten temat powiedzieć.

– Gdzie znajdę pani syna?

– Zapewne w stajni – odparła Celia Stanley i poprawiła się w fotelu, jakby ta informacja kosztowała ją pewien komfort. Redfern odnotował w pamięci słowo „stajnia”, które padło kolejny raz tego dnia.

– Muszę panią poprawić – rzekł nagle lokaj, który wszedł niepostrzeżenie do sali, niosąc tacę z herbatą. – Pan Michael zaraz z rana pojechał do Londynu. Pociągiem.

– No widzi pan. Wszystkiego mi oszczędzają – pożałowała się z bladym uśmiechem. – Nawet wiedzy, gdzie podziewają się moi bliscy.

Stuart rozłożył na stoliku filiżanki i do każdej nalał z imbryka herbaty, której intensywny aromat pasował do ciężkich wnętrz Furzehill.

– A pani mąż?

– George? – Celia zadała pytanie takim tonem, jakby wymieniony przez nią mężczyzna był jednym z wielu jej mężów. – Och, nie żyje biedaczek od osiemdziesiątego szóstego. Zostawił mnie samą w tym domu. Niewydolność serca, jak stwierdził nasz lekarz rodzinny. Nawet nie dożył sześćdziesiątki.

– Kto jeszcze mieszka w posiadłości? – zapytał, gdy lokaj podał mu naczynie i odszedł w głąb pokoju. Inspektorowi się wydawało, że próbował zapanować nad chorobą Parkinsona, ale nie chciał wnioskować zbyt pochopnie.

– W budynku głównym mój najmłodszy syn z rodziną, kucharka, dwie pomocnice w suterrenach. Natomiast w starym domku dla gości mieszka stajenny z żoną – odparła lady Stanley, na co Stuart poruszył się niespokojnie. Nie uszło to uwadze kobiety, która dodała: – No i oczywiście Stu, który zajmuje pokoje na poddaszu.

– Może któreś z nich wezwało pastora? – dopytywał Redfern.

– Nonsens! – zaśmiała się starszka. – Wszyscy są młodzi i z pewnością nie potrzebowali ostatniej posługi. Może pastor coś pomylił?

– Niewykluczone – przytaknął Redfern i upił kolejny łyk brunatnego napoju. – Wspaniałe miejsce.

Rozejrzał się po ozdobionym sztukaterią suficie i wytapetowanych ścianach, w końcu jego wzrok spoczął na starym automacie bokserskim. Skóra na gruszce była spękana, ale drewniana konstrukcja zdradzała, że

w maszynie jest jeszcze sporo życia. W szybcie mosiężnego siłomierza odbijały się ostatnie promienie słońca.

– Tak, stryj był oryginałem, to fakt. Wie pan, że każde miejsce w posiadłości ma swoją afrykańską nazwę? I tak mamy tu naturalny strumień Kongo, z którego można pić, i wyspę Ruwenzori na jeziorze Stanley. Chciał, żeby Furzehill przypominało mu Czarny Ląd.

– Chyba mu się to udało.

– Muszę pana przeprosić – wyznała nagle. – Jestem trochę zmęczona. Proszę jeszcze kiedyś do mnie zajrzeć.

– W porządku. – Redfern spojrział w okno, pod które podkradł się bury wieczór. – Czy miałaby pani coś przeciwko, żebym wrócił tu jutro i nieco się rozejrzał? Chciałbym zapytać o Kennetha O'Malleya także pozostałych mieszkańców Furzehill.

– Obawiam się, że jutro nie będę miała możliwości się z panem zobaczyć, ale Stu pana wpuści.

Redfern skłonił się i skierował do wyjścia. Przechodząc przez komnatę, na drugim kominku zauważył szklaną szkatułę, a w niej coś, co mogło należeć tylko do jednej osoby.

– Czy to...?

– Tak – odparł Stuart, który odprowadzał Redferna. – Jesteśmy z niego bardzo dumni. Agnes Livingstone przekazała ten sekstans sir Stanleyowi w tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym, pięć lat po śmierci swojego ojca. W muzeum w Belgii znajduje się nawet list, w którym sir Stanley pisał: „Nie ma nic, co mógłbym bardziej cenić” – zacytował z lubością.

– W Belgii? – zdziwił się Redfern.

– Tak. W Królewskim Muzeum Afryki Środkowej. To właśnie im syn sir Stanleya, Denzil, przekazał w osiemdziesiątym szóstym wszystkie pamiątki po ojcu. No cóż, rząd brytyjski nie był zainteresowany – dodał lokaj z przekąsem.

– Nie?

– Za dużo kontrowersji urosło wokół sir Stanleya. Wie pan, jawny rasizm, wynajmowanie czarnoskórych tragarzy... O Boże! Przepraszam pana najmocniej!

– Jestem jamajskim Szkotem. – Redfern się uśmiechnął. – Trochę mogę powiedzieć o rasizmie, ale nie to, że użyte przez pana słowo jakoś mnie uraża.

– Mimo to przepraszam – powiedział Stu, a zaraz potem dokończył: – Sir Stanley wynajmował niewolników podczas wypraw i miał nieugięty charakter, co nie przysporzyło mu przyjaciół. Odmówiono mu nawet spoczynku obok doktora Livingstone’a w katedrze Westminsterkiej.

Redfern był pewien, że kiedy ostatni raz słyszał o pochówku, to rozmówca stwierdził, że taka była wola Stanleya.

– Ale to wszystko jest bardzo trudne do zweryfikowania – ciągnął lokaj. – Ostatecznie ludzie ci byli wynajmowani przez sir Stanleya od wodzów afrykańskich plemion. Wszystko to za paciorki, perkal, broń. Czy to było niewolnictwo?

– Wolalbym się nie wypowiadać – odparł ostrożnie Redfern, słysząc czułość, z jaką Stuart wypowiadał się o rodzinie, której służył.

– Czy rasistą można nazwać człowieka, który adoptował ciemnoskórego chłopca? – Lokaj koniecznie chciał, żeby Redfern przyznał mu rację. – A nawet nazwał jego imieniem wodospad na Kongo?

Redfern nie miał czasu na historyczne dyskusje, bo ani nie umiał ocenić tamtych wydarzeń, ani też nie sądził, że rozprawa o tym, co miało miejsce ponad sto lat temu, może go przybliżyć do mordercy Kennetha O’Malleya.

Gdy zjeżdżał w dół Stanley Hills, na skrzyżowaniu z Grange Road zauważył zapadającą się chatę, naprzeciwko której kontrastowo jaśniały światła wystawnej willi. Mijając szykujące się do wieczornego odpoczynku Pirbright, myślał o tym, co usłyszał od Bente Hansen. Jeśli sprawdzi się scenariusz prokuratorki, jego starania, by stworzyć silny zespół, spełzną na niczym i Linda Wall nie będzie miała do czego wracać. Z tą ponurą myślą wjechał do centrum miasteczka.

Poniedziałek, 2.12.2013, wieczór

Pozbawiona latarni Church Lane sprawiła, że Redfern musiał włączyć latarkę w telefonie, by nie potknąć się o popękana nawierzchnię jezdnii. Zbliżając się do mostku prowadzącego do domu pastora, zerknął na plastikowego krokodyla, którego oko błysnęło w ledowym świetle. Mimo niezrozumiałej niechęci do duchownego musiał przyznać, że miał on bardzo ciekawe poczucie humoru.

Redfern przeszedł przez kładkę i zatrzymał się przed furką z tabliczką informującą o tym, że nieproszeni goście będą utylizowani. Zardzewiałe litery były mało czytelne. Ted miał rację, ktoś, kto zabił Kennetha O'Malleya musiał często patrzeć na ten kawałek metalu, skoro przyszło mu do głowy ukrycie zwłok właśnie w kompostowniku pastora.

Redfern wątpił, by był to syn ofiary, który w Pirbright z pewnością nie bywał i nie miał możliwości poznać miasteczka na tyle, by wychwycić każdy jego szczegół, a już na sto procent wąską, ukrytą przed światem ścieżkę prowadzącą do domu pastora.

Na ciemnej fasadzie domu żółtym kwadratem jaśniało zasnutą firanką okno kuchenne, przez które Redfern widział niską postać duchownego. Wszedł na ganek i wciąż świecąc sobie latarką, zadzwonił dzwonkiem i poczekał. Jednak zamiast kroków zbliżających się do drzwi dobiegł go stłumiony rumor. Po chwili w progu stanął zmęczony Merton Addison.

– Dlaczego mnie pastor okłamał? – zapytał Redfern. Nie miał czasu ani ochoty bawić się w uprzejmości. Zrobił krok do przodu, niemal wpychając męczyznę do środka. Rozejrzał się za źródłem hałasu, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego.

– Okłamał? – Pastor uśmiechnął się kpiąco. – W mojej profesji to raczej nie uchodzi.

– Nie udzielał pastor ostatniego namaszczenia w Furzehill. – Redfern nie chciał się wdawać w niepotrzebną dyskusję na tematy moralne z przedstawicielem instytucji, która zdaniem inspektora przez wieki udowodniła, jaki ma stosunek do tego, co uchodzi, a co nie.

– Och, pomyliłem się! – zakrzyknął duchowny, uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Nie w Furzehill, tylko w Furzehill Cottage, u żony



ogrodnika.

– To ten dom w dole Stanley Hill? – zapytał Redfern, rozglądając się w poszukiwaniu źródła hałasu, ale nie dostrzegł niczego niezwykłego. Stali pośrodku kuchni w stylu wiktoriańskim ze stołem roboczym pośrodku i głębokim porcelanowym zlewem pod oknem.

– Tak, właśnie ten – zapewnił pastor i gestem zaprosił Redferna do salonu. – Do niedawna stanowił integralną część Furzehill, stąd moja pomyłka.

– A dlaczego nie stanowi już integralnej części? – zapytał inspektor, siadając na wskazanym przez pastora skórzanym fotelu, który sądząc po zapachu i wbijających się w plecy sprężynach, mógł być niegdyś wyposażeniem posiadłości Stanleya.

– Decyzja pani Celi Stanley – oznajmił Merton Addison, zajmując miejsce na flauszowym uszaku stojącym obok. – Przepisała dom na Kalulu M’Halego.

– Chce pastor powiedzieć, że lady Stanley tak po prostu podarowała ogrodnikowi dom wart pół miliona? – Redfern był bardzo zdziwiony, zwłaszcza gdy pomyślał o cenach nieruchomości w tej okolicy.

– No wie pan, to nie takie proste – zachnął się Addison i popatrzył na inspektora, jakby ten popełnił poważny nietakt. – Rodzina M’Hali służy Stanleyom od pokoleń. Właściwie to ich siedziba, więc lady Stanley u kresu życia chciała im podziękować za tę usługę.

– Bardzo to szlachetne – odparł Redfern, choć na usta cisnęły mu się zupełnie inne słowa.

Spotkanie z pastorem napędziło go do działania. Musiał się dowiedzieć, za co tak naprawdę ogrodnik dostał taki prezent.



Wyjechał z plebanii, zastanawiając się, czy nie powinien odłożyć wizyty w Furzehill Cottage na jutro. Mimo to skręcił w stronę wzgórz. Wysoki

żywoplot skończył się nagle, zmieniając się w niskie drewniane ogrodzenie, zza którego wyłonił się dobrze oświetlony masyw ceglanego domu stylistyką pasujący do Furzehill Place. Słyszając nazwę „cottage”, wyobrażał sobie wiejski bungalow na skrawku ziemi, do którego doklejonny był niewielki, zapuszczony sad. Tymczasem zatrzymał się przed bramą zadbanej dwupiętrowej posiadłości, wartej znacznie więcej, niż Redfern zakładał. Wysiadł z auta i pchnął furtkę, która ustąpiła z piskiem. Przeszedł szerokim podjazdem wprost pod dębowe, przeszklone drzwi i nacisnął mosiężny przycisk dzwonka. Odczekał chwilę, a kiedy nikt nie otworzył, przeszedł na tył budynku, by sprawdzić, czy kogoś nie ma w ogrodzie. Rozejrzał się po doskonale utrzymanym terenie. Mimo nadchodzącej zimy trawnik kipiał soczystą zielenią, a wzdłuż wybrukowanych fantazyjnie alejek rosły kwiaty, jakich Redfern nigdy nie widział. W rogu ogrodu, pomiędzy szarymi włosami wierzby płaczącej, zauważył ruch. Ruszył w stronę pochylonego nad czymś człowieka. Kiedy był w połowie alejki, dostrzegł, że mężczyzna w roboczym ubraniu zamyka ukrytą pod winoroślą szopę, po czym klęka przy niej i czemuś się przygląda.

– Dobry wieczór! Inspektor Redfern, policja Woking.

– Dobry!

– Mieszka pan tu? – zapytał policjant, nie mogąc dopasować zmęczonego życiem mężczyzny do wielkiej posiadłości.

– Nie, nie mieszkam, choć fajnie by było – odparł wesoło. – Jesteśmy sąsiadami i czasem sobie pomagamy, jak to na wsi. Krety w tym roku praktycznie przejęły władzę nad Pirbright. – Zaśmiał się sztucznie i wskazał na rozdarty brunatnym strupem fragment zieleni. – U siebie już zrobiłem porządek, ale tutaj to będzie kupa roboty. Normalnie to by Kalulu sam się rozprawił ze szkodnikami, ale on nie ma do tego teraz głowy.

– I zajmuje się pan tym po ciemku? – powątpiewał Redfern.

– Nie, właśnie skończyłem – odparł mężczyzna. – Chowałem tylko narzędzia do szopy.

– A gdzie znajdę państwa M’Hali?

– W domu muszą być, a niby gdzie? Widziałem się z Kalulu, zanim zacząłem. – Mężczyzna podniósł się z kolan i otrzepał spodnie.

Najwyraźniej szybki ruch sprawił mu ból, bo skrzywił się i złapał za plecy.

– Dzwoniłem, ale nikt nie odpowiada – rzekł Redfern.

– Wcale się nie dziwię, Kalulu tkwi przy żonie dzień i noc. I wie pan co, daj pan mu jeszcze spokój.

– To może pan mi coś powie o Kennecie O'Malleyu?

– A co tu opowiadać? Chodziliśmy razem do szkół, do Guildford, bo w Pirbright jeszcze szkoły wtedy nie było. Za młodu to fajny był kolega, z pomysłami, zuchwały, ale dobry. I uczył się nieźle. Rodzice z nim mieli ciężki żywot, oj, ciężki, bo niepokorny był ten Kenneth. Do wojska chciał, ale oni przecież konie hodowali. Poza tym pieniędzy nie mieli, by chłopaka wysłać do jakiejś szkoły. Został więc i nauczył się o tych koniach jak nikt. Potem poznał na zabawie w Brookwood Marlene. Najpiękniejsza była ze wszystkich. Szybko się pobrali, ale ona do gospodarki ręki nie miała. Pracowała jednak w stajni, a potem dzieciaka urodziła, ale inne jej się życie marzyło. To i dał jej wolną rękę. Zabrała chłopaka i się wyprowadziła, ale Bóg raczy wiedzieć dokąd. A Kenneth został w tych swoich stajniach z końmi i starym ojcem. Szkoda chłopca, dobry był z niego fachowiec. Ciekawe, co teraz stanie się ze starym?

– Czy był w miasteczku ktoś, z kim Kenneth szczególnie się nie lubił? – Redfern powoli miał dość tej mantry o dobrym fachowcu. Zupełnie jakby wszyscy w Pirbright się zmówili.

– E, nie. Nie było nikogo takiego. Przynajmniej ja sobie nie przypominam.

– A Marcus Bevan, mąż Caroline?

– Pracował dla Kennetha, ale nie jestem pewien, czy się lubili. Kenneth trochę wszedł klinem w to małżeństwo, chociaż sam nie wiem, czy to było małżeństwo. Caroline wyjechała, kiedy była w ciąży z drugim dzieckiem. Wróciła, gdy dzieciaki były już wyrostkami. To starsze to chyba w ogóle z nią nie przyjechało, bo jakieś stypendium miało czy coś. – Pokiwał gorliwie głową. – Nikt nie wie, dlaczego Caroline sprowadziła się z powrotem. Ktoś mówił, że powinęła jej się noga i musiała wrócić na stare śmieci. Ostatecznie chałupa przy Mill Lane była jej i z tego, co wiem, to ją

sprzedawała. W każdym razie awanturom tych dwojga nie było końca, aż wreszcie Kenneth zrobił z Marcusem porządek.

– Dobrze się znaliście z Kennethem? – Redfern przesunął rozmowę na inne tory.

– Tyle o ile. Piwo czasem w pubie wychyliliśmy, pomocy też nigdy nie odmawiał – powiedział z pełnym przekonaniem sąsiad. – Pan wybacz, ale po zmroku słabo widzę, a muszę jeszcze dojść do domu – przeprosił i odszedł w głąb ogrodu. Redfern patrzył, jak mężczyzna przechodzi przez ukrytą w żywopłocie furtkę i znika za ogrodzeniem.



Starał się skupić na drodze, która wiła się licznymi zakrętami. Światła toyoty brodziły w podszytej mgłą szarówce, kiedy wjechał w ulicę oddzielającą dwie części cmentarza Brookwood. Ciągący się przez ponad milę mur uruchomił w nim nie tylko wspomnienia, ale i chęć działania. Wiedział, że Marta Sokolińska nie opuściła Anglii. Mogły być tylko dwa scenariusze – Katarzyny Ziarno, zakładający, że kobieta chciała nabrać dystansu do ostatnich wydarzeń w jej życiu i wybrała samotne rozwiązanie swoich problemów, albo ten Redferna, który z każdym dniem napawał go coraz większym lękiem.

Podjechał pod dom i już z chodnika dobiegło go ujadanie Bandita. Redfern przyspieszył kroku, by zobaczyć, co tak rozzłościło szczeniaka. Po chwili zauważył powód. W cieniu ganku stało coś dużego, co z miejsca poprawiło mu humor. Redfern domyślił się, że zanim Siwiaszczyk podał mu numer przesyłki, kurier zdążył dostarczyć opony do triumpha. Uśmiechnął się do siebie na myśl, że wkrótce będzie mógł przesiąść się z powrotem do swojego auta. Przyglądając się z daleka paczce, pchnął niską furtkę i wszedł do przedniego ogrodu przeciętego na pół długim chodnikiem.

Przystanął na ułamek sekundy, zmrożony tym, co przywodził mu na myśl leżący na schodach przedmiot. Z półmroku wyłaniał się kształt, który z każdym krokiem sprawiał, że strach coraz mocniej zaciskał swoją pętlę na gardle Redferna. Bardzo chciał się mylić, ale im bliżej był domu, tym bardziej miał pewność, że to, co widzi, nie jest przesyłką z Polski. Podbiegł do paczki i drżącymi rękami rozszarpywał grubą czarną folię. Taśma, ciasno okręcona wokół najwęższej części pakunku, nie chciała ustąpić, ciągnąc się i wbijając boleśnie w dłonie. Redfern czuł, że zasycha mu w gardle, a ciałem szarpie dreszcz.

Kiedy jego palce natrafiły na splot kasztanowych loków, David znieruchomiał.

Spod czarnych niczym kir strzępów folii spoglądało na niego nieruchome oko.



## ROZDZIAŁ III

Poniedziałek/wtorek, 2/3.12.2013, noc

Palacz uderzył z mistrzowską precyzją, na moment pozbawiając Redferna tchu, ale paradoksalnie dał mu nadzieję. Marta żyła.

Wciąż ciężko dysząc, wybrał numer do jedynej osoby, która mogła mu w tej chwili pomóc. Miał tylko nadzieję, że policjant jest jeszcze w mieście. Odebrał po kilku sygnałach, a Redfern miał wrażenie, że w progu pojawił się jeszcze szybciej.

Mężczyźni stali w korytarzu i przyglądali się zawartości paczki, którą z ciekawością wymieszaną ze strachem obwąchiwał Bandit.

Głowa manekina przekrzywiła się i opadła smętnie, opierając brodę o nagą pierś, do której przyklejono kartkę z nadrukowanym napisem: „Życie za dysk”.

– Co to może znaczyć? – zapytał Zheng, który oparł się o ścianę i podobnie jak Redfern wpatrywał się w kukłę.

– Myślę, że to ma jakiś związek z Ronaldem Ruddem – odparł powoli inspektor. – McMahon zdradził mi, że w domu porywacza Izy Wolańskiej znaleziono ładowarkę, ale nie samego laptopa. Palacz widocznie myśli, że to ja go zabrałem.

– A zabrałeś?

– Zwariowałeś? – obruszył się Redfern. Natarła na niego fala wspomnień z odbicia dziewczynki z rąk porywacza i poczuł się nieswojo.

– Może zatem chodzi o twój komputer, na który McMahon wpuścił ci oprogramowanie szpiegujące? Ostatecznie Marta zniknęła pod koniec października, czyli jeszcze przed sprawą Rudda.

– Problem polega na tym, że sformatowałem dysk laptopa i oddałem go do recyklingu. – Redfern sam siebie zaskoczył tym kłamstwem, ale coś podskórnie mówiło mu, by nie ujawniać wszystkiego.

– No to kłapa. Musimy zatem rozpytać sąsiadów, czy czegoś nie widzieli.

– Dramat tego domu polega na tym, że ktoś go zbudował w cholernym okopie. – Redfern się skrzywił. – Zanim przyjechałeś, byłem u sąsiadów z domu obok i powiedzieli mi, że widzieli jakiegoś faceta w kapturze z dużą paczką, ale nawet nie wiedzą, czy to było w moim ogrodzie, czy też nie.

– A jednak jakoś musiał dostarczyć tę sekslaleczkę.

Redfern spojrzał pytająco na Zhenga.

– No co? – zdziwił się agent. – Chyba mi nie powiesz, że nie zauważyłeś, że to dość szczegółowy manekin. Włosy, skóra, różnicę widać od razu. Generalnie droga rzecz. *Grey import*, jak mniemam.

– Wcale mnie nie dziwi, że żona wystawiła cię za drzwi, skoro masz takie zainteresowania.

– Nie wystawiła, ale dajemy sobie trochę czasu.

– Nie widzę różnicy – mruknął Redfern i wycofał się do kuchni, by przygotować herbatę i oczyścić umysł z czarnych myśli.

– Może spróbujemy ściągnąć odciski? – zapytał Zheng, który wszedł do kuchni i zajął miejsce, na którym zwykle siadał Siwiaszczyk. David dziękował losowi, że dziadek nie musi brać w tym wszystkim udziału.

– Marne szanse, żebyśmy cokolwiek znaleźli – odparł Redfern, stawiając czajnik z wodą na kuchence. – Po pierwsze zapaskudziłem ją swoimi śladami, kiedy rozrywałem folię, a po drugie, i ważniejsze, mamy do czynienia z profesjonalistą.

– Może zatem to ktoś z twoich?

– Też mi to przeszło przez głowę, ale z drugiej strony mam wrażenie, że ta gra ciągnie się znacznie dłużej niż mój przydział do Woking. Osią wszystkiego jest Adrian Bones i to od niego muszę zacząć.



– A co znalazłeś w papierach, które ci podesłałem?

– Właściwie nic. Mam przeczucie graniczące z pewnością, że jego wycieczka do Dover nie była przypadkowa, tak jak i strzał, który oddał w pierś bosmana z promu. To nie mógł być przypadek, Zheng.

– Może zwątpił w systemowe rozwiązanie problemu? – Mężczyzna uniósł jedną brew i przyglądał się parze wydobywającej się z czajnika szarawym strumieniem.

– Albo też natrafił na coś, co zmusiło go, by działać poza systemem – odparł Redfern. – W każdym razie muszę się zagłębić w to, czym się zajmował.

– Nic więcej nie mam – oznajmił Zheng z lekką pretensją w głosie.

– Wiem. Chodziło mi o czas poza agencją. Myślę, że na przecięciu życia osobistego i zawodowego znajdziemy odpowiedzi na wszystkie pytania.

Redfern zalał dwa kubki i zanurzył w nich torebki z herbatą, patrząc, jak brunatne smugi esencji zmieniają wodę w bursztynowy napój. Wątpił, że Palacz byłby na tyle nieostrożny, by zostawić jakikolwiek ślad biologiczny. Choć lalka była poza zasięgiem wzroku Davida, wciąż czuł jej ciężką obecność. Zupełnie jakby wraz ze swoim bezwładnym ciałem wniosła do domu niepokój, który osadzał się na wszystkim niewidzialną złą energią.

– Może jednak warto spróbować? – Redfern zawiesił wzrok w ciemnym prostokacie wyznaczającym wejście do kuchni. – Facet mógł popełnić jakiś banalny błąd.

– A zestaw oględzinowy?

– Zaraz wracam – odparł Redfern i wyszedł z kuchni.

Był pewien, że dziadek wciąż przechowuje jego rzeczy z czasów londyńskich. Stanął na środku korytarza i spojrzał na sufit, na którym odcinała się drewniana kłapa wejścia na strych. Redfern dostrzegł za grzejnikiem pałąk, którym Siwiaszczyk otwierał właz. Sięgnął po niego i po krótkiej wspinaczkę po stromych schodkach znalazł się na cuchnącym lodowatą stęchlizną strychu.

Wyciągnął z kieszeni telefon, włączył latarkę i podążył wzrokiem za słupem światła, który obnażył panujący w pomieszczeniu bałagan. Wreszcie natrafił na to, czego szukał. Za zbiornikiem na wodę,

zapewniającym ciśnienie w kranach, zobaczył stos znajomych kartonów po bananach. Pamiętał, że przytaszczył ich kilka ze sklepiku, nad którym mieszkał z Patricia. Część opisana jej zamaszystym pismem pojechała do ich nowego lokum w Guildford, a te jej zdaniem zbędne – tutaj.

Otworzył jeden z nich i przełożył kilka płaskich teczek, spod których umknął tłusty pająk, na co Redfern zareagował obrzydzeniem.

– No i co znalazłeś? – usłyszał z dołu głos Zhenga Cong Coh, o którego obecności zdążył zapomnieć.

– To, czego potrzeba – odkrzyknął i wydobył spoczywającą na dnie walizkę. Złapał za metalową rączkę i zszedł po schodach.

– Skąd to masz? – zapytał agent, gdy obaj oglądali zawartość walizki w kuchni.

– Dostałem, gdy odchodziłem z agencji. – Redfern wziął wilgotną szmatkę ze zlewu i wytarł walizkę. Nie był pewien, czy znajdzie w środku cokolwiek, co nada się do przeprowadzenia oględzin manekina. – Taki specyficzny prezent pożegnalny od Adriana – dodał, zwalniając srebrne kłamry zestawu.

– Nie mógł ci wybaczyć, że schodzisz z pokładu? Ostatecznie chyba zrobiłeś to dla jego siostry? – dociekał Zheng, zerkając na zawartość walizki, którą stanowiły pędzelki, koperty, butelki, ołówki i różnego rodzaju nożyki.

– Nie, to raczej żart w jego stylu – rzekł po chwili Redfern. – Prztyczek w nos, że niby przejście do policji w Guildford to taka jakby degradacja.

– No to chyba faktycznie się obraził – zachnął się agent, po czym zapytał: – Argentorat czy proszek?

– Argentorat to chyba bardziej do szkła, co? – powątpiewał Redfern, przeglądając zawartość nesesera. – Lampy UV nie widzę, więc fluorescencję możemy sobie darować.

– Technicy z bożej łaski. – Zheng wyciągnął fiolkę z proszkiem daktyloskopijnym i sceptycznie przyjrzał się zawartości, podnosząc ją w stronę światła żarówki. – Czy to ma jakąś datę ważności?

– Przekonajmy się – odparł Redfern.

– Racja, bierzmy się do roboty! – Zheng klasnął w dłonie z uśmiechem, jakby nie chodziło o żmudne wielogodzinne poszukiwanie śladów pozostawionych przez porywacza.

Mając na dłoniach gumowe rękawiczki, przenieśli kukłę na kuchenny stół. Dopiero teraz, w świetle lampy, inspektor widział wyraźnie, że jest zupełnie inna od Marty, drobniejsza, o azjatyckich rysach. Tylko kasztanowe loki sprawiły, że kiedy godzinę temu stał na ganku, wyobraźnia wyprzedziła logiczne myślenie i Redfern spanikował. Gdy zdjął ostatnią warstwę folii, wiedział już, co miał na myśli agent, mówiąc o szczegółowym wykonaniu lalki. Od prawdziwej kobiety odróżniał ją jedynie dziwny zapach i martwy, wbity w sufit wzrok.

Znajdowali wyłącznie odciski Redferna, który zostawił je, kiedy rozszarpywał folię. Im dalej jednak brnęli, tym było ich mniej. Zegar w przedpokoju wybił trzecią, gdy dotarli do pasa manekina. W tym rejonie również był wyjątkowo realistyczny. Zheng zdawał się tym nie przejmować i zanurzył pędzel z magnezem we fiolce z proszkiem, strząsnął jego nadmiar i posuwistymi ruchami zjeżdżał coraz niżej, by wreszcie rozchylić smukłe uda sekslalki. Redfern zrobił to samo, trzymając się zewnętrznej strony silikonowej nogi, gdy wreszcie pod szarymi smugami proszku wyłonił się upragniony wzór.

– A jednak – syknął nagle, po czym zwrócił się do agenta: – Daj folię żelową i kopertę.

Leżał na wznak, wsłuchując się w rozdzierające bębenki chrapanie Zhenga, który od godziny spał w pokoju dziadka. Redfern był wdzięczny, że agent błyskawicznie zareagował na jego telefon i przyjechał go wspomóc. Nie był do końca pewien, ale liczył, że znalazł w tej walce jeśli nie sprzymierzeńca, to chociaż niewielkie wsparcie. Dzięki kontaktom mężczyzny z pewnością łatwiej mu będzie dotrzeć do Palacza, który starał się zataczać wokół Redferna coraz ciasniejsze kręgi. Jeśli znajdzie Palacza, znajdzie Martę.

Nie mógł odpuścić, tak jak kiedyś odpuścił poszukiwania siostry, która pewnego upalnego dnia rozplynęła się w powietrzu, gdy z dziadkiem spędzali weekend nad rezerwuarem Harlaw. Przyjęto, że dziewczynka

utopiła się podczas zabawy, ale Redfern w to nie uwierzył. Ktoś musiał porwać Dominique, choć jedynym świadkiem była naćpana dziewczyna, która twierdziła, że widziała, jak jakiś mężczyzna wsadza wypchany czymś koc do bagażnika białego forda albo staga. Tym razem też nie było świadków ani jednoznacznych dowodów na to, że Marta została uprowadzona, ale przecucie, że stało się coś złego, było równie silne, co tamtego lata.

Z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że słusznie postąpił, rezygnując z munduru. Wszystkie zdarzenia, które wstrząsnęły jego życiem, sprowadzały się do tego, że go nosił. Tak jak teraz, kiedy coraz wyraźniej widział, że sprawa Bonesa i mafii handlującej żywym towarem zbiegają się w jednym punkcie.

Zanim sen gwałtowną falą zmył go z pokładu rzeczywistości, spojrzął na leżącą na szafce nocnej kopertę.

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, jutro pozna tożsamość Palacza.

Wtorek, 3.12.2013, rano

Obudził go hałas dochodzący z kuchni. Zerwał się z łóżka, ale przypomniawszy sobie o wczorajszym wieczorze, opadł ciężko na poduszkę. Bandit mruknął niezadowolony, jego nadzieja na spacer zgasła z ciężkim westchnieniem Redferna, które oznaczało, że pan źle się czuje i szybko nie otworzy drzwi, zza których dochodził zapach jajeczniczy.

Redfern zamknął oczy, chcąc odciąć się od bólu. Krótki sen i stres mściły się zawsze tak samo – tęnym rwaniem mięśni całego ciała, którego nigdy nie umiał opisać, gdy neurolog prosił o nazwanie tego, co mu dolega. Inspektor zajrzał do szuflady szafki i wyciągnął z niej doretę. Wiedział, że nie będzie mógł po niej prowadzić, ale mimo to połknął na sucho jedną z pastylek. Chciał jak najszybciej wstać i nie dać Zhengowi po sobie poznać, że coś nie gra.

Na wpół śpiący usłyszał, że na podłodze coś burczy. Pokonując zawroty głowy, zerknął za krawędź łóżka i zobaczył na parkiecie komórkę. Summer. Odebrał i mruknął do telefonu niezrozumiałe powitanie.

– Źle się czujesz? – zatroskała się Summer. – Czegoś ci potrzeba?

– Nie, spoko – odparł i odchrząknął szybko, strącając z głosu oznaki zmęczenia. – Z czym dzwonicz?

– Znalazłam syna naszej ofiary i pomyślałam, że może sam chcesz z nim pogadać.

– Dobry pomysł. Możemy się spotkać... – zawahał się chwilę, ale Summer go wyprzedziła.

– Przyjadę po ciebie za pół godziny, OK?

– Za czterdzieści pięć minut – poprosił i rozłączył się.

Lek powoli pozwalał na wstanie z łóżka, usuwając ze stawów nieznośny żar. Redfern podniósł się i powłócząc nogami, poszedł do kuchni. Po drodze o mało nie przewrócił się o ucieszonego Bandita, który wyprzedził go w progu i popędził w stronę obłądnego zapachu. Zmroził go widok sekslalki, która wciąż spoczywała na stole niczym w prosektorium.

– Cześć! – Zheng przywitał go, nakładając jajecznicę na talerze. – Chyba zjemy w salonie, co?

– Zdecydowanie. – Pokonując zeszywnienie palców, wziął talerz od agenta i poszedł do największego z pokojów. – Chodź! – zawołał, ale mężczyzna nie odpowiadał. Z ciężkim westchnieniem David zostawił parującą jajecznicę na stole i wrócił do kuchni.

Zaskoczył Zhenga zwisającego nad kukłą, na co agent podniósł się zakłopotany.

– Nie wydaje ci się to zbyt proste? – zapytał.

– Co? – Redfern wyciągnął suchą karmę spod zlewu i nasypał szczeniakowi do miski. Bandit zanurzył pysk w przysmaku i chrupał z zapałem.

– No ten odcisk. Mówiłeś, że facet jest ostrożny w cholerę, a tu zostawia jeden jedyny odcisk.

– Fragment odcisku – poprawił go Redfern, ale zaczął się zastanawiać, czy aby agent nie ma racji. – Sprawdzisz go? Ja wolałbym się nie

wystawiać.

– Jasna sprawa. Mówiłem ci już wczoraj. Jeszcze dziś się z tym rozprawię.

– Wracasz do Londynu? Myślałem, że bierzesz dziś urlop na żądanie. – Redfern rzucił okiem na zegar w przedpokoju, który wskazywał siódmą. Zheng nie miał szans dotrzeć do agencji na czas.

– Miałem wziąć – mruknął niechętnie. – Ale po pierwsze McMahan mnie nie przenocuje drugi raz, bo jego urocza żona gotowa zasyczeć go na śmierć, a po drugie musimy się zająć tym typem od lalki.

– A twoja żona?

– O to jestem spokojny – odparł z uśmiechem i sięgnął po talerz. – Jej temperament stygnie szybciej niż ta jajecznicza. Chodźmy jeść.

Zheng usiadł na miejscu, które zwykle zajmował Siwiaszczyk, i Redfern poczuł się nieswojo. Powinien zadzwonić do dziadka i dopytać o szczegóły jego powrotu. Tymczasem będąc na wypowiedzeniu, zmagął się z zawiłym śledztwem, przenocował kolegę, który był na bakier z abstynencją, a w jego pokoju leżała sekslalka.

– Co tam dzisiaj masz w planach? – zapytał Chińczyk, wpychając sobie do ust kawałek chleba.

Redfern miał wrażenie, że to pytanie mogłaby mu zadać żona, ale nie kumpel z byłej pracy i na tę myśl się uśmiechnął, bo pomyślał, że prawdopodobnie tak wyglądały poranki agenta. Po chwili jednak dotarło do niego, że z niewiadomych przyczyn Zheng przed tym ucieka.

– No więc? Co będzie robił słynny inspektor? – ponowił pytanie.

– Będę walczył ze złem – odparł Redfern wymijająco.

– Brzmi beznadziejnie – skwitował Zheng i pokręcił głową.

– Taka praca, kotku – rzucił lakonicznie inspektor, a pokój wypełnił ich śmiech. Tego ranka wyjątkowo smutny i bezbarwny.



Zjechali w dół Midhope Close, wzdłuż której stały charakterystyczne szeregowce z jednym okrągłym oknem przylegającym do drzwi wejściowych. Po przeciwnej stronie uliczki, oddzielone połaciami zadbanych trawników, rozrzucone były trzy dwupiętrowe bloki. Według adresu zdobytego przez Summer w ostatnim z nich mieszkał Jack O'Malley. Syn ofiary zajmował mieszkanie na parterze po lewej stronie odrapanej klatki.

Otworzył im chudy mężczyzna o szarej, zniszczonej twarzy. Nadmiar skóry na nagich ramionach i policzkach sugerował, że niegdyś musiał walczyć z dużą nadwagą. Zmęczonym wzrokiem patrzył na policjantów, wysłuchując tego, z czym przyszli.

– Skoro dotarł pan aż tutaj, to pan zapewne wie, że nie mam kontaktu z ojcem – odparł sucho, nie zwracając uwagi na Summer.

Zanim Redfern zdążył się odezwać, z głębi mieszkania dobiegł ich krzyk dziecka.

– Przepraszam, ale nie mam czasu na pierdoły – rzucił i zniknął w głębi ciemnego korytarza, zostawiwszy otwarte drzwi.

Redfern spojrzał pytająco na sierżantkę, na co ona wzruszyła ramionami. Chwilę się wahał, ale wszedł do środka i podążył za gospodarzem. Dom był przesiąknięty zapachem leków. Nie kojarzył się jednak ze spokojem apteki, ale z chorobą, która ogarnęła wszystko.

Weszli do ostatniego z pomieszczeń, w którym zniknął mężczyzna. Pod oknem Redfern zobaczył łóżko oraz wyposażenie przywodzące na myśl salę intensywnej opieki medycznej. Przypomniał sobie Zimal Abbasi, jedenastoletnią córkę zamordowanych Pakistańczyków, która wciąż dochodziła do siebie w szpitalu St. Peter. Redfern patrzył, jak Jack O'Malley podchodzi do łóżka i z czułością zakłada paroletniemu chłopczykowi maskę na drobną bladą buzię. Dziecko spojrzało z przerażeniem na stojącego w progu Redferna. Ojciec przytulił jego wątłe ciało i szepnął do ucha coś, co sprawiło, że na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Matthew ma rdzeniowy zanik mięśni typu drugiego – wyjaśnił mężczyzna, gładząc synka po twarzy.

– Czy coś można zrobić? – zapytała Summer, która stanęła za Redfernem.

– Słyszeliście o tak zwanym najdroższym leku na świecie?

– Tak... – mruknęła sierżantka.

– No więc trwają badania nad lekiem Zongelsm – powiedział, wstając i prowadząc ich do ciasnej kuchni. Gdy zajęli miejsca na stołkach, dokończył: – Mógłbym lecieć z Matthew do Stanów i poddać go eksperymentalnej terapii genowej, ale od tego dzieli nas ponad dwa miliony funtów. Tyle potrzeba na lek. Trwa zbiórka, ale ścigamy się z czasem. Jeśli Matthew osiągnie trzysta i pół kilograma, nie będzie możliwe podanie leku. Brakuje nam trzech kilka i... prawie miliona. Marzę, by mój syn był zdrowy, żebyśmy któregoś dnia poszli na golfa, a potem na lody...

– Spróbujemy nagłośnić sprawę w naszej komendzie, może jeszcze zdążymy... – Summer próbowała mu dodać otuchy. Redfern ze smutkiem policzył, że każdy z policjantów z Woking musiałby wpłacić dziesięć tysięcy, żeby ta obietnica miała pokrycie.

– A więc pytacie o mojego ojca. – Jack O'Malley zmienił temat, zupełnie jakby pomyślał o tym samym, co Redfern. Prawdopodobnie nieraz słyszał podobne zapewnienia i mocno się zawiódł. Płomyk nadziei zmienił się w pożar rozczarowania. – Tak jak mówiłem, nie mam z nim kontaktu. Moja świętej pamięci matka bardzo o to zadbała.

– Wie pan dlaczego? – spytał Redfern.

– Moja mama była dość skrytą kobietą, a ja nie dociekałem. – Uciekł wzrokiem w stronę drzwi, zza których dobiegło ich nerwowe mruknięcie chłopca. – Opuściła dom w Pirbright tak, jak stała, kiedy miałem trzy lata. Trochę więcej niż mój syn teraz – dodał.

– Kiedy ostatnio widział się pan z ojcem?

– Kilka lat temu. Przyszedł na mój ślub, a potem, gdy zaczęły się kłopoty z Matthew.

– Czego chciał? Mówił coś szczególnego? – dopytała Summer.

– Powiedział, że ma pieniądze na leczenie mojego syna, chociaż wcześniej się go wyparł.

– Wyparł? – zdziwił się Redfern.



– Mój ojciec jest rasistą, proszę pana. To znaczy był, z tego, co mówicie – poprawił się. – Kenneth O'Malley był najpodlejszym rasistą, jakiego może pan sobie wyobrazić. Wie pan, dlaczego zjawił się na moim ślubie? Żeby go zniszczyć! Moja żona płakała całą ceremonię. Najpierw przekonywał mnie, że małżeństwo z moją pochodzącą z Algierii żoną to wielki błąd i hańba dla rodu O'Malleyów, a potem wparował do kościoła, by przerwać ceremonię. To chory człowiek.

– Z tego, co udało się ustalić, pański ojciec miał ogromne długi. Wie pan, o jakie pieniądze mogło chodzić?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – rzucił ostro. – Tak jak mówiłem, mój ojciec miał, owszem, ale coś z głową.

– Czy możemy porozmawiać z pańską żoną?

Jack O'Malley spojrzął na Redferna zbity z tropu. Cały gniew, który wyrzucał z siebie, odkąd wspomnieli o Kennecie, nagle ustąpił niewyobrażalnemu smutkowi.

– Olulade zginęła. – Ledwo poruszył ustami, jakby nie chcąc strącić łez, które zebrały się w kącikach jego szarych oczu. – Niedługo po urodzeniu Matthew – dodał. – Rzuciła się pod pociąg na stacji w Brookwood. Do tej pory nie wiem, co tam robiła...

– Bardzo mi przykro – szepnęła Summer. Jej twarz ściał szczery żal.

– Dziękuję. Podobno to była depresja poporodowa – wyjaśnił mężczyzna przez zaciśnięte gardło. Odwrócił twarz i dyskretnie otarł policzek.

Redfern pomyślał, że są łzy, których mężczyzna nie powinien się wstydzic.

– Czy mogę państwu jeszcze w czymś pomóc?

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy podczas ostatniej wizyty ojciec powiedział coś szczególnego? – zapytała sierżantka.

– Przyjechał któregoś wieczora – rozpoczął Jack O'Malley, wciąż wpatrzony w drzwi, jak pies zostawiony z komendą „waruj”. Zupełnie jakby za chwilę miał w nich stanąć jego ojciec. – Zaskoczył mnie, bo nie widziałem go od paru lat, ale mimo to wpuściłem go do środka. Zapewne usłyszał o zbiórce w internecie. Na początku dopytywał, jak się czuje mój syn, chociaż nawet nie chciał go zobaczyć, kiedy się urodził. Wytknąłem

mu to, ale on się nie zrażał. Przeciwnie, nakręcał się coraz bardziej. Mówił, że jesteśmy jego jedyną prawdziwą rodziną. Do tej pory nie wiem, o co mu chodziło, przecież jest jeszcze mój dziadek. Nie dał sobie nic powiedzieć. Krzyczał, że będziemy bardzo bogaci, że wszystko się odmieni i prawdziwa rodzina wreszcie będzie razem. Miał obłęd w oczach.

– Wie pan, dlaczego był tak wzburzony? – zapytał Redfern, zapisując w notatniku słowo „rodzina”.

– Ja bym się tym tak bardzo nie przejmowałam. – Jack machnął lekceważąco ręką. – Kolejny starzec, który na łożu śmierci chce pojednania, chociaż przez całe życie był draniem.

– Pewnie ma pan rację – rzucił Redfern, podnosząc się z krzeselka. Nie chciał dłużej męczyć Jacka O'Malleya, uznając, że jak na jeden raz wystarczy. Na odchodne przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie: – Ma pan kogoś do pomocy przy chłopcu?

– Nie, sam się nim zajmuję – powiedział mężczyzna i odprowadził policjantów do drzwi. – Wożę Matthew na rehabilitację, masuję, żeby nie miał przykurczy, raz w tygodniu przyjeżdża do nas pielęgniarka, ale jestem sto procent czasu przy synu. Moje przyrodnie rodzeństwo mieszka za granicą. Czasem odwiedza nas ciocia, przywozi zakupy, pomaga posprzątać. Wie pan, dwóch kawalerów pod jednym dachem to nic dobrego – zaśmiał się blado.



Szli do samochodu bardziej przygnębieni aniżeli zadowoleni. Udało im się wiele dowiedzieć, a jednak to, co zastali w mieszkaniu, sprawiło, że nie mieli ochoty wymienić się spostrzeżeniami. W milczeniu podjechali na komendę. Gdy rozstawali się na korytarzu, Redfern wydał polecenie, by Summer dowiedziała się czegoś więcej na temat wypadku Olulade O'Malley. Sierżantka skinęła głową i zeszła po schodach. Nie miał co do tej sprawy silniejszych przeczuć, ale pomyślał, że może dokładna wiedza na

temat tego, co stało się na stacji kolejowej Brookwood, nieco ulży ojcu chorego dziecka.

Wszedł do gabinetu i usiadł w fotelu, rozmyślając o Pirbright. Z tej małomiasteczkowej mgły powoli wyłaniał się obraz starca, który kończąc swoje wybrukowane ludzkim nieszczęściem życie, szukał odkupienia. Na drodze do niego stanął ktoś, kto nie mógł wybaczyć czegoś Kennethowi, i to coś było zarzewiem zbrodni. Problem polegał na tym, że osoba, która pierwsza przysłała mu do głowy, nie żyła, a druga zmagająca się z chorobą dziecka i nie zaryzykowałaby więzienia. Ani żona, ani syn Kennetha nie mogli stać za tym morderstwem. Redfern musiał zatem wrócić do Pirbright i dokładniej przyjrzeć się mieszkańcom miasteczka.

Wtorek, 3.12.2013, południe

Podjechał pod otwartą bramę Furzehill Cottage, ale szybko się zorientował, że nie ma możliwości wjechać na podjazd, który zastawiało kilkanaście aut. Koło willi tłoczyli się ludzie w kolorowych tunikach i turbanach, tworząc jaskrawy żywy kolaż. Redfern zostawił auto na ulicy i wszedł na teren posiadłości.

– Pan z rodziny? – Dopadł do niego młody mężczyzna we wzorzystej koszuli i czarnych spodniach.

– Nie, z policji. – Zmieszał się Redfern. – Inspektor David Redfern, policja Woking.

– Myślicie, że to było morderstwo? – zaniepokoił się chłopak.

– Co, proszę?

– No wie pan, ciocia Amina była schorowaną staruszką – wyjaśnił chłopak, a Redfern pojął, że kobieta, której pastor Addison udzielał ostatniego namaszczenia, jednak słusznie wezwała duchownego.

– Chodzi o Kennetha O'Malleya, mieszkał tu niedaleko. – Inspektor wskazał na wzgórze, które malowało się brunatnym trójkątem nad koroną

drzew okalających ogród. – Zna pan?

– Nie, mieszkam w Londynie. Przyjechałem tylko na pogrzeb ciotki – odparł z widocznym żalem, ale natychmiast się ożywił. – Zaraz pobiegnę po wujka!

Redfern pomyślał, że nie będzie zakłócał uroczystości pogrzebowych. Pytania o alibi pastora może odłożyć na bardziej sprzyjające okoliczności. Zanim jednak zdążył zatrzymać chłopaka, stanął przed nim siwy, ale wciąż postawny mężczyzna w białej tunice wyszywanej paciorkami. Opierając się o rzeźbioną laskę z egzotycznego drewna, przywitał się i wyciągnął rękę. Dłoń inspektora utonęła w mocnym, ciepłym uścisku dłoni ukształtowanej przez ciężką pracę.

– Nazywam się David Redfern i mam do pana kilka pytań. – Zawahał się chwilę, uciekając wzrokiem w stronę zgromadzonych pod domem ludzi. – Ale w sumie mogą one poczekać.

– Ndugu M’Hali, a dla przyjaciół Kalulu. Niech pan pyta – zachęcił go z łagodnym uśmiechem. – Pożegnałem się już z żoną.

– Bardzo mi przykro – powiedział Redfern, na co mężczyzna lekko kiwnął głową w podziękowaniu i zaproponował spacer po ogrodzie.

Szli wolno tymi samymi alejkami, na których inspektor spotkał sąsiada M’Halego. Jednak dziś pogoda nie była tak łaskawa. W oddali zebrały się nabrzmiałe chmury, które zbliżały się od zachodu.

– Byłem u pana wczoraj – zagaił inspektor, gdy znaleźli się za domem.

– Wiem. Przepraszam, ale nie mogłem zejść na dół. Żona mnie potrzebowała.

– To zrozumiałe – zapewnił Redfern. – Czy pamięta pan, czy pastor Addison był u pana tamtej nocy, kiedy zginął Kenneth O’Malley?

– Tak, był – potwierdził Kalulu. – Udzielał mojej żonie ostatniego namaszczenia.

– O której to mniej więcej było godzinie?

– Myślę, że zadzwoniłem koło dziewiątej, a Merton przyszedł nie więcej niż kwadrans później. Został z nami chyba do północy albo jeszcze dłużej.

– Tyle to trwało?

– Nie. – Staruszek uśmiechnął się i przystanął. – Gdy Merton skończył, został, by porozmawiać. Może nie jest to mój najlepszy przyjaciel, ale znamy się od lat. Potrzebowałem z kimś pogadać. Moja żona zmarła parę godzin temu – oznajmił, a gdy Redfern spojrział na tłum zebrany na tarasie, dodał: – Przyszli się pożegnać. Właściwy pogrzeb pojutrze.

– Znał pan Kennetha O'Malleya?

– A kto by go nie znał? Świetny znawca koni i dobry człowiek, ale zdziwaczały.

– Powiedziano mi, że wyrzucił żonę z domu. Chyba nie był więc tak do końca w porządku.

– W stosunku do mnie był – zachnął się mężczyzna. – Wyrzucił czy odeszła, to ciężko powiedzieć. Kiedyś słyszałem, że ona – ściszył głos do szeptu – była lesbijką. Kenneth ją podobno nakrył, ale to nic potwierdzonego. Możliwe więc, że sama uciekła przed batem.

Redfern odnotował nową informację w pamięci, choć skoro Jack miał przyrodnie rodzeństwo, to chyba jego matka związała się z kimś innym. Nie podejrzewał, że to może mieć znaczenie, ale coraz częściej dochodził do wniosku, że w tkance miasteczka Pirbright jątrzyło się wiele ran, które nie chcąc się zagoić, obrastały naroślami plotek i niedopowiedzeń. Pośród nich była jednak prawda, która doprowadziła do zbrodni.

– A co stało się ze wzgórzem, które zamieszkują? – Redfern powiódł wzrokiem w stronę ziemi O'Malleyów, przysłoniętej przez wysokie sekwoje. Ich czubki zdawały się dotykać chmur, które zdążyły nadciągnąć nad Furzehill Cottage. Inspektor poczuł na twarzy pierwsze zimne krople. – Krajobraz jak po wojnie.

– Chwilowo – odparł butnie Kalulu i zawrócił w stronę domu. – Zaraz powstanie nowe osiedle, możliwe, że basen i druga szkoła, a w dolinie będzie nowe laboratorium. Miasto się odrodzi.

– Kenneth był temu przeciwny, prawda?

– Tak, jako jedyny.

– On najwięcej stracił na tej rozbudowie – skwitował Redfern.

Tłum zaczął się zmniejszać, znikając powoli w przeszklonych drzwiach, zupełnie jakby dom pochłaniał długi wielobarwny naszyjnik – paciorek po

paciorku.

– Bzdura – prychnął Kalulu, patrząc w tę samą stronę, co Redfern. – Może stracił część ziem, ale prawda jest taka, że wraz z rozwojem nowego osiedla miałby więcej pracy. Okoliczne stadniny, w tym jego, wypełniłyby się końmi londyńczyków, a kto zająłby się nimi lepiej niż Kenneth?

Pytanie to zawisło w ciszy, którą przerwał dochodzący z domu śpiew wielu gardeł i bębny przywodzące na myśl afrykańskie tańce ludowe. Redfern pomyślał, że ziemia, którą odebrano hodowcy koni, była dużo więcej warta, i nie miał tu na myśli pieniędzy.

– Stracił cały majątek, a nie tylko część. – Redfern poprawił M’Halego, ale gdy ten udał, że nie słyszy, inspektor kontynuował: – Pan chyba zyskał na tych przemianach w Pirbright, prawda?

– Nie na tych przemianach, o których pan myśli – uciął. – W każdym razie widzę, że wieści szybko się rozchodzą. Prawda, lady Celia podarowała mojej rodzinie ten dom. – Kalulu wyprostował się dumnie. – W Furzehill Place służyliśmy od końca dziewiętnastego wieku i jesteśmy dumni z tej posługi. Noszę imię po adoptowanym w Afryce pierwszym synu sir Stanleya, którego postanowił uhonorować, nazywając wodospad na rzece Kongo. Kalulu zginął podczas przeprawy przez rzekę Lualaba. Mój dziadek, który wraz ze Stanleyem przybył z Tanzanii do Anglii, zdecydował, że będę nosić to imię na cześć tamtego chłopaka. Stanleyowie potem adoptowali Denzila. Mówiłem, że to zawsze byli dobrzy ludzie.

Redferna zastanowiło, że Kalulu tak łatwo rozdaje etykiety dobrych ludzi. Postanowił zagrać tą kartą.

– Podobno sir Henry’emu Stanleyowi odmówiono pochówku w katedrze Westminsterskiej z powodu pewnych kontrowersji.

– Pochówek to już stare dzieje, ale od blisko trzech lat toczy się batalia, czy nie zniszczyć jego posągu w Denbigh w Walii, gdzie Henry Morton Stanley się urodził. Biskup hrabstwa Asaph ostro wojuje, nawołując przeciwko niemu.

– Ciekawa sprawa. Osobiście widziałbym w tym świadectwo tamtych czasów – odparł ostrożnie Redfern, a widząc cień w oczach ogrodnika, dodał: – No, powiedzmy, że bardziej lekcję historii aniżeli propagowanie

niewolnictwa. Jeśli zniszczymy wszystkie pomniki, to czy będziemy pamiętać, ile zła za nimi stoi? Może wystarczyłoby zmienić ich znaczenie?

– A ja bym zostawił tak, jak jest – mruknął stary ogrodnik i starł kilka kropli, które osiadły mu na czole. – Stanleyowie to dobrzy ludzie – powtórzył.

– A Albert O'Malley? – Redfern czuł, że zależności w tym miasteczku są bardziej złożone, niż przypuszczał na początku. – Co pan może powiedzieć o ojcu Kennetha?

– Kiedyś bywał w Furzehill Place, często go tam widywałem – odparł M'Hali z wyraźną niechęcią i przyspieszył kroku. Redfern był pewien, że powodem tego nie był wzmagający się deszcz.

– Znaliście się dobrze? – dopytał.

– Pan myli epoki, panie inspektorze. Proszę na mnie spojrzeć, a potem popatrzeć na wzgórze Vines Farm. Myśli pan, że pięćdziesiąt lat temu ktoś taki jak ja mógł istnieć dla kogoś takiego jak Albert O'Malley, nawet jeśli jego żona była nauczycielką francuskiego Celi Stanley?

Redfern wiedział, co Kalulu M'Hali ma na myśli. Z jednej strony ogarnęła go złość, że segregacja wciąż pozostaje tak żywa w pamięci wielu niewinnych ludzi, a z drugiej – ulgę, że czas okrutnych podziałów Anglia stara się mimo wszystko przepracować. Pomyślał, że lady Celia Stanley może i lekką ręką oddała dom ogrodnikowi, ale zrobiła to właśnie na poczet tych zmian. Redfern zdawał sobie przy tym sprawę, że zmywanie win przodków będzie trwało jeszcze dekadami.

– A teraz? Miał pan z nim jakiś kontakt?

– Nie widziałem go od miesiący – odparł Kalulu i zaczął wspinać się na schody tarasu, podpierając się laską. – Ta szalona jesień chyba go pokonała. Latem jeszcze zjeżdżał tym swoim wózkiem elektrycznym do miasteczka, ale tak jak mówię, dawno go tu nie było. Za to wiem, że Kenneth O'Malley był u Celi Stanley i od tamtego czasu ona nie najlepiej się czuje. Nie wiem, co ją tak wzburzyło, ale nawet nie pozwoliła, żebym ją odwiedził. Jej też dawno nie widziałem.

– Rozumiem – potaknął Redfern i zapamiętał, że Kalulu najwyraźniej nie jest mile widziany w Furzehill, a złe samopoczucie Celi było tylko

wymówką. – A czy może mi pan coś powiedzieć o radzie parafialnej? – zagadnął.

– Mamy taką w Pirbright – potwierdził odrobinę za ostro, ale natychmiast odchrząknął i dodał łagodnie: – Zasiada w niej jedenaście osób.

– Pamięta pan, kto konkretnie?

– Właściwie najstarsi mieszkańcy, czyli ja, Celia Stanley, pastor, wójt, szynkarz, właściciel sklepu ogrodniczego, stary O'Malley, Ben Green. – Przerwał nagle. – Reszty nie pamiętam, ale wszystko jest na stronie miasteczka.

Redfern przez drzwi tarasowe dostrzegł, że ogromny salon właściwie stoi pusty. Zaledwie kilka osób otoczyło kominek i o czymś zawzięcie dyskutowało. W pewnym momencie jedna z nich się odwróciła i inspektor rozpoznał chłopaka, z którym rozmawiał zaraz po przybyciu do Furzehill Cottage. Nie było w nim jednak wcześniejszej wesołości. W nadmiernym skupieniu przysunął do ust trzymaną w ręku filiżankę i upił z niej łyk, a kiedy skończył, przez jego twarz przebiegł cień.

Redfern podziękował Kalulu M'Halemu za rozmowę i pożegnał się. Mężczyzna zaproponował, że odprowadzi inspektora do bramy, ale ten odmówił, polecając mu zaopiekowanie się gośćmi. Ponownie złożył kondolencje ogrodnikowi i przeciskając się pomiędzy zaparkowanymi na podjeździe samochodami, poszedł w kierunku bramy.

Wtorek, 3.12.2013, popołudnie

Deszcz uderzał w szyby samochodu, co znacznie ograniczało widoczność. Wciąż mając w pamięci ostatnią wycieczkę na wzgórze The Vines Farm, Redfern zmusił toyotę do wspinaczki krętą drogą. Zaparkował pod bramą, naciągnął na głowę kaptur i rzucił się w szalejącą ulewę. Z każdym krokiem buty grzęzły mu w błocie, nabierając wody. Kiedy dobiegł do domu



Kennetha, czuł, że ściekająca po kurtce woda utworzyła na jeansach lodowate zacieki.

Tak jak podejrzewał, dom wciąż stał otwarty. Pchnął drzwi i wszedł do pogrążonego w mroku przedpokoju. Odnalazł włącznik i nacisnął go, a stara żarówka zaalała wnętrze mdłym światłem, które podkreśliło jego brzydotę. Deszcz siekący blaszany dach zdawał się nacierać coraz mocniej, zupełnie jakby chciał się wedrzeć do środka i zmyć zapach i bylejąkość tego miejsca. Redfern od razu skierował się do pokoju, w którym ostatnio znalazł kolaż dokumentów i map. Złapał za klamkę i już wiedział, że coś jest nie tak. Był pewien, że podczas poprzedniej wizyty zostawił je otwarte. Pchnął skrzydło i zobaczył to, czego gdzieś podskórnie się obawiał. Pokój był pusty. Wszystkie meble stały na swoim miejscu, ale nie przykrywał ich żaden skrawek papieru. Zniknęły teczki, zdjęcia i woluminy. W nadziei, że Caroline Bevan po prostu posprzątała dom pracodawcy i przyjaciela, przeglądał szuflady w komodach, otwierał szafki. W żadnej nie znalazł tego, po co przyjechał. Przez chwilę myślał, że dokumenty, które wtedy widział, były tylko wytworem jego wyobraźni.

Usiadł na sofie i wsłuchiwał się w ulewę, starając się zapanować nad gniewem. Z góry założył, że stare papiery nie miały znaczenia, co było niedopuszczalne w tej robocie. Czuł się zmęczony i wypalony, a co najgorsze, nie miał dla siebie usprawiedliwienia. Zawalił i teraz będzie musiał za to zapłacić. Popatrzył na wiszący na ścianie kalendarz z widokiem Peak District – za dwadzieścia trzy dni kończy się okres wypowiedzenia i będzie mógł rzucić wszystko w cholerę i wreszcie uporządkować życie, które jeszcze mu pozostało. Poruszył skostniałymi, wilgotnymi palcami. Zdążyły już zsinieć z chłodu. Stres i zimno były ulubionym paliwem tocznia, z którym zmagał się od paru lat. I jeśli mowa była o rasizmie, to schorzenie to było jego zagorzałym wyznawcą – atakowało ciemnoskórych z większą siłą i prędkością. Musiał się z tym liczyć, planując kolejne lata.

Rozejrzał się po pokoju, próbując sobie przypomnieć, co dokładnie widział za pierwszym razem. W pamięci majaczył mu niewyraźny obraz. Na stole leżała mapa z licznymi krzyżykami, a pod nią zdjęcia Furzehill

i jakichś przedmiotów, których nie umiał nazwać. Pod stołem wały się teczki z parcianymi sznureczkami, które gdzieś już kiedyś widział.

Dobiegło go stłumione wycie silnika, a następnie trzaśnięcie drzwi samochodu. Redfern poszedł do kuchni i zobaczył przez okno, że w chacie Alberta O'Malleya rozbłysło światło. Wybiegł na ganek i przeciął truchtem podwórko, uważając, żeby się nie poślizgnąć na wąskim chodniku, prowadzącym prosto pod drzwi domku. Zanim zdążył zapukać, skrzydło uchyliło się i stanęła w nim Caroline Bevan w tych samych ogrodniczkach i koszuli, co ostatnio.

– O, pan inspektor! Widziałam autko pod bramą, ale myślałam, że to jakiś komornik albo inny diabeł.

– A to tylko ja. – Redfern uśmiechnął się ironicznie.

– Jeden czort – usłyszeli z głębi domu głos, a po nim rwący kaszel. – Niechże pan wejdzie, a nie tak pan stoi w progu jak zjawą jaka czy coś – dokończył Albert, gdy tylko złapał oddech. Redfern wszedł do pokoju, w którym leżał chory.

– Okłamał mnie pan. – Redfern usłyszał echo własnych słów. – Trzeba było mi od razu powiedzieć, co się stało z moim synem. Myśli pan, że by mnie to zabiło? A gdyby nawet, to jak żeś pan zauważył, na nic innego poza śmiercią już nie czekam.

– Przepraszam. Wydawało mi się...

– Wam, młodym, zawsze się wydaje, że wiecie lepiej, ale więcej wcale nie znaczy lepiej, proszę pana. Bo tak naprawdę to guzik wiecie! – krzyknął Albert i zaniósł się kaszlem.

Caroline zareagowała natychmiast. Rzuciła się do łóżka i założyła mężczyźnie maskę na twarz, wyregulowała aparat, po czym wyprowadziła Redferna z pokoju.

– Po co pan go męczy? – ofuknęła go, gdy znaleźli się w kuchni. – Mało przeszedł? Zaraz zabierają go do tego państwowego hospicjum, a jemu serce pęka, że musi umrzeć z dala od Vines Farm.

– Właściwie to chodziło mi o panią – odparł Redfern. – Czy była pani w domu Kennetha ostatnio?

– Już mnie pan o to pytał, a ja już panu mówiłam, że się po cudzych chałupach nie rozbijam.

– Mogę wezwać techników, który potwierdzą albo zaprzeczą pani wersji.

– A wzywaj se pan, kogo chcesz. – Machnęła lekceważąco ręką i sięgnęła po metalowy czajnik, do którego naląła wody z kranu. – Mnie tam nie było.

– A może widziała pani kogoś, kto kręcił się po okolicy?

– A myśli pan, że ja nie mam innych zajęć, tylko siedzieć tu i oglądać, czy się ktoś włóczy po okolicy? – warknęła niecierpliwie i wróciła do pokoju staruszka. Redfern podążył za nią i zobaczył, że mężczyzna zasnął.

– A dzisiaj dlaczego pani przyjechała? – dopytał.

– Przyszłam napalić dziadkowi na noc w piecu, ale widzę, że jeszcze od wczoraj całkiem nie wygasło – orzekła fachowo, zerkając na starą kozę, która stała w rogu pokoju.

Caroline Bevan podeszła do niej i przegrzebała pogrzebaczem ruszt, wzniecając parę iskier z bladych węgli. Następnie złapała za szufelkę, nabrała z worka węgla i dosypała do piecyka, który zamknęła z metalicznym dźwiękiem. Trzask ognia przywiódł Redfernowi na myśl polski dom Siwiaszczyka i długie wieczory, kiedy siedzieli razem przy piecu i piekli na jego płycie macę.

W jego kieszeni rozdzwonił się telefon. Żeby nie obudzić śpiącego Alberta O'Malleya, inspektor wyszedł przed dom i odebrał.

– Cześć, Dave.

– Cześć, Zheng. Mamy coś?

– Niestety nie mam dobrych wieści. Wrzuciłem nasz odcisk do bazy agencji, ale niczego nie wypluła.

– A może uda się wyizolować DNA?

– Bardzo zabawne. – Zheng głośno wypuścił powietrze przez nos. – Chciałem ci przypomnieć, że działamy nieoficjalnie w sprawie, w której toczy się oficjalne śledztwo. Na bęben mogę wrzucić odciski, ale dogłębsze badania to już trzeba będzie innymi kanałami zrobić.

– Nikt nie prowadzi śledztwa w mojej sprawie – bronił się Redfern. Z domu doszedł go dźwięk rozmowy. Piskliwy dzwonek musiał jednak obudzić staruszkę.

– W twojej nie – mówił Zheng – ale przypomnę ci, że otruto twojego szefa. Aha, i jeszcze taki drobiazg: ktoś usiłował wysłać twoje dupsko na tamten świat za pomocą mało wybrednego wybuchu.

– Nie dramatyzuj – uspokajał agenta Redfern. – Może miałeś rację, że Palacz pogrywa ze mną, zostawiając trefny odcisk palca?

– Wszystko na to wskazuje, panie kolego.

– Spróbuję zatem zlokalizować producenta tej lalki. Skoro to taki rzadki towar, to może i fabryka będzie – zawahał się, po czym dokończył: – ekskluzywna.

– Możesz spróbować, ale obawiam się, że gdy tylko wpiszesz w wyszukiwarkę wiadome słowo, zaleje cię fala dildosów i nic sensownego nie znajdziesz. Takie fabryki strzegą prywatności i swojej, i klientów.

– No jakoś te lalki muszą sprzedawać. – Redfern się nie poddawał.

Choć podskórnie czuł, że odcisk zaprowadzi go donikąd, teraz stał w deszczu, usiłując zapanować nad nerwami. Potrzebował czegoś, czego mógłby się uchwycić. Palacz nie zostawił lalki dla żartu. Chciał być znaleziony, ale na swoich zasadach. Podobnie jak Ronald Rudd, porywacz małej Izy Wolańskiej, który pomógł inspektorowi odkryć ciemną stronę Woking. To mu o czymś przypomniało.

Pożegnał się z Zhengiem i obiecał, że będzie w kontakcie. Nie wrócił jednak do chaty Alberta. Uznał, że musi jeszcze raz przyjrzeć się salonowi Kennetha, by drugi raz nie przeoczyć czegoś ważnego. Rozważał nawet telefon do Matta, żeby poprosić go o zdjęcie odcisków palców, ale najpierw sam chciał w spokoju pobyc w domu O'Malleya.

Zaświecił wszystkie światła i przeszedł się po domu. W kuchni, małej sypialni, a nawet w łazience wszystko zostało tak, jak zapamiętał. Ktoś doskonale wiedział, czego i gdzie ma szukać. Sprawca wiedział, że dom jest otwarty, poszedł prosto do salonu i uprzątnął niewygodne dowody. Tylko na co? Czego poszukiwał na starych mapach Kenneth O'Malley?

Redfern odtwarzał w pamięci slajdy wspomnień. Na schematycznej mapie widział coś, co pchnęło go do kolejnego kroku. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że dziś jest już za późno na tę wizytę. Za to przypomni sobie

o innej, którą miał umówioną od trzech dni. Wstał i wyszedł z domu prosto w szaleńczy taniec wiatru i miliona kropel.

Wtorek, 3.12.2013, wieczór

Bartosza Wolańskiego spotkał trzy dni temu, kiedy wracał ze swojej imprezy pożegnalnej. Obiecał mu wtedy, że zajrzy do niego we wtorek po południu. Popołudnie wyjątkowo szybko zmieniło się w wieczór, ale podejrzewał, że słomianemu wdowcowi nie zrobi wielkiego kłopotu wizyta po zmroku. Podjechał pod znajomy blok przy Poundfield Court i wyłączył silnik. W oknach, w których jeszcze nie tak dawno można było zobaczyć wesołe buzie córek Wolańskiego, świeciło się światło, ale Redfern nie dostrzegł żadnego ruchu. Pozostałe mieszkania niewielkiego bloku pozostawały ciemne. Widocznie żaden z mieszkańców nie wrócił jeszcze do domu.

Wysiadł z samochodu i podszedł do białych drzwi, obok których stał oparty rower. Z zaułka za budynkiem dochodziła głośna, ale stłumiona muzyka, jakby w tamtejszych garażach odbywała się ostra impreza. Redfern zadzwonił dzwonkiem, ale gdy Bartosz Wolański nie otwierał, pchnięty ciekawością przeszedł na tył bloku. Garaż, z którego słyszał akordy Stonesów, miał niedomkniętą bramę. Inspektor podszedł do niej, złapał za klamkę tuż nad ziemią i pociągnął w górę, wodząc wolno wzrokiem za skrajem bramy, zza którego wyłoniły się stopy obute w trampki. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie unosiły się pół metra nad ziemią.

Redfern szarpnął mocniej skrzydło, sprawiając, że z hukiem odbiło się od prowadnicy w suficie, do którego Bartosz Wolański przywiązał gruby sznur. Jego bezwładne ciało stanowiło makabryczną ilustrację do piosenki, która grzmiała z głośników. W powietrzu unosił się zapach, który Redfernowi kojarzył się z domem, ale w żaden sposób nie przypominał

ciepła domowego ogniska. Dowód, że się nie mylił, leżał obok przewróconego stołka. Niedopita whiskey zdawała się drgać w rytm perkusji.

W pierwszym odruchu sięgnął do kieszeni po telefon, ale się zreflektował. Wyszedł przed garaż i przez chwilę myślał, co powinien zrobić. Czy Wolański chciał, żeby Redfern go zobaczył? Może w pijackim amoku bał się, że nikt go nie znajdzie i będzie wisiał tak długo, aż brzęczące muchy i smród przyciągną kogoś do zaułka? W głowie Davida huczało od absurdalnych myśli. Zdawał sobie sprawę, że Wolański miał setki powodów, by targnąć się na swoje życie – przez zaniedbanie obowiązków ojca doprowadził do porwania dziecka, żona wraz z córkami wyjechała, zostawiając go z alkoholizmem i narastającą frustracją. Jednak do tego wszystkiego nie pasował fakt, że Wolański poprosił go o wizytę. Nie był specjalnie tajemniczy ani przygnębiony, zupełnie jakby za ich spotkaniem miała stać zwykła rozmowa i wypicie drinka. Redfern przymknął bramę i przeszedł do przesmyku między budynkami. Stanął przed drzwiami mieszkania Wolańskich, ale odrzucił myśl o wejściu do środka. Rozsądek podpowiadał mu, że nie może w to brnąć. Na ułamek sekundy zawładnęła nim chęć ucieczki. Odwrócił się na pięcie i poszedł do samochodu.

Patrol, który wezwał, zjawił się w ciągu kilku minut. Redfern z miejsca poznał wysiadających z radiowozu policjantów. Spotkał ich już przy okazji sprawy Abbasich na Monument Road. Po wymianie uprzejmości poprowadził ich na tył bloku.

– Wzywał pan prokuratora? – zapytał jeden z nich, omiatając latarką zaułek, zupełnie jakby robił wszystko, by nie patrzeć na siną twarz Wolańskiego.

– Was wezwałem – odparł Redfern, na co mundurowi wymienili spojrzenia. Wyższy sięgnął do kurtki po telefon i odszedł na bok, a gdy zniknął za budynkiem, inspektor dodał: – Jestem tu nieoficjalnie.

– Nieoficjalnie? – dopytał starszy, mrużąc oczy. – Pan inspektor wybaczy, ale to dość dziwny zbieg okoliczności.

– Bartosz Wolański zaprosił mnie do siebie na drinka. Chciał mi podziękować za odnalezienie jego córki – kłamał bez zająknięcia. Dopóki nie miał pewności, że mężczyzna nie padł ofiarą morderstwa, wolał trzymać się w cieniu półprawdy.

– Lekarz i prokurator już jadą – oznajmił młodszy mundurowy, który właśnie do nich podszedł. – Jak pan go znalazł?

– Jak już mówiłem pana koledze, Bartosz Wolański zaprosił mnie do siebie. Przyjechałem jakieś pół godziny temu. Zapukałem do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Usłyszałem głośną muzykę dochodzącą z zaułka. Wiedziałem, że Wolańscy mają garaż, bo tam bawiła się często ich córka, którą, jak pewnie wiecie, dwa tygodnie temu udało się odbić z rąk porywacza.

– Co było później? – zapytał mundurowy. Redfernowi nie spodobał się jego napastliwy ton.

– Poszedłem sprawdzić, czy Bartosza nie ma w garażu i, jak już wiemy, był.

– Dlaczego ten mężczyzna nie czekał na pana w domu? – wtrącił się młodszy.

– Nie wiem, może dlatego, że przedtem popełnił samobójstwo? – Redfern rozłożył ręce w geście bezradności.

Wiedział, że policjanci musieli zadać rutynowe pytania, ale drażniło go, że podszyte były one agresją, której źródłem była plotka, że z zimną krwią zastrzelił przyjaciela. Policjanci zdawali się cieszyć, że udało im się niejako przyłapać wątpliwie słynnego inspektora.

– Proszę się skupić i normalnie odpowiadać na pytania – upomniał go starszy mundurowy.

– Proszę się skupić i zadawać normalne pytania – rzucił Redfern ostro. – Gdy tylko znalazłem Wolańskiego, zadzwoniłem po was. Niczego poza klamką przy bramie garażowej nie dotykałem. Koniec historii.

– To już oceni prokurator. – Mężczyzna wskazał ręką na mercedesa Bente Hansen, który zatrzymał się na prawoskręcie i przepuszczał sznur aut, rozświetlając ciemny wjazd wielkim kierunkowskazem.

Prokuratorka wjechała szybko i zatrzymała się tuż przed nimi tak, że koła samochodu wryły się w szutrową nawierzchnię. Redfern miał wrażenie, że wysiadając, kobieta urwała zawias drzwi.

– Co ty tu, do cholery, robisz? – warknęła przez zęby prokuratorka, po czym wskazała brodą w stronę zaułka. – Co to w ogóle ma znaczyć?

– Spotkałem Bartosza kilka dni temu – odparł spokojnie. – Miał do mnie jakąś sprawę, więc obiecałem, że podjadę.

– Tak po prostu umówiłeś się na piwko z ojcem porwanego dziecka? – nawiązała do tego, co musiała usłyszeć przez telefon od mundurowych.

– Tak po prostu.

– Co takiego chciał?

– Jak widzisz, nie zdążyłem się dowiedzieć.

– Nie kpjij ze mnie – syknęła. – Musiał ci coś wcześniej powiedzieć, że dałeś się namówić na ten wieczór! Wybacz, ale żaden z ciebie lew salonowy, żeby lecieć na każde zaproszenie. Poza tym dobrze wiesz, że sprawa Ronalda Rudda odsłoniła takie rzeczy, że boję się pomyśleć, jak to wszystko się skończy.

– Mam nadzieję, że zamknięciem odpowiednich ludzi w odpowiednich miejscach – odparł Redfern przytomnie, choć myślami był w domu, gdzie czekała na niego zagadkowa lalka.

– Dave, nie uważasz, że twoja obecność tutaj jest trochę dziwna, żeby nie powiedzieć: podejrzana?

Redfern wypuścił głośno powietrze przez nos, dając Bente do zrozumienia, że ta rozmowa zmierza w złym kierunku i on nie zamierza w to brnąć. Spojrzał na rozświetlone lampami techników garaże. Widział lewitujący cień, który należał do Wolańskiego. Chwilę potem cień zniknął, ześlizgując się w dół po betonowej ścianie.

– Posłuchaj, Bente, przyjechałem tu na zaproszenie Wolańskiego i znalazłem go martwego. Myślisz, że co? Sam go powiesiłem?

– Tego nie sugeruję, ale mam wrażenie, że pętla wokół ciebie się zaciesnia, Dave. – Rozejrzała się nerwowo po zaułku.

Mnie to mówisz, pomyślał ze zgrozą. Chmury, które od ponad pół roku zbierały się nad jego głową, przybrały złowrogi czarny kolor. Redfern miał



wrażenie, że za chwilę spadnie z nich nie tyle deszcz, ile cyklon, który ze szczętem go pochłonie.

– To był przypadek. – Inspektor wyartykułował bardzo wyraźnie każdą sylabę. – Mam wrażenie, że Wolański miał do mnie żal, że obwiniałem go o zaginięcie jego córki.

– A obwinieś?

Redfern mruknął coś niewyraźnie, mając w pamięci nieprzyjemną rozmowę, którą jakiś czas temu odbył z ojcem dziewczynki w jego mieszkaniu. Bente pokręciła głową z dezaprobatą i chciała coś powiedzieć, ale inspektor jej przerwał.

– Myślę, że on chciał, żebym go znalazł i... – Redfern nie dokończył. Szybkim krokiem zbliżał się bowiem do nich Matt z ekipy techników.

– Pani prokurator, kończymy – oznajmił. – Roboty nie było prawie żadnej, bo garaż stoi pusty. Z haka pod sufitem zdjęliśmy odciski palców, lina pójdzie do analizy – referował beznamietnie. – Natomiast w domu zabezpieczyliśmy list pożegnalny. Nic tu po nas.

– Oczywiście, panie Brown – zgodziła się Bente Hansen. – Ja też się zbieram. Powiadomisz Wolańską – zwróciła się do Redferna, a gdy usiłował zaprotestować, dodała ostrym szeptem: – To dla twojego dobra.

Odeszła w stronę samochodu zaparkowanego pod obdartą z liści lipą, a jej długi biały warkocz kołysał się w takt szybkich kroków jak lina, której cień inspektor wciąż widział na ścianie garażu.

Wyciągnął z kieszeni komórkę i przejrzał listę kontaktów. Wciąż miał na niej angielski numer Wolańskiej. Zastanawiając się, czy kobieta jeszcze go używa, nacisnął zieloną słuchawkę. Ku swojemu zaskoczeniu uzyskał sygnał połączenia, a po chwili nieśmiało:

– *Hello?*

– Pani Wolańska?

– Inspektor Redfern? – Kobieta przełączyła się na polski.

– Tak. Obawiam się, że nie mam dla pani dobrych wiadomości.

Spodziewał się choćby chwilowego szoku, płaczu albo strzępka smutku, jednak kobieta przyjęła wszystko ze spokojem i rzeczowo odpowiadała na pytania. Miał wrażenie, że najgorszy telefon w życiu Wolańska odebrała,

kiedy powiadomiono ją o zaginięciu córki, i teraz nic nie było w stanie wytrącić jej z równowagi.

– Kiedy ostatnio rozmawiała pani z mężem? – zapytał, gdy przebrnęli przez wszystkie standardowe formuły.

– Jakoś tydzień temu – odparła. – Nie wydawał się inny niż zazwyczaj.

Nie było w tym żadnego pozytywnego przekazu, raczej smutne potwierdzenie, że w relacjach nic się nie zmieniło, co Redfern uznał za dowód na to, że Wolańska postąpiła słusznie, wyprowadzając się do Polski.

– Czy wie pan może, jak mogę załatwić, żeby przysłano mi... zwłoki męża?

– Nie przyleci pani? – zdziwił się. Nie podejrzewał, że stosunki małżonków są aż tak chłodne.

– Nie mam takiej możliwości – wyznała, ale Redfern nie dosłyszał w tym żalu czy chęci usprawiedliwienia.

– Proszę się skontaktować z polską ambasadą. Myślę, że gdy tylko zostaną zakończone wszystkie czynności dochodzeniowo-śledcze, zwłoki zostaną wydane i przesłane do Polski specjalnym transportem.

– W takim razie tak właśnie zrobię. Czy jeszcze coś?

– Właściwie to tak. Czy podczas ostatniej rozmowy pani mąż wspominał, że zamierza się ze mną spotkać?

– Nie, nic nie mówił. A mieliście się spotkać?

– Tak, umówiliśmy się właśnie na dzisiaj, ale nie zdążyłem się dowiedzieć, o co chodziło.

– Może o komputer?

– Jaki komputer? – Redfern o mały włos nie upuścił telefonu.

– W plecaczku Izy znaleźliśmy mały komputer, taki trochę większy tablet z ugryzionym jabłkiem. Iza rysowała sobie na nim, jak była... No wie pan gdzie...

– I dopiero teraz mi pani mówi? – zaatakował wściekle.

– Miałam ważniejsze sprawy na głowie – warknęła.

Redfern musiał jej przyznać rację. Przez chwilę miał wrażenie, że się rozłączyła.

– Coś jeszcze? – rzuciła, ale Redfern nie miał czasu się zastanowić, które z dziesiątek pytań wybuchających mu teraz w głowie jest najważniejsze. W oddali widział, jak Matt pakuje ostatnią walizkę do minivana. Pożegnał się szybko z Wolańską i podbiegł do szefa techników.

– Znaleźliście może w mieszkaniu macbooka?

– Nie, tylko jakiegoś ogóra o nazwie e-machines. – Starannie ułożył srebrny neseser na dnie bagażnika, po czym z hukiem zamknął klapę. – Elsa kazała się mu przyjrzeć. Nerwowa jest jak diabli, a to przecież zwykły brelok.

– E tam. – Redfern usiłował ukryć, że całkowicie się z nim zgadza. – Nie bardziej niż zwykle.

– Nie chojrakuj, Dave. – Matt Brown uśmiechnął się pod wąsem. – Ciebie też spuściła w kiblu. Słyszałem, jak syczy te swoje czułości. Pewnie nie podoba się jej, że za każdym razem, gdy w tym hrabstwie rozlewa się szambo, to zawsze stoisz w jego środku.

– By je posprzątać. – Redfern z uśmiechem poklepał Matta po ramieniu, starając się ukryć fakt, że właśnie przełyka kolejną gorzką pigułkę prawdy. Miał świadomość, że cała ta rozmowa miała na celu pokazanie mu, że wszyscy odnotowali nieprzypadkowość tych wydarzeń.

Wtorek, 3.12.2013, noc

Z niewytłumaczalnym przestachem wysiadał z samochodu, spoglądając w dół ogrodu Siwiaszczyka. Tym razem nie dostrzegł na ganku niczego podejrzanego. Palacz zostawił swoją zagadkę i czekał, aż Redfern się z nią upora.

Zamknął auto i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Ze szczeliny na listy wystawała czerwona kartka od kuriera z adnotacją, że opony są w tylnym ogrodzie. Redfern nie miał siły się z nimi szarpać. Wyjrzał tylko zza rogu, by sprawdzić, czy paczka faktycznie jest tam, gdzie pisał doręczyciel.

Przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi, które stawiały opór, najwyraźniej pchając coś przed sobą. Redfern wsadził głowę przez szparę i dosięgnął przełącznika światła. Nacisnął go i zamarł. Jak okiem sięgnąć, wszędzie leżały kręcone włosy, a o skrzydło opierała się wyłysiała lalka, którą Bandit pozbawił opuszków palców i sporego fragmentu twarzy. Opierała się stopą o szafkę, barykadując drzwi. Redfern schylił się i wyszarpnął kukłę tak, by dało się wejść. Przesunął nogą wyrwany wraz z gumą kołtun. Zdjął buty, ale gdy tylko dotknął stopą podłoża, poczuł, że skarpetka nasiąka czymś zimnym i mokrym. Ze złością zawołał szczeniaka. W odpowiedzi usłyszał z głębi domu szelest, za którym natychmiast podążył.

Nie musiał długo szukać. Pokój dziadka oświetlało tylko nikłe światło latarni ulicznej, które odbijało się w dwóch czarnych koralikach spoglądających na niego spod stołu. Inspektor włączył lampę w rogu salonu. Psiak przylgnął do podłogi i łypał na Redferna to jednym, to drugim okiem, podnosząc brązowe kropeczki brwi, a czubek ogona delikatnie obijał się o parkiet. Redfern kucnął i zrobił surową minę.

– Chciałeś ją wyciągnąć na spacer, prawda? – odezwał się ostro. – Tylko to cię usprawiedliwia, draniu!

Ogon wybijał coraz głośniejszy i szybszy takt, ale głowa nadal nie chciała się oderwać od podłogi. Redfern wiedział, że powinien zareagować mocniej, ale nie miał serca krzyczeć na szczeniaka.

– Ale z tym sikaniem to przegiąłeś! – skomentował mokrą plamę w przedpokoju. – Bardzo nieładnie, Bandit! Zły pies!

Szczeniak podczołgał się do Redferna i polizał go po dłoni, a inspektor musiał przyznać, że były to najśłodsze przeprosiny, jakie w życiu otrzymał. Poglaskał pieska po głowie, na co on wyskoczył w górę, o mało nie przewracając swojego pana.

– No już, Bandit! – próbował go uspokoić. – Masz szczęście, że dziadek tego nie widział.

Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że gdyby Siwiaszczyk był na miejscu, to szczeniak z pewnością nie zabijałby nudy, żując silikonowe palce. Przeszyła go przerażająca myśl, że od tej zabawy Banditowi mogło się coś

stać. Żeby zmyć poczucie winy, zawołał szczeniaka do przedpokoju i założył mu szelki. Zmienił skarpetki i zostawiając zniszczoną lalkę w niemym zdziwieniu, wyszli przez drzwi tarasowe na długi spacer.

Gdy tylko wrócili, przypomniał sobie o mokrej plamie w przedpokoju. Ściągnął ostrożnie buty i poszedł do kuchni po ręczniki papierowe. Bandit grzecznie towarzyszył panu we wszystkich czynnościach i zanim Redfern przystąpił do ścierania, musiał go odesłać do pokoju, by przestał wsadzać wszędzie swój czarny nos. Oderwał kawałek ręcznika i dotknął nim plamy, jednak papier nie zabarwił się jak zwykle na żółto. Redfern z ciekawością przysunął go do twarzy i powąchał. Zapach zupełnie go zaskoczył.

Podszedł do lalki i nią potrząsnął. Wcześniej tego nie zauważył, ale coś w niej się przelewało. Bandit zrobił dziury nie tylko w jej twarzy i rękach. Dobrał się też do krocza, z którego najwyraźniej pochodziła ciecz. Redfern ostrożnie położył kukłę, by nie wylać z niej już ani kropli.

W małym zbiorniczku, który z niej wyciągnął, znajdowała się woda, ale inspektor był pewien, że nie jest to bez znaczenia. Palacz zostawił wyraźny ślad i tym razem nie był to blef. Redfern musiał się tylko dowiedzieć, co to znaczy.

Miał tylko jedno wyjście. Zadzwoń.



## ROZDZIAŁ IV

Środa, 4.12.2013, rano

– Dobra, tak na szybko: czego się dowiedzieliście?

Redfern nie krył zniecierpliwienia. Na wyświetlaczu komórki, która leżała przed nim na stole konferencyjnym, widział nieodebrane połączenie od Matta. Nie podejrzewał, że w laboratorium już powiedzieli technikowi, czym była woda znaleziona w lalce, ale musiał się upewnić.

– Mamy faceta z firmy budowlanej z kościoła – odezwał się Tinney. – Pracował jako ochroniarz, teraz wynajmuje pokój w Pirbright wraz z pozostałymi kolesiami. Potwierdził, że najbardziej upierdliwą osobą z całej tej wioski jest księżulo. Kennetha O'Malleya na oczy nie widział.

– Czyli stoimy?

– Niezupełnie – powiedziała Summer. – Mam analizę włókien, które zostały na kamieniu i na klapie kompostownika. Pochodzą prawdopodobnie z rękawiczki, ale całą pewnością nie należała ona do żadnego z budowlańców. Oni używają dobrych, firmy Black Rock, z włókien nylonowych, pokrytych lateksem. Włókna zebrane z kamienia są bawełniane, natomiast zielone skrawki to zwykła guma. Laboratorium mówi, że to rękawice ogrodnicze, jakie można kupić w każdym B&Q. – Sierżantka na chwilę przerwała, po czym dodała: – Ale też w sklepie ogrodniczym w Pirbright.

Redfernowi podobało się, że Summer przejęła inicjatywę i sama kontaktowała się z laboratorium. Coraz częściej nachodziły go wątpliwości,

czy aby nie powinien jej zatrzymać u siebie, ale cały czas coś nienazwanego go powstrzymywało.

– Mam tu listę klientów, którzy kupili ostatnio takie rękawice. – Sierżantka wyjęła z torby kartkę, na której miała zanotowane nazwiska, najpewniej podyktowane przez sprzedawcę. – Niestety to jedyny sklep ogrodniczy w okolicy, więc mam ponad dwadzieścia pozycji.

– Pokaż – poprosił Redfern i wziął od Summer kartkę. Rzucił okiem na równe kolumny, wśród których dostrzegł też nazwisko Kennetha, i rzekł: – Na uwagę zasługują cztery, może pięć. Ogrodnik Kalulu M’Hali, pastor, Stuart, czyli lokaj z Furzehill, i ktoś, kto wziął fakturę na stadninę. Sprawdźcie alibi tych osób, przy czym obawiam się, że z pastorem i Kalulu może być problem. Z tego, co się dowiedziałem, w noc morderstwa byli razem, czuwając nad żoną tego drugiego. Myślę, że dacie radę szybko ustalić, co i jak, pewnie są jacyś świadkowie. Zostawiam to wam.

Zniecierpliwienie brało nad nim górę, ale musiał podzielić się z zespołem jeszcze jedną rzeczą. Miał nadzieję, że usłyszy od współpracowników coś, co oczyści jego głowę z domysłów.

– W zasadzie ja też coś mam – oznajmił po chwili. – Kiedy byłem u O’Malleya pierwszy raz, zauważyłem, że interesuje się historią regionu. Miał u siebie mnóstwo map, jakichś starych dokumentów. Założyłem wtedy, że szukał punktu zaczepienia, by wyrwać urzędowi swoją ziemię, ale teraz już nie jestem taki pewien. – Odchrząknął. – Problem polega na tym, że kiedy pojechałem tam po raz drugi, dokumenty zniknęły.

– Czyli możliwe, że znalazł sposób, by urząd miasta nie przejął jego wzgórze – podsunęła Summer, podkreślając ostatnie dwa słowa.

– A komuś zależało, żeby nikt się o tym nie dowiedział – dodał Tinney, po czym zapytał: – Kto dziedziczyłby po Albercie O’Malleyu?

– Najprawdopodobniej jego wnuk, czyli Jack.

– A zatem to musiał być ktoś, komu bardzo zależało, żeby temu zapobiec.

– Czyli całe Pirbright. – Redfern wypuścił ciężko powietrze. – Puszka, dowiedziałeś się, co to za wizytówka, którą dałem ci parę dni temu?

– Tak, to podobno dom aukcyjny w Londynie. Zadzwoiłem tam i powiedzieli mi, że nie słyszeli o Kennecie O’Malleyu ani o wiosce



Pirbright. Chyba bez związku.

– Najwyraźniej – mruknął Redfern, niezadowolony z efektów. – OK. Wróćmy jeszcze na chwilę do tego strzału. Podjedźcie do pubu White Hart i dowiedzcie się, kto w wiosce miał zabytkowy pistolet. Może ktoś się przechwalał albo ktoś coś u kogoś zobaczył. Takie wioskowe puby to skarbnica wiedzy.

– Ten wydaje się dość hermetyczny. – Tinney się skrzywił.

– Przy odpowiednich argumentach są skorzy do współpracy – odparł Redfern. – Ja tymczasem skoczę do Centrum Historii Surrey. Te mapy najprawdopodobniej pochodziły stamtąd. Aha, jeszcze jedno, ustalcie dokładne dane członków rady parafialnej Pirbright. Wiecie, co robić. Jesteśmy w kontakcie – rzucił i wyszedł, zgarniając z blatu komórkę, której ekran wyświetlił przychodzące połączenie.

Wszedł szybkim krokiem do biura, zatrzasnął drzwi i odebrał. Matt w żołnierskich słowach wyjaśnił mu, że takie działanie poza prokuratorem skończy się dla nich obu obcięciem głów i wywaleniem z pracy, dokładnie w tej kolejności.

– Dobra, ale powiedz mi, co to jest za substancja.

– Woda.

– Zwyczajna woda? – upewnił się Redfern.

– No prawie, bo pochodzi z morza.

– Chcesz mi powiedzieć, że wlał jej morską wodę do... – Nie dokończył, zdając sobie sprawę z popełnionego błędu. Uświadomił sobie coś jeszcze. Opadł ciężko na krzesło i próbował zebrać myśli, których oszalały strumień pędził w jednym, dobrze znanym mu kierunku.

– Dave, co to za próbka? – Matt był wściekły, ale Redfern go nie słuchał. Nie pamiętał nawet, czy pożegnał się z technikiem, czy po prostu nacisnął czerwoną słuchawkę i wybiegł z komendy.

Wsiadł do samochodu i odszukał w telefonie odpowiedni numer, który zapisał sobie pod hasłem „Dover”.

– Sierżant Burkule? – zapytał, gdy tylko uzyskał połączenie. Starął się zapanować nad głosem, ale sucha odpowiedź zdradziła, że policjant po drugiej stronie spodziewał się jego telefonu.

– Słucham.

– Inspektor David Redfern z Woking.

– O, pan Redfern. – Burkule udał zdziwienie. – Przypomniał pan sobie coś o naszym topielcu?

Redfern wiedział, do czego to przytyk. Kiedy ostatni raz widział się z policjantem, stali przy stole sekcyjnym w Dover, a David usiłował udawać, że nie zna człowieka, który leży na błyszczącym metalowym blacie. W gruncie rzeczy wciąż się zastanawiał, czy to, co wtedy zobaczył, nie było makabrycznym żartem. W pamięci wciąż miał sine bruzdy pokrywające ciało człowieka, które w żaden sposób nie pasowało do sytuacji, w jakiej się znalazło. Na stole leżał bowiem Adrian Bones, do którego kilka miesięcy wcześniej inspektor David Redfern oddał śmiertelny strzał. Ten sam człowiek, który był jego serdecznym przyjacielem i którego pochowano przy kościele St. Nicolas' przy drodze do Ripley.

– Pracuję nad pewną sprawą, która może mieć związek z pana N.N.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony? – odparł oschle sierżant Burkule, nie zamierzając niczego ułatwiać. – Proszę mówić, inspektorze, a może i ja będę miał dla pana pewne informacje.

– Wolałbym nie przez telefon.

– A zatem kiedy może pan do mnie przyjechać?

– Mam rozgrzebane śledztwo tu, na miejscu, ale zajrzę, gdy tylko się z nim uporam – zapewnił Redfern.

– Tamtemu biedakowi chyba nie zależy na czasie, więc czekamy cierpliwie, inspektorze Redfern.

– Mam tylko jedno pytanie, sierżancie. Czy pana N.N. miał w płucach wodę morską?

– Z tego, co pamiętam, to była to właśnie woda morska.

– Bardzo panu dziękuję – powiedział Redfern i rozłączył się.

Miał pewność, że aby znaleźć rozwiązanie zagadki Adriana Bonesa, musi pojechać do Dover jak najszybciej. Kiedy odkładał telefon na siedzenie, na ekranie zobaczył wiadomość od Summer Winter: „Wykluczono udział osób trzecich”. Przez ułamek sekundy Redfern pomyślał, że sierżantka pisze o sprawie Bonesa, ale szybko skonstatował, że wiadomość dotyczy innego

samobójcy. Włączył silnik i minąwszy bramę komendy, skierował się w stronę Old Woking.

Jechał wąską White Rose Lane, zwalniając na każdym progu, który wyrastał na jezdni co kilkanaście jardów. Musiał przy tym uważać na podążających do parku pracowników biurowych, którzy jak zahipnotyzowani szli wykorzystać przerwę lunchową na kontakt z miejską zielenią. Redfern pomyślał, że nie wszystkim było dane przeznaczyć ten czas na relaks. Wielu z nich niosło pod pachą torby na laptopa. Uwagę inspektora przykuł młody mężczyzna w dastarze, trzymający w ręce notebooka bez etui. Policjant zatrzymał się gwałtownie, po czym prawie najeżdżając na ludzi na chodniku, zawrócił w stronę miasta.

Środa, 4.12.2013, południe

Redfern przeżył *déjà vu*. Zupełnie jakby siedział w kinie na filmie, który nie tak dawno oglądał. Znów wszedł do sklepu z dywanami, znów właściciel odesłał swojego pomagiera krótkim hasłem wypowiedzianym po pakistańsku, a ten znów służalczo wycofał się na zewnątrz.

– Nie mam pojęcia, czym zajmował się mój ojciec – powiedział hardo Ismail Abbasi. Syn niedawno zamordowanych Pakistańczyków stał pośród swojego królestwa z założonymi rękami. Nawet jego bujna broda nie była w stanie ukryć zaciskanych raz po raz szczęk.

– Nie mam jeszcze dowodów, że to prawda – powiedział twardo Redfern.  
– Dywan, którym Malik wyłożył ściany minivana do przewozu porwanego dziecka, pochodził stąd, ale na twoje cholerne szczęście połowa dywanów w tym mieście pochodzi od ciebie. Z drugiej strony ojciec mógł cię lepiej ustawić. – Inspektor wymownie rozejrzał się po sklepie. – Na przykład twój brat wiedział, jak zaskarbić sobie jego miłość. Nowy mercedes... Musiał być posłuszny jak pies, ten Ansar...

– Niech pan nie szarga dobrego imienia moich bliskich – warknął, a Redfern zbliżył się do niego tak, że mógł poczuć anyżowy oddech Ismaila. Mierzył go chwilę wzrokiem, po czym wycedził wściekle:

– Ci twoi, jak ich nazwałeś, bliscy handlowali dziećmi, więc nie pieprz mi tu o dobrym imieniu!

Redfern zrobił parę kroków w tył, tak by nie mieć Ismaila na wyciągnięcie ramienia. Bał się, że w nerwach z niego skorzysta.

– Wiem natomiast – ciągnął już spokojnie – że Ansar uciekał tamtej nocy przed czymś znacznie gorszym niż gniew rodziców, co dowodzi tego, że twój ojciec był tylko płótką.

Ismail patrzył na Redferna z niedowierzaniem i mechanicznie kręcił głową, jakby próbował zaprzeczyć każdemu słowu policjanta.

– Nadal nie wiem, o czym pan mówi, inspektorze.

– Zaraz ci wszystko wyłożę – cedził Redfern przez zęby. – Malik Tayyab, czyli nasz porywacz, przyjaźnił się z twoim bratem. I to go zgubiło. Bywał w waszym domu, zyskał zaufanie i twój ojciec go zwerbował. Na jego nieszczęście Muztar zlecił mu porwanie dziewczynki, którą miał dostarczyć Ronaldowi Ruddowi. Nie wiem, co twój ojciec miał na niego albo ile mu zapłacił, ale Malik się zgodził i wytropił dziecko. Zgadza się?

Ismail słuchał niewzruszony, nawet jego broda zastygła w bezruchu. Nie zważając na napływający do oczu Pakistańczyka gniew, Redfern kontynuował:

– Tamtej feralnej nocy twój brat wrócił do domu. Zastał pokój we krwi i przeraził się. Nie był głupi. Z bilingu wiemy, że od kilku dni bezskutecznie próbował się skontaktować z Malikiem. Gdy zobaczył zmasakrowane ciała, od razu skojarzył to ze zniknięciem najlepszego kumpla i pomyślał, że czeka go ten sam los. Miał za dużo do stracenia. Jego dziewczyna była w ciąży, całe życie było przed nimi. Podjął więc szaleńczą decyzję, że przedostaną się z Amelie do Europy jednym z samolotów twojego ojca. Wiemy, co się stało później.

– W pośpiechu pomylił maszyny – dokończył niemal bezdźwięcznie Ismail.

– Możliwe, a może wcale nie, bo po prostu został źle skierowany, a może ktoś podstawiał pippera zamiast cesny. Mógłbym się tego dowiedzieć, ale mi się nie chce.

– No więc czego pan chce? – zaatakował mężczyzna.

– Twój ojciec musiał mieć komputer...

– Nigdy go przy nim nie widziałem – przerwał mu Ismail. – Mój ojciec nie korzystał z nowinek technicznych.

– Mam uwierzyć, że prowadził tak rozległe interesy bez laptopa? – Redfern uniósł brwi i przez chwilę przyglądał się Ismailowi z udawanym niedowierzaniem. Skierował palec w stronę mężczyzny i wycedził: – Masz go znaleźć. Komputer musi trafić do moich rąk najpóźniej jutro.

– A jak nie znajdę?

– To ja znajdę sposób, żeby udowodnić, że dywan z twojego sklepu jednak był prezentem dla Malika. Mogę też znaleźć dowód, że pomyłka Ansara to też wynik twoich działań.

– Nic mi nie udowodnisz! – wyrzucił z siebie Ismail. – Jesteś gliną, nie możesz działać w ten sposób.

– Nie jestem już gliną. Mam kilka niezłych pomysłów, jak umilić ci życie, dlatego dam ci przyjacielską radę: znajdź komputer ojca.

Wyszedł ze sklepu, czując, że mimo zimna po plecach lodowatym ostrzem spływa mu kropla potu. Dopiero gdy znalazł się w samochodzie, odetchnął. Przetarł zmęczone oczy i oparł ręce na kierownicy, wpatrując się w wirujące przed maską liście, których dziki powietrzny taniec paradoksalnie przyniósł mu spokój.

Nigdy nie był dobry w blefie, a tym bardziej w groźbach, choć jego dawny partner, Adrian Bones, twierdził inaczej. Za każdym razem, kiedy jeszcze obaj pracowali w agencji, Redferna kosztowało to zbyt wiele, ale zdawał sobie sprawę, że w świecie, z którym walczył, inne metody nie mają zastosowania. Przez chwilę myślał, że Patricia tylko pośrednio doprowadziła do jego rezygnacji i wyprowadzki do Guildford. Była narzeczona przyszła z gotową wymówką, a on z niej skorzystał, jakby niespodziewanie znalazł klucz do własnej klatki.

Zastanawiał się, czy szantaż podziela i Ismail Abbasi będzie w stanie odnaleźć komputer ojca, skoro policja jak dotąd nie natrafiła na jego ślad. Tak jak on nie trafił jeszcze na ślad mordercy Kennetha O'Malleya. Jedyne miejsce, gdzie mógłby zacząć szukać, znajdowało się zaledwie półtorej mili stąd.



Znajomy zapach wypełnił mu nozdrza, kiedy tylko przekroczył mury Centrum Historii Surrey. Wykonał machinalnie wszystkie wymagane przez procedury czynności, wypisał żółtą kartę odwiedzającego i przeszedł przez szklane drzwi. Za kontuarem niezmiennie siedziała Helen, która zdawała się mieszkać w archiwach. Sympatyczna kobieta pokręciła z rezygnacją głową, gdy usłyszała, z czym Redfern przyszedł.

– Trzeba było zadzwonić, tobym przygotowała wcześniej. Materiałów o Stanleyach jest mnóstwo.

– Wiem, ale mnie chodzi konkretnie o te, które oglądał Kenneth O'Malley.

– O'Malley? – zapytała, ale nie kryły się w tym pytaniu żadne wątpliwości. Za to przez twarz archiwistki przebiegł gniew i choć w ułamku sekundy zniknął, pozostawił na niej ściągnięte brwi. – Mam wrażenie, że tego człowieka ogarnęła jakaś gorączka. Dawno go nie było. Dziwne, bo przychodził co najmniej raz w tygodniu.

– Kenneth nie żyje – oznajmił Redfern, a brwi Helen Keen natychmiast się rozsunęły.

– No tak. – Pokiwała głową w zamyśleniu. – Nie był już młody.

– Mówił, czego konkretnie szukał? – Inspektor nie zamierzał zdradzać okoliczności śmierci O'Malleya. Nie tyle chciał działać dla dobra śledztwa, ile pomyślał, że starsza kobieta może źle znieść wiadomość o morderstwie.

– Myślę, że on sam nie wiedział czego – wyjaśniła, wciąż zamyślona. – Przekopywał archiwa wzdłuż i wszerz. Niektóre dokumenty przeglądał po

kilkanaście razy. A raz złapaliśmy go na kradzieży.

– Kradzieży?

– Nic wartościowego. Właściwie nie wiem, dlaczego sobie tego nie skserował, tylko usiłował wynieść w kieszeni.

– W kieszeni? – zdziwił się Redfern. – Przeszukiwaliście go?

– Nie ma takiej potrzeby. Widzi pan tamto biurko? To w samym rogu. – Helen odczekała chwilę, aż Redfern skinie głową na znak, że dostrzega to, o które jej chodzi. – Stoi na nim waga jubilerska. Zanim pan dostanie dokumenty, są one dokładnie ważone, a przy oddawaniu ważymy je po raz drugi. Kenneth myślał, że nie zauważymy zniknięcia kilku zdjęć.

– Ukradł fotografie? – dopytał Redfern. – Co na nich było?

– Właściwie nie fotografie, tylko pocztówki. Na początku dwudziestego wieku najbardziej wartościowe kartki to były po prostu zdjęcia z adnotacją, że są to pocztówki. – Uśmiechnęła się szeroko, jakby opowiedziała dobry dowcip. – Na tych, które usiłował wynieść pan O'Malley, nie było niczego szczególnego, po prostu widoczki z Pirbright z kolekcji Francisa Fritha.

– Kogo?

– To jeden ze słynniejszych fotografów końca dziewiętnastego wieku. Uwieczniał głównie miasta i miasteczka, nie tylko brytyjskie, ale i palestyńskie czy egipskie. Na stronie Frith's Collection znajdzie pan ich ponad trzysta tysięcy.

– Czyli na zdjęciach, które próbował ukraść O'Malley, było tylko Pirbright?

– Tak. Zresztą zaraz panu pokażę te pocztówki.

Nie czekając na reakcję Redferna, Helen Keen zostawiła go przy kontuarze i zniknęła w przejściu prowadzącym do archiwów. Po kilku minutach wróciła z bordowym segregatorem i poprowadziła inspektora do ogromnego stołu. Kobieta sięgnęła po piankowy pulpit, na którym rozłożyła katalog wypełniony pocztówkami.

– To te cztery. – Wskazała palcem jedną z przezroczystych, podzielonych na cztery koszulek. – Jak pan widzi, nic na nich nie ma.

Redfern przypatrywał się chwilę czterem widokom miasteczka Pirbright. Jeden z nich, podpisany The Gardens, przedstawiał domy częściowo skryte

za drzewem, o które stał oparty rower. Na drugim uchwycono trzy dziewczynki idące w mundurkach szkolnych szeroką, utwardzoną aleją. Redfern rozpoznał w niej drogę, która asfaltową wstęgą przecinała teraz miejscowość na wysokości pubu. Na dwóch kolejnych były ujęcia kościoła St. Michael and All Angels. Przewrócił kartę segregatora i zerknął na części adresowe. Pierwsza, wysłana do pani Wilson, miała nadrukowany znak kolekcji Fritha, zawierała wyłącznie pozdrowienia i pochodziła z początku dwudziestego wieku.

Ostatnia, również z tego zbioru, była nadana dużo później, co sugerował znaczek z królem Jerzym VI, a nie jak na poprzedniej Jerzym V, który abdykował na rzecz dużo młodszego brata. Otrzymał ją pan M. mieszkający gdzieś w Dinbych. Redfern pochylił się nad segregatorem, ale nie był w stanie odczytać dokładnego adresu, bo tusz uległ rozmazaniu. Oprócz relacji z kiepskiej pogody w Pirbright skreślono zdanie, które go zastanowiło.

– Skąd pochodzą te kartki? – zapytał Helen, która od dłuższej chwili wpatrywała się w przestrzeń za oknem.

– Podejrzewam, że głównie od darczyńców. To nie są rzeczy, o które centrum specjalnie by zabiegało. Większość chyba zebrano w kościele w Pirbright i przekazano nam.

– A co jeszcze oglądał ostatnio O'Malley? – zapytał Redfern, starając się jednocześnie zapamiętać zdanie z pocztówki.

– Z tego, co pamiętam, to spis inwentarza kościoła w Pirbright. A! I jeszcze katalogi sprzedaży nieruchomości Furzehill Place. Wie pan, takie eleganckie foldery, które agencje przygotowują dla potencjalnych nabywców drogich posiadłości.

– A mapy? Czy O'Malley kopiował mapy? – dopytał Redfern, w pamięci mając widok zasnutego wielkim arkuszem stołu w salonie Kennetha.

– Nie, akurat map nie pamiętam. – Helen pokręciła głową. – Mogę panu przynieść te katalogi, ale zapewniam, że tam naprawdę nic nie ma.

Redfern też powątpiewał w foldery ofertowe, ale po chwili wahania poprosił o nie, a Keen wróciła do archiwów. Gdy położyła przed nim dwie granatowe książeczki, nie miał już złudzeń. Miał przed sobą dwa



identyczne katalogi agencji FPD Savills – jeden z roku dwa tysiące drugiego, a drugi – dwa tysiące dziesiątego. Jedyna różnica polegała na tym, że do tego późniejszego ktoś dokleił kartkę, na której wydrukowano kilka słabej jakości zdjęć pomieszczeń Furzehill. Na kartce widniało logo agencji Seymours, którą Redfern kojarzył z własnych poszukiwań domu.

– Niech pan sobie zrobi zdjęcia – zachęciła Helen Keen.

– Można?

– Oczywiście. Co prawda pobieramy dziesięć funtów, ale dla pana mamy dzisiaj specjalną zniżkę. – Mrugnęła okiem i uśmiechnęła się zawadiacko, po czym dorzuciła: – Przyniosę panu jeszcze skany tego spisu kościoła, bo po tym, jak Kenneth je intensywnie wertował, wolałam już mu pokazać tylko wydruki.

– Dziękuję – odparł Redfern i sięgnął do kieszeni po telefon. Po chwili się zorientował, że zostawił go w szafce przed wejściem wraz z kluczami do auta i portfelem. Przeprósł kobietę i wyszedł do hallu, gdzie prawie zderzył się z wysokim barczystym mężczyzną, który bąknąwszy przeprosiny, usiadł za recepcją. Inspektor otworzył szafkę i wyciągnął telefon, który mrugał złowrogo diodą, sugerując, że Redfern nie powinien go tam zostawiać. David nacisnął na przycisk boczny i szybko się zorientował, że przez tę godzinę szukała go połowa Anglii.

Wracając przez hall, usłyszał swoje nazwisko.

– Pan Redfern? – powtórzył mężczyzna za kontuarem, który zdawał się go rozpoznawać.

– Znamy się?

– Zobaczyłem pana nazwisko w księdze gości. – Stuknął palcem zeszyt, do którego wcześniej wpisywała się jakaś kobieta. – Pan jest wnukiem Bohdana, prawda? Tym policjantem?

– Tak. – Redfern niecierpliwie zerkał przez szklane drzwi, za którymi czekała na niego Helen Keen. – Mogę panu w czymś pomóc?

– Nie mnie, ale Bohdanowi – oznajmił starszy. – Mam wrażenie, że coś się z nim dzieje, choć sam nie chce się do tego przyznać.

– Mieszkam z nim od kilku tygodni i niczego nie zauważyłem.

– A ja znam go pięć lat i widzę, że coś jest nie tak. – Mężczyzna nie ustępował. – Ostatnio rzadko pojawia się w centrum, nie przychodzi na umówione partyjki kart, nie wspominając, że nie poznaje ludzi na ulicy.

– Karmi też psa grochówką i zapomina wstawić pranie. – Redfern próbował żartem uspokoić staruszka, ale widząc jego zacięty wyraz twarzy, dodał: – Proszę się nie martwić o dziadka. To po prostu starszy człowiek, któremu zdarza się pogubić w zakamarkach pamięci.

– Nie mówiłby pan tak, gdyby zobaczył go parę tygodni temu w archiwum. – Mężczyzna westchnął głęboko, jakby miał wyznać ciężki grzech. – Bohdan stał w jednej z alejek całkiem po ciemku i płakał.

– Płakał?

– Jak mały chłopiec – zapewnił staruszek. – Wszedłem tam i powiedziałem coś do niego, ale mnie nie poznał. Okropnie się wystraszył. Dopiero po chwili dotarło do niego, kim jestem i... rozplakał się jeszcze mocniej, a gdy się uspokoił, wyznał, że się zgubił i nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Rozumie pan?

– Tak. – Redfern usłyszał swój głos, choć miał wrażenie, że nawet nie poruszył ustami. Wiedział już, dlaczego Siwiaszczyk tak nagle musiał jechać do Polski, i ta myśl ścięła jego ciało zimnym paralizem. Podziękował mężczyźnie za informację i jak zahipnotyzowany wszedł do sali, gdzie czekała na niego Helen Keen.

– Dobrze się pan czuje, panie Redfern? – zagadnęła przyjaźnie, wpatrując się w pobladałą twarz inspektora. – Może zaparzę panu herbaty?

– Nie, nie trzeba – odparł cicho i wyciągnął z kieszeni telefon, by jak najszybciej zająć czymś myśli. Włączył aparat i wertując strona po stronie, sfotografował katalog agencji nieruchomości, a także pocztówki oglądane wcześniej. Następnie pożegnał się z Helen, która na odchodne wręczyła mu wydruki, i wyszedł na ulicę, gdzie niebo przywitało go szarością i ulewnym deszczem. Redfern miał wrażenie, że trafił do kolejnego mrocznego korytarza, ale tym razem nie czuł podmuchu, który dawałby nadzieję na wyjście.

Wsiadł do samochodu, rozczarowany następnym martwym tropem. Położył na siedzeniu skany i przyjrzał się ponownie zdjęciom pocztówek.

Nie było w nich niczego szczególnego, nie dało się ich w żaden sposób powiązać, a jednak były na tyle ważne dla Kennetha O'Malleya, że postanowił je sobie przywłaszczyć. A może było w nich coś, co wydawało się cenne tylko dla jego starczego, zwichrowanego umysłu.

Tak jak teraz zdjęcie ostatniej pocztówki zrobiło się niespodziewanie ważne dla niego i choć czuł, że nie przybliży go to do mordercy hodowcy koni, to może doprowadzić go do Marty Sokolińskiej. Rower oparty o stary ceglany budynek o czymś mu przypomniał.

Środa, 4.12.2013, popołudnie

Żeby nie ściągać niczyjej uwagi, postanowił zostawić toyotę na Carters Lane. Gdy wysiadał z auta, jego wzrok przykuła tabliczka przybita do bramy prowadzącej do Woking Palace: nie ma dostępu do Hoebridge Golf Centre. Pomyślał, że wielu ludzi musiało się mylić, skoro właściciele tej prywatnej drogi zdecydowali się zamówić taki znak. Kiedy przyglądał się dwóm ostatnim słowom, naszło go przecucie, że ta tablica znaczy coś więcej niż tylko ostrzeżenie, ale jeszcze nie mógł skojarzyć co. Zostawił tę myśl na później i przebiegł przez jezdnię, wprost do zaułka Poundfield Court. Wszedł między garaże, gdzie na jednym z nich wciąż powiewała biało-niebieska policyjna taśma. Redfern zbliżył się do niego, ale nie wszedł do środka, tylko przyglądał się wbitemu w sufit hakowi, a następnie odszukał wzrokiem przewrócony taboret. Tak jak pisała Summer, nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek pomagał Bartoszowi Wolańskiemu w przejściu na tamtą stronę.

Redfern usiłował sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział mu mężczyzna przy okazji ich nocnego spotkania, ale nic nie wyróżniało się z tych mglistych wspomnień. Wciąż widział wypchany butelkami zielony plastik reklamówek z Asdy i słyszał słowa porywane przez wiatr: „wtorek”, „porozmawiać”, „dziewczynki”. Pożegnawszy się, Bartosz wsiadł na rower

i odjechał. Ten widok zmroził Redferna. Przeszedł szybkim krokiem pod drzwi mieszkania Wolańskiego, ale nie znalazł przy nim starej damki mężczyzny, która stała tam jeszcze wczoraj. Inspektor rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegł dwuśladu. Za to od strony ośrodka Life Works szybkim krokiem zbliżała się znajoma postać. Beata Mikiewicz, sąsiadka Wolańskich, przystanęła na skraju jezdni i rozejrzawszy się uprzednio, przebiegła przez pas popękanego asfaltu. Wystrojona od stóp do głów w obcisłą lycrę przywodziła na myśl uczestniczkę Giro d'Italia. Redferna naszała wyjątkowo niespójna z obrazem refleksja, że w wyścigu francuskim nie biorą udziału kobiety, co według gazet miało się niebawem zmienić, a czemu z całego serca kibicował.

– O, pan inspektor! – ucieszyła się kobieta, kiedy przekroczyła niski murek parkingu. – Dobrze pana widzieć. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Bartek się powiesił! A pan może w to uwierzyć? Słaby to facet, co bije kobiety, ale żeby samobójstwo? To się w głowie nie mieści – trajkotała, odsuwając suwak przy kieszeni bluzy, z której wyciągnęła paczkę papierosów i zapalniczkę. Odpaliła jednego i kontynuowała: – Kinga przynajmniej oszczędzi na rozwodzie.

– Bartosz wspominał o rozwodzie?

– Nie, ale Kinga mi mówiła, że wysłała papiery. Pewno się dowiedział i zrobił to, co zrobił – mówiła Mikiewicz bez cienia emocji.

– Czy widziała pani jego rower? – zapytał Redfern, choć na usta cisnęły mu się zupełnie inne pytania.

– Tak, schowałam go do swojego garażu, bo zaczęło lać. Właściwie to mój rower, a on go tylko pożyczał, a potem zawsze go stawiał pod moimi oknami. – Wzruszyła ramionami i znów włożyła papierosa do ust. – Nie dałam go ruszyć tym pana policjantom – dodała buńczucznie. – A po co on panu?

– Tajemnica śledztwa – uciął Redfern.

– A to jest jakieś śledztwo? Myślałam, że jak sam się zabił, to już policja nic z tym nie robi. Do wora i w piach.

– Robi, robi – zapewnił ją Redfern i spojrzał w głąb zaułka, na co Mikiewicz zareagowała nerwowym ruchem dłoni. Rzuciła niedopałek pod

nogi i nie rozdeptując go, poszła w kierunku garaży.

Wyciągnęła z kieszeni klucze i schyliła się, by otworzyć kłódkę. Gdy tylko zwolniła blokadę, brama podjechała do góry, ukazując największy chaos, jaki Redfern widział w życiu. Między kartony po winie, worki z ubraniami, starą bieżnię i kilka innych przyrządów gimnastycznych, które z pewnością miały być spełnieniem danych sobie obietnic poprawy kondycji, Beata Mikiewicz wcisnęła rower Wolańskiego.

– No i jest – oznajmiła z satysfakcją, wystawiając rower przed garaż.

Redfern zauważył, że koszyk na kierownicy wypełnia zielona reklamówka złożona w znajomy kształt. Rozchylił ją i wyjął ze środka zawartość.

– Ale jaja! – zakrzyknęła Beata Mikiewicz, która zdążyła odpalić kolejnego papierosa. – Nie wiedziałam, że Bartek takie skarby miał. Zwykle w koszyku znajdowałam co najwyżej kapsle po piwie, a tu proszę, nowiuśki airbook.

Redfern jej nie słuchał. Otworzył laptopa, ale tak jak podejrzewał, urządzenie było rozładowane.

– Panu wolno to zabrać? – Mikiewicz dostała niezdrowych wypieków na twarzy, kiedy Redfern schował sprzęt z powrotem do reklamówki i zaczął iść w stronę parkingu.

– To jest dowód w sprawie – oznajmił drepnącej obok kobiecie.

Redfern podszedł do drzwi Wolańskich, w których szparę na listy wepchnięta była na siłę sztywna kartonowa koperta z napisem „Nie zginać”. Inspektor wyszarpnął ją i z miejsca poznał godło i adres zwrotny.

– Ale przecież nie ma żadnej sprawy, bo on się po prostu zabił – usłyszał obok siebie piskliwy głos Mikiewicz.

Rozszarpał gruby papier i przejrzał zawartość. Po chwili był pewien, że Bartosz Wolański nie targnął się na życie pod wpływem pozwu, bo nie zdążył go odebrać.

– Teraz już jest sprawa.

Kiedy Beata Mikiewicz dała się przekonać, że jej udział w śledztwie jest zakończony, Redfern wsiadł do samochodu i ponownie otworzył laptopa. W błyszczącym ekranie widział odbicie swojej zmęczonej twarzy. Od kilku

miesiący nie mógł odpocząć, a jego życie przypominało system jaskiń, które kiedyś odwiedził z kolegami w Inchnadamph. Pamiętał, że się bał i wcale nie miał ochoty tam wchodzić, ale jakaś niewidzialna siła, która grała nie tylko z jego chłopcą butą, ale i ciekawością, ciągnęła go do środka. Przerazony i zafascynowany przeciskał się przez wąskie, pokryte lepłą wilgocią korytarze, które prowadziły do kolejnych odnóg i pieczar. Uzbrojony jedynie w słabą latarkę, tylko potęgującą grozę tej wyprawy, schodził coraz niżej. W pewnym momencie miał wrażenie, że już nigdy nie opuści tego mrocznego labiryntu, którego ściany zdawały się napierać na uwieczonych w ciszy eksploratorów. Pamiętał uczucie, kiedy dotarło do niego, że nie słyszy też głosu kolegów. Nie, to nie było uczucie. To był tłoczący adrenalinę instynkt i obezwładniające przeświadczenie, że znalazł się w pułapce.

Teraz, zmagając się z kolejnymi mrocznymi korytarzami, które rozchodziły się jak gałęzie posępnego drzewa, czuł się zagubiony i przytłoczony. Jednak podobnie jak tamtego pamiętnego dnia czuł na twarzy delikatny podmuch powietrza, który wskazał mu drogę na powierzchnię.

Na kolanach trzymał klucz do rozwiązania zagadki Ronalda Rudda, a może i Adriana Bonesa. Wystarczyło tylko go uruchomić.

Wziął do ręki telefon i znalazł na stronie Currysa ładowarkę do airbooka. Złożył zamówienie z odbiorem w sklepie i już po chwili otrzymał potwierdzenie, którego sygnał został przerwany przez dzwonek telefonu.

– Jak się sprawy mają? – usłyszał w słuchawce dźwięczny głos Bente Hansen.

– Na razie stoją w miejscu. – Minął się z prawdą.

– Nic nie ruszyliście w sprawie O'Malleya? – obruszyła się. – Dave, ja wiem, że to był starszy człowiek i nie jest to sprawa tak nagląca jak porwanie małej dziewczynki, ale ja muszę mieć jakieś efekty.

– Wiem, właśnie jestem w drodze do Centrum Historii Surrey – skłamał.

– Dlaczego akurat tam?

– To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Mieszkańcy Pirbright nie chcą gadać. Z tego, co udało mi się ustalić, to O'Malley szukał czegoś w starych

papierach, a jedyne miejsce ze starymi papierami w okolicy znajduje się na Goldsworth Road.

- Mam nadzieję, że pchniesz sprawę do przodu. Dawaj znać, co i jak.
- Jasne – rzucił niechętnie.
- Dave? – Doszło do niego, zanim odsunął słuchawkę od ucha.
- Tak?
- Wszystko u ciebie gra?
- Jak w BBC One – uciął.
- Tam podobno straszny burdel – skwitowała prokuratorka.
- No przecież mówię – odparł i rozłączył się.

Środa, 4.12.2013, wieczór

Podjechał na swoje miejsce parkingowe i zatrzymał toyotę naprzeciwko triumpha, który wciąż stał z rozciętymi oponami. Redfern z żalem pomyślał, że nie ma czasu zorganizować lawety, by zabrała go do warsztatu. Obawiał się jednak, że samochód w takim stanie zostanie uznany za porzucony i odholowany. Wciąż siedząc w aucie, przejrzał w telefonie oferty mobilnych mechaników. Wypełnił formularz na stronie National Tyres, uiścił absurdalną kwotę, jaką płaci się za brak czasu, i po chwili otrzymał potwierdzenie, że opony zostaną zmienione jutro.

Zgarnął laptopa, którego znalazł u Wolańskiego, i wciąż nabity ciężkimi myślami o samobójcy wszedł do domu. Sprawy okołodomowe ograniczył do minimum. Kolację zamówił z pobliskiej irańskiej restauracji, a Bandita wypuścił do ogrodu, by ten załatwił swój biznes. Gdy tylko najedzeni rozsiedli się na kanapie, Redfern poczuł napływającą senność. Wiedział jednak, że komputer trafił w ręce Wolańskich nieprzypadkowo, i musiał się jak najszybciej dowiedzieć dlaczego.

Rozłożył na stole airbooka i podłączył go do absurdalnie drogiej ładowarki, którą odebrał wcześniej z marketu. Odczekał chwilę i włączył

komputer. Krótkie intro szybko zastąpił pulpit ze zdjęciem Ronalda Rudda z żoną w jakichś tropikach i pasek z ikonkami. Redfern otwierał po kolei wszystkie katalogi, ale jedyne, co znajdował, to ujęcia z licznych wakacji, przepisy kulinarne, zestawienie wydatków domowych i kilka prób napisania powieści, podjętych najpewniej przez Ginevrę Rudd. W katalogu „Gazety” nie było niczego prócz artykułów, nad którymi pracował dziennikarz. Redfern przejrzał je pobieżnie, ale nie stwierdził niczego podejrzanego.

Kolejne kwadransy upływały na wchodzeniu w ślepe uliczki, które zdawały się mnożyć. Koło północy Redfern natrafił na katalog z rysunkami dziecka i domyślił się, że Ronald Rudd, żeby zapewnić porwanej Izie Wolańskiej rozrywkę, pozwolił jej korzystać z komputera. Uśmiechnął się do siebie na tę myśl. Choć powinien, to nie potrafił tak do końca potępić mężczyzny, który chciał oczyścić miasto z handlarzy dziećmi, choć środek do tego celu wybrał straszny. Redfern musiał jednak przyznać, że dziennikarz rozegrał tę grę z mistrzowską precyzją.

Wpatrując się w ekran laptopa, inspektor zonglował chwilę tą myślą, aż przeszła ona w przekonanie, że ta gra się jeszcze nie skończyła. Z meandrów pamięci wydobył moment, kiedy mała Iza Wolańska wychodziła z pokoju, w którym była przetrzymywana. Ronald Rudd przypomniał jej wtedy nie tylko o tym, by zabrała swojego ukochanego grubego lwa. Szczególny nacisk położył na plecak z kotkiem. Dziennikarz chciał mieć pewność, że komputer opuści jego dom. Nikomu przecież nie przyjdzie do głowy przeszukiwać małą dziewczynkę.

Jedyną niepewną częścią tego planu było przekazanie go Redfernowi i tu Rudd musiał się zdać na przypadek. A może przeciwnie? Zależało mu wyłącznie na tym, by laptop nie trafił tak od razu w ręce policji. Inspektor przypomniał sobie ostatnie słowa Rudda: „Niech pan tego tak nie zostawia”.

– Nie zamierzam – szepnął Redfern do siebie i wrócił do przeglądania zawartości komputera.





# ROZDZIAŁ V

Czwartek, 5.12.2013, rano

Powoli otworzył oczy i przez chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, wpatrywał się w sufit. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to to, że nie chce wstawać, że jest na to za smutny. Zawieszony między brakiem ochoty a siły, zastanawiał się nad sensem dzisiejszego dnia. Nie chciał się z nim mierzyć. Zupełnie jakby mroczny metronom odmierzał jego oddechy, a on czuł, że z każdą sekundą wskazówka coraz mniej się wychyla, sprawiając, że on nie jest w stanie się podnieść. Jednocześnie otaczała go bańka obojętności i nawet dzwoniący przy uchu telefon nie był w stanie jej rozbić.

Wreszcie zmusił się, by odebrać. Zgarnął go chwiejnym ruchem i przystawił do ucha.

– Halo?

– No cześć, jak tam archiwa? – dobiegł go głos Summer.

– Całkiem nieźle. – Redfern ziewnął przeciągle i odepchnął lekko napierającego na niego Bandita. Stan chwilowego odrętwienia powoli mijał. – Skąd wiesz, że byłem w archiwach?

– Duża Elsa mnie przesłuchiwała i przy okazji powiedziała, że ty to przynajmniej coś robisz, bo jesteś w terenie.

– A wy z Puską się objacie?

– A gdzie tam! Urabiamy się po łokcie. Tak dla twojej informacji: znaleźliśmy komplet gagatków z firmy budowlanej. Sądząc po woni, jaką

rozsiewają, to chłopaki znają się nie tylko na budowlanec, ale i szeroko pojętej rozrywce. To co, wpadniesz do nas?

– Na korepetycje z rozrywki?

– Raczej rekolekcje – odparła wesoło Summer. – Spotykamy się w kościele w Pirbright.

Komitet powitalny złożony z nadpobudliwego ogona i mokrego języka nacierał na Redferna, gdy ten próbował dojść do kuchni. Kiedy wreszcie udało mu się nałożyć szczeniakowi jedzenie do miski, skorzystał z chwili nieuwagi pieska i wziął prysznic. Stał pod ciepłymi strugami wody, zastanawiając się, co przeżył przed chwilą w łóżku. Lekarze go ostrzegali, że chorzy na toczeń, narażeni na ciągłą walkę z bólem, często miewają takie epizody. Redfern bał się, ale miał nadzieję, że w jego przypadku to jednorazowe.

Pomyślał, że na wszelki wypadek przyda mu się towarzystwo. Odświeżony zapiął Banditowi smycz i razem wyszli w rześki poranek.

Podobnie jak podczas ich pierwszej przejażdżki z hotelu do domu, tak teraz szczeniak położył się na siedzeniu i tylko łypał na swojego pana. Redfernowi przyszło do głowy, czy ta mina nie jest symptomem choroby lokomocyjnej, ale nic złego się nie wydarzyło i spokojnie dojechali do kościoła St. Michael and All Angels, pod którego bramą zobaczył szkodę Summer Winter.

Redfern wysiadł z auta i otworzył szczeniakowi drzwi, na co maluch z ochotą opuścił pojazd. Szli wzdłuż niskiego muru, raz po raz zatrzymując się na obwąchanie co ciekawszego fragmentu trawnika. Inspektor zauważył poruszających się po rusztowaniu mężczyzn w kaskach i ogrodniczkach. Nigdzie natomiast nie widział sierżantki.

Przeszedł przez furtkę i zatrzymał się przed monumentalnym nagrobkiem sir Henry’ego Stanleya. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że stoi nie tylko przed kawałem ważnej historii, ale też kluczem do teraźniejszości.

– No cześć!

Redfern poczuł nagle ciężkie pacnięcie w plecy. Odwrócił się gwałtownie, prawie stykając się z uśmiechniętą twarzą Summer. Jej

entuzjazm zdawał się mieć podszewkę ze sztucznego i bardzo śliskiego materiału.

– Jak tam nasi panowie?

– Nie całkiem rozmowni, ale może już im przeszło.

– A ty gdzie byłaś?

– U pastora na herbacie. – Na dowód podniosła wielkiego precla, którego najpewniej dostała na plebanii, i odgryzła kawałek. – Chciałam go jeszcze podpytać o Kennetha.

– I co?

– Słabo się znali, bo Kenneth był młodszy, a kościół omijał szerokim łukiem, co jest zastanawiające, bo jednak parę dni temu do niego przyszedł.

– Summer się zamyśliła.

– I spotkała go śmierć – podsumował Redfern i poszedł w stronę rusztowania, z którego właśnie schodził jeden z mężczyzn.

– Można zająć chwilę? – zagadał. – Stefan, prawda?

– Tak, a o co chodzi? – burknął chłopak, zerkając niepewnie na kolegów, którzy wychylali się przez rurki konstrukcji. Jego czerwona twarz zdradzała, że Summer miała rację co do jego słabości do suto zakrapianych imprez.

– O mężczyznę, który zginął tam, przy pomniku. – Redfern wskazał kamienny monolit, który odcinał się od linii jasnych nagrobków wielkim szarym cieniem.

– Ja to nic nie wiem – odpowiedział z silnym wschodnim akcentem. – Nie widziałem go na oczy.

– Mam wrażenie, że pan w ogóle ledwo widzi na oczy – mruknęła Summer, ale budowlaniec zdawał się tego nie usłyszeć bądź nie zrozumieć, bo uśmiechnął się szeroko.

– A pana koledzy? Może oni coś widzieli?

– Wątpię. – Skrzywił się. – Wszyscy byliśmy wtedy w Woking.

– A nie mogliście się bawić w White Hart? – dopytał Redfern, choć niewiele go to obchodziło. Był zły, że marnuje czas na przesłuchiwanie kandydatów do klubu anonimowego alkoholika.

– Tam już nie chodzimy – mruknął.

– A to czemu? – dociekała Summer.

– Spalona miejscowa, proszę pani. Nie lubią tam obcych, zaraz szukają zaczepki. – Wzruszył ramionami i dobył z kieszeni elektronicznego papierosa. Jego ozdobna srebrna budowa i owocowa woń, którą roztaczał, kontrastowały z ogorzałą twarzą i muskularną sylwetką mężczyzny. Zaciągnął się mocno i wskazał na Bandita, który siedział przy nogach Redferna.

– Fajnego ma pan psa – pochwalił Stefan, wypuszczając chmurę pachnącej truskawkami pary. – Tylko czesać go trzeba, gdy tylko zgubi szczenięcą pokrywę. Najlepiej codziennie. I nie dać mu spać w miękkich poduchach, bo skóra mu się zrobi bardziej wrażliwa i linieć będzie jak choinka po Trzech Króli.

– A pan co, weterynarz? – spytał Redfern, ze wstydem przypominając sobie wszystkie te noce, kiedy pozwalał Banditowi spać w łóżku.

– Nie, świętej pamięci ojciec hodował landseery i berneńczyki, więc coś tam o nich wiem – odparł z nostalgią w głosie. – Te psy kochają ludzi, potrzebują rodziny bardziej niż powietrza. Muszą mieć się kim opiekować. Mam nadzieję, że daje mu pan dużo czasu, bo one nienawidzą samotności.

Redfern poczuł w gardle kolce poczucia winy. Był pewien, że w dużej, kochającej się rodzinie Bandit miałby lepiej niż ze starym kawalerem i jeszcze starszym wdowcem. Z drugiej strony naszała go myśl, że i tak był lepszą alternatywą niż biuro cmentarza Brookwood, z którego szczeniak do niego przyjechał. Redfern przez ułamek sekundy zatrzymał się przy tej myśli, która powiodła go prosto do Marty Sokolińskiej. Czy z nią mógłby stworzyć kochającą się rodzinę? Możliwe. Gdyby tylko wiedział, gdzie ona jest.

– Muszę wracać do pracy – usłyszał nagle szorstki męski głos. Zanim zdążył zareagować, budowlaniec wszedł na stojącą obok drabinę.

– Niech pan zawoła kolegów – poprosiła Summer, na co tamten machnął ręką. Kiedy jednak wspiął się na ostatnią kondygnację rusztowania, podszedł do pozostałych mężczyzn, a ci odkrzyknęli do policjantów, że zaraz zejda.

Kiedy stanęli przed Redfernem, inspektor pokazał im zdjęcie Kennetha O'Malleya.

– A kręcił się tu czasem – odparł pierwszy, młodszy od tamtych i mniej zniszczony.

– Bardziej chyba się modlił – poprawił go drugi. – Jak to stary człowiek. Widziałem go czasem przez okno kościoła, jak siedział w ławie i coś mamrotał z modlitewnikiem w rękach.

– Chyba nawet chciał, żeby go pochować tutaj na cmentarzu, ale pastor powiedział, że nie ma mowy. Pokłócili się o to strasznie. Aż dzwony na wieży zadrżały.

– Wasz kolega taki jakiś nierozmowny – zauważyła z chytryością w oku Summer, na co młodszy z budowlańców odwrócił twarz w stronę rusztowania.

– Nie zwracajcie na to uwagi. On zawsze był mrukiem, ale za to robotę robi pierwsza klasa. Każdą cegłę dwa razy obróci, wszystko sprawdzi, wszystkiego dogładnie – zachwalał najstarszy z mężczyzn. – Zresztą to on nam tę robotę nagrał. Złoty chłop.

Szli w stronę samochodów. Redfern nie zauważył, kiedy Summer zdążyła pochłonąć precla. Rzut oka na oblizującego się Bandita wystarczył mu, by stwierdzić, do czyjego żołądka trafił smakołyk.

– Nie masz wrażenia, że w tej dziurze wszyscy są związani jakimś sekciarskim paktem milczenia? Tak samo nabrali wody w usta, nawet ci przyjezdni.

– Oni właśnie najbardziej mnie zastanawiają – odparł Redfern, czując przyjemne ciepło płynące z tego, że Summer bezwiednie podąża za nim myślami. – Dlatego dowiedzmy się, co się stało, że panowie budowlańcy już nie spożywają wody ognistej w lokalnym przybytku.

Przekroczyli drogę; Redfern natychmiast skojarzył ją z pocztówki, którą usiłował ukraść Kenneth O'Malley. Tyle że zamiast dziewczynek w szkolnych mundurkach po asfalcie biegła uciekająca przed rozpędzonym passatem szara wiewiórka. Piękne lato i obwieszona żółdziami jesień sprawiły, że w tym roku było ich wyjątkowo dużo. Patrzył na siwą kitkę umykającą w gorejący czerwienią krzew głogownika, który wciąż opierał

się dyktaturze zimy. Przypomnił sobie polskie, rude wiewiórki, które w Anglii można było spotkać jedynie na wyspie Wight i w Kumbrii. Z reszty kraju zostały one wyparte przez przywiezione z Ameryki Północnej większe i bardziej agresywne szare przedstawicielki swojej rodziny. Rozglądając się po skutym milczeniem miasteczku, Redfern uznał, że jego zwarty monolit jest całkowicie odporny na napływ innych, wrogich gatunków, o czym miał się przekonać już za chwilę.

W White Hart zastali właściwie tych samych gości, którzy siedzieli przy stolikach, kiedy Redfern odwiedził pub po raz pierwszy. Mógł się nawet założyć, że każdego dnia jest podobnie. Nie zdążyli podejść do baru, kiedy powitał ich barman.

– A panią to już gdzieś widziałem. – Wskazał palcem na Summer.

– Krótka pamięć. Byłam tu wczoraj i pytałam o starą broń, którą możliwe, że ma ktoś w miasteczku.

– Sama pani widzi, że u mnie z pamięcią krucho. – Rozłożył ręce w geście rezygnacji i uśmiechając się zjadliwie, zwrócił się do Redferna: – Co tym razem, panie władzo? Jakiś poturbowany staruszek?

– A co, boks to wasz lokalny sport? – odparował Redfern.

– E tam, zaraz sport. – Barman wzruszył ramionami.

– To czemu ktoś pobił budowlańców od Bena Greena? Najpierw Kenneth, a teraz się dowiaduję, że jeszcze tamci.

– Napinał się jeden, że był ochroniarzem w Londynie, to chłopcy chcieli sprawdzić, czy sam siebie też ochroni. Wie pan, krew nie woda. Zaszumiała chłopakom w bicepsach, to wyszli na zewnątrz i po sprawie.

– A który taki krzepki? – zagadnęła Summer.

– Ten młody Clint Eastwood na sterydach – burknął barman i wytarł ręce w fartuch.

Czyli ten mruk, pomyślał Redfern.

– Kto się bił?

– Chłopak od Taylorów, chyba jeszcze taki mały Evans i chyba młody Green.

– Syn Bena, właściciela firmy budowlanej? – upewniła się Summer.

– Ten sam – odparł barman, a Redfern wyłuskał z pamięci, że Green mówił wyłącznie o córkach.

– Jak to się skończyło? – zapytał po chwili.

– A tak, że poszli w cholerę i więcej się nie pokazali. Omijają teraz pub szerokim łukiem. – Barman uśmiechnął się, obnażając rząd pożółkłych zębów.

– Dwie bójki w tak krótkim czasie. – Summer cmoknęła z dezaprobatą. – Nie uważa pan, że to trochę dużo jak na jedną wiochę?

– Nie znam statystyk.

– A zna pan statystyki wyroków za składanie fałszywych zeznań? – warknęła sierżantka, sprawiając, że mężczyzna natychmiast spowaźniał.

Zostawili barmana w niemym zdziwieniu i wyszli z pubu, wymieniając ponure spojrzenia.

– Oni nie nabierają wody w usta, tylko chowają głowę w piasek, a to różnica – rzucił inspektor.

– Oświecisz mnie?

– Czegoś się boją.

– Klątwy z za grobu?

– Szukałbym raczej bliżej ziemskiego padołu. Jedziesz ze mną do Vines Farm?

– Nie, mam papiery do odfajkowania – odparła Summer, podchodząc do brzegu ulicy. Przepuścili kilka samochodów i przeszli na drugą stronę.

– Stosujesz się do zaleceń Elsy? – zapytał Redfern, kiedy mijali staw, w którym dla odmiany nie zauważył żadnego ptaka.

– Zaleceniami bym tego nie nazwała, ale tak, trochę chcę się jej podlizać.

– Z ust damy nie powinny padać takie słowa. – Pokręcił głową z udawaną naganą.

– A dżentelmen nie powinien stosować ich w praktyce – odcięła się i otworzyła drzwi do auta.

– Tak jest wygodniej, uwierz.

– Wierzę, toteż przykładnie się stosuję. – Uśmiechnęła się serdecznie, pomachała mu jak mała dziewczynka i zniknęła we wnętrzu škody.



Redfern stał jeszcze przez chwilę, odprowadzając wzrokiem auto Summer aż do samego rozwidlenia The Green. Kiedy miał wsiąść do samochodu, przez szelest targanych wiatrem drzew usłyszał głucho pacnięcie furtki. Od strony kościoła szybkim krokiem szła ubrana na czarno starsza kobieta. Owiniętą chustą głowę trzymała między ramionami, najwyraźniej czymś zdenerwowana. W zaciętości jej twarzy dostrzegł coś znajomego, czego nie mógł ubrać w precyzyjną myśl. Gdy zbliżyła się na odległość kilku kroków, Redfern zauważył, że to nie gniew, tylko płacz. Mijając go, kobieta otarła pooraną zmarszczkami twarz i pociągając nosem, zagadnęła:

– O, pan policjant!

– Znamy się?

– Nie osobiście. – Kobieta się zmieszała. – Wie pan, jak jest, my, małomiasteczkowi, w mgnieniu oka rozpoznajemy obcych.

– A pani jest...

– Żoną Stuarta, majordomusa państwa Stanleyów. Niegdyś byłam nianią Michaela. – Naciągnęła mocniej chustę na głowę, skrywając twarz przed uderzeniami zimnych podmuchów. W fałdach materiału już nie wyglądała tak znajomo. – Stare dzieje.

– Mieszka pani w Furzehill? – zapytał Redfern.

– Tak jak i mój chłop – zaśmiała się i zmieniła ton na bardziej skrzekliwy, jakby zapominając o smutku, który wciąż połyskiwał w jej wilgotnych oczach.

– Znała pani Kennetha O'Malleya?

– Nie za dobrze, ale ja to jestem element napływowy, jak to mówią, więc nie wiem tyle, co miejscowi. Poznaliśmy się ze Stu w teatrze w Londynie. Ech, stare dzieje – powtórzyła.

– A Kenneth? – Redfern ją ponaglił, czując, jak wiatr szturmuje każdą szczelinę jego kurtki.

– Wiem tylko, że szwendał się po stajniach, po błoniach, raz to nawet chyba polazł do willi. Dziwak, proszę pana, to i dziwnie zginął. – Machnęła ręką i zamilkła, jakby zastanawiała się nad następnym zdaniem, które jednak nie padło. Nie dając inspektorowi szansy na zadanie więcej pytań,

pożegnała się nagle i ruszyła drogą w dół, gdzie jeszcze przed kilkoma minutami Redfern widział światła škody Summer.

Włączając się do ruchu w Guildford Road, odtwarzał w myślach rozmowę z żoną Stuarta i szukał ziarna, które wykiełkowało niepewnością. Szybko jednak doszedł do wniosku, że w małym miasteczku bardzo szybko buduje się nieufność, a anonimowość jest towarem deficytowym.



Redfern podjechał pod bramę i wysiadł z samochodu, nakazując Banditowi, żeby został w środku. Zatrzasnął zamki i poszedł w stronę domu O'Malleya, ale przypomniawszy sobie słowa budowlańca, zawrócił w pół kroku i otworzył drzwi. Szceniak wyskoczył na rozmokłą ziemię, nie posiadając się ze szczęścia, zupełnie jakby pan zostawił go w aucie co najmniej na cały dzień. Po chwili razem wspinali się na wzgórze i Redfern musiał przyznać, że w towarzystwie tej pary klapiących uszu trud jest bardziej do zniesienia.

W połowie kamiennej ścieżki dostrzegł znajomą postać Caroline Bevan, która stojąc tyłem do nich, przerzucała widłami słomę do stajni. Gdy zbliżyli się na dziesięć jardów, kobieta zdała sobie sprawę z ich obecności. Przywitała się z Redfermem i pogłaskała z radością Bandita.

– Kenneth też bardzo kochał psy – powiedziała z rozrzewnieniem i wstała z kucek, lekko stękając. – Czasem mówił, że gdyby miał więcej czasu, to wziąłby jednego.

– Czasu chyba miał pod dostatkiem?

– Nie w tym sensie! – sprostowała. – Bał się, że jak weźmie psa i Pan Bóg go wezwie do siebie, to pies zostanie bez opieki.

– Myślał o śmierci? Bał się?

– Eee, nie, tylko zawsze wszystko dokładnie planował, a był schorowany, miał chorobę Pageta, więc bał się, że mu te kości ucisną na kręgosłup albo serce. Już ledwo przez nią widział. No i sobie skalkulował, że jak pies

zwykle żyje z piętnaście lat, to najpewniej go przeżyje. I co? Wcale się nie pomylił. Jutro pogrzeb. Taki już był ten Kenneth.

Oczy Carol Bevan zaszklily się, ale zanim mokry film zebrał się kroplą w ich kącikach, Redfern zapytał:

– Gdzie zostanie pochowany?

– Udało mi się wyprosić u ojca Addisona pogrzeb na cmentarzu parafialnym – odpowiedziała z wyraźną ulgą.

– A dlaczego w ogóle trzeba było go prosić?

– Było między nimi mnóstwo zaszłości – odparła zdawkowo, ale widząc, że nie przekonała Redferna, dodała: – O'Malleyom nie podobało się, że lady Stanley oddała Furzehill Cottage Kalulu. Padło mnóstwo złych słów i... – zawiesiła głos – rasistowskich wyzwisk. Pastor stwierdził, że ktoś o takich poglądach nie będzie leżał na świętej ziemi Kościoła.

– Teraz jednak zmienił zdanie. – Inspektor zmrużył oczy.

– Ludzkie serca miękna w obliczu tragedii. – Caroline Bevan otarła łzę.

Redfern miał wątpliwości, czy ktoś taki jak pastor Addison mógł tak po prostu odstąpić od swojego stanowiska tylko dlatego, że parafianin został zamordowany. Chcąc zostawić sobie czas na zastanowienie nad tym, zmienił temat.

– A wiedziała pani, że Kenneth jeździł często do Woking?

– Do syna. – Potwierdziła głębokim skinieniem głowy. – Raz nawet został u niego ze dwa dni, ale to było ładnych parę miesięcy temu. Potem już jeździł mniej, bo chyba...

– Otóż nie. – Redfern przerwał potok kłamstw, którymi nakarmił ją O'Malley. – Kenneth zajmował się czymś w Centrum Historii Surrey, a syna widział tylko raz i z pewnością nie zatrzymał się u niego dłużej niż na godzinę.

– Dziwne. – Caroline się zamyśliła.

– Wie pani, czego szukał w archiwach?

– Może chodziło mu o coś do sądu?

– Tym, zdaje się, zajmowali się prawnicy – powątpiewał Redfern.

– Nie było go stać na prawników, a jeśli mówi pan o tych z urzędu, to oni robili mniej niż nic. – Caroline myślała przez chwilę, a potem, jakby coś

zrozumiawszy, dodała: – A z tym dłuższym wyjazdem to faktycznie dziwne, bo zwykle do Woking jeździł autem, a tym razem wybrał się pociągiem z Brookwood. Raz już tak zrobił, chyba z rok temu. Wrócił bardzo roztrzęsiony. Nie wiem, czy nie poszarpał się z synem, bo jego marynarka miała oberwany rękaw i brakowało guzików.

– Myślę, że nie stał za tym syn.

– A kto?

– Powiem pani, jak tylko się dowiem, dokąd naprawdę pojechał wtedy Kenneth.

– Tego chyba trudno będzie się dowiedzieć – zawyrokowała posępnie Caroline i wcisnęła dłonie do kieszeni ogrodniczek.

– Czy znała pani jego żonę? – Redfern zmienił temat, nie chcąc dać się wepchnąć w defetyzm, który i tak już zbierał żniwo w tym śledztwie.

– Z tego, co wiem, Marlene nie żyje, ale tak, znałam ją trochę.

– O śmierci Marlene O'Malley dowiedziałem się od jej syna, Jacka. Podobno Kenneth lata temu wyrzucił ich oboje z domu.

– Ludzie w miasteczku różne głupstwa plotą, żeby tylko sensacja była – prychnęła z niesmakiem. – Marlene odeszła od Kennetha i koniec historii.

– Tak po prostu?

– A panu też jakieś fajerwerki są potrzebne? – Caroline się obruszyła. – Nie dogadała się z chłopem, to i się wyprowadziła.

– Ale pani wciąż tu jest.

– Ano jestem – westchnęła ciężko, jakby ta świadomość dopiero do niej dotarła. Redfern chciał ją zapytać o jej wieloletnią nieobecność w Pirbright, ale widząc jej przygnębienie, odpuścił.

– Co z nim będzie? – Wskazał na wałącą się chatę, z której komina wątlą strużką unosił się dym. Uznał, że ani trop zmarłej żony O'Malleya, ani roztrząsanie położenia Caroline Bevan donikąd go nie zaprowadzi.

– Kenneth nie zostawił żadnych pieniędzy, żeby można było oddać staruszkę do prywatnego hospicjum. Państwowe to umieralnia – odparła po chwili. – On by się zresztą nie dał tam zawieźć, za twardy jest na takie instytucje. Poza tym żal by mi było tych wszystkich pielęgniarek. – Zachichotała cicho, jakby wyobraziła sobie jakąś zabawną sytuację

z udziałem starego O'Malleya. – Jak się dziadek zapomni, to potrafi tak wrzasnąć, że dzwony w kościele zadrżą, a przypierdzielić się może o byle drobiazg, mówię panu, skaranie boskie. No ale cóż... Zajmę się nim, ot co.

– Ma pani dobre serce.

– Powiedzmy – powiedziała z bladym uśmiechem, ale Redfern nie uchwycił w tym żartu. Bardziej przypominało jednowyrazową spowiedź.

Czwartek, 5.12.2013, południe

W południe znów rozszalał się lodowaty deszcz, sprawiając, że ulice Woking zaczęły przypominać koryta afrykańskich rzek. Redfern siedział w samochodzie, dziękując niebiosom za korki, dzięki którym mógł jeszcze przez chwilę rozkoszować się ciszą. Wiedział, że gdy tylko przekroczy próg komendy, będzie musiał odpowiadać na dziesiątki pytań, a jedyne, o czym teraz marzył, to ciepłe łóżko i spokój. Mimo to jego myśli wciąż krążyły wokół Marty i Palacza, który po raz kolejny zamilkł, nie dając szans na znalezienie dziewczyny.

Zajrzał do swojego gabinetu, by zebrać siły, które w żaden sposób nie dawały się skumulować, zupełnie jakby chciał zbudować zamek z pustynnego piachu. Usiadł w fotelu i na chwilę ogarnęła go paniczna myśl, że chciałby nie istnieć. Jak przez mgłę docierało do niego troskliwe lizanie po rękę Bandita, który przycupnął pod biurkiem.

Z marazmu wyrwały go pukanie i pucłowata twarz, która pojawiła się w drzwiach.

– Sala koncertowa pęka w szwach, maestro. – Puszka szczyrzył się wesoło. – Idziesz?

– Tak, już się zbieram.

Posterunkowy Tinney zniknął, a Redfern musiał zmierzyć się z obietnicą. Po kilku sekundach zebrał się w sobie i podniósł. Wziął głęboki oddech i wyszedł z gabinetu, nakazując Banditowi, by został tam, gdzie jest.

– Mówcie, co macie.

Zamknął pospiesznie drzwi, jakby chciał zostawić za nimi wszystko to, co nim targano. Usiadł za stołem i chwilę wodził wzrokiem po policjantach. Wiedział już, że zebranie będzie katastrofą, a on będzie musiał wykrzesać iskrę już nie tylko z siebie, ale i z podwładnych.

– Puszka, co z bilingami ofiary? Chyba British Telecom już się ogarnął?

– Tak – mruknął posterunkowy. – Tyle że nic na nich nie ma. Kenneth O'Malley dzwonił wyłącznie do Caroline Bevan, do banku i do urzędu gminy. Absolutnie nic nie odbiega od normy.

– No to w takim razie alibi pastora.

– Tu akurat ktoś wreszcie zaczął gadać. Podobno sąsiad Kalulu M'Halego widział moment, w którym Addison wjeżdża do Furzehill Cottage i siedzi aż do późna w nocy.

– A co sąsiad robił tak późno w takim miejscu?

– Twierdził, że musiał rozchodzić podagrę – odparła Summer. – Podobno często to robi. Ludzie w pubie potwierdzili, że facet po nocach chodzi po wsi.

– Ale sprawcy nie widział? – dopytał Redfern, choć znał odpowiedź. – A broń?

– Nikt nie słyszał o tym, by ktokolwiek w miasteczku takową posiadał, natomiast mam podejrzenia, skąd ją mógł wziąć. – Puszka zrobił pauzę, by odczytać notatki. – Z Centrum Treningowego Armii Brytyjskiej, które przylega do miasteczka.

– Sprawdziłeś to?

– Tak, byłem tam, ale to forteca. Jednak jeden ze starszych żołnierzy powiedział, że w latach pięćdziesiątych zdarzało się, że z magazynu znikala broń. Żołnierze wymieniali ją na alkohol podczas przepustek, ale nikt już tego nie pamięta. Myślę, że to kolejna ślepa uliczka.

– Możliwe, ale i tak masz drążyć temat – poprosił Redfern. – Może akurat coś ci wpadnie w ręce. Co jeszcze?

Odpowiedziała mu cisza, podszyta ciężkimi oddechami i szelestem kartek.

– Słuchajcie, wiem, że to nie jest jakaś spektakularna zbrodnia z pierwszych stron gazet, z jaką mieliśmy ostatnio do czynienia. Nie ma płaczących rodziców, nie ma osieroconych dzieci, ale zginął, do cholery, człowiek, a wy mi prezentujecie jakieś ochłapy. Więcej się po was spodziewałem – dodał z wyrzutem. – Mam nadzieję, że to wynik tylko waszego zmęczenia po ostatnich dwóch sprawach, a nie olewanie śmierci starego człowieka. Widzimy się jutro po pogrzebie O'Malleya – zakończył i nie czekając na reakcję zespołu, wyszedł z konferencyjnej z klarowną myślą, dokąd się udać, by nie zwariować.

Czwartek, 5.12.2013, popołudnie

Smagany szarymi biczami deszczu budynek szpitala The Priory wyglądał jeszcze upiorniej niż wtedy, gdy David przywoził do niego sierżantkę Wall. Ekskluzywny ośrodek leczenia uzależnień przyjął Lindę z otwartymi ramionami. Prawda była jednak taka, że ramiona te otwierają się tym szerzej, im zasobniejszym portfelem dysponują bliscy osoby uzależnionej. Biletem wstępu dla policjantki okazało się dwadzieścia pięć tysięcy, które kilka tygodni temu Redfern bez wahania wpłacił na leczenie przyjaciółki, a których pochodzenie wywoływało u niego dreszcz.

Teraz, pokonując długi podjazd, Redfern odtwarzał w pamięci tamten czas, który z tej perspektywy wydawał się niezwykle odległy. Pamięć była tak żywa, że podsunęła mu nawet zapach panujący w jego mieszkaniu, kiedy nieświadomy czyhającego niebezpieczeństwa szedł po omacku, by dotrzeć do jego źródła, którym okazało się zepsute mięso. Włamywacz nie tylko zdemolował kuchnię, ale posunął się do czegoś, co do dziś ciężko było Redfernowi zrozumieć. Na blacie, obok rozkładającego się kurczaka, ktoś zostawił szarą kopertę z tajemniczym napisem, który od tamtej pory nie stał się ani odrobinę bardziej klarowny. Inspektor nie wiedział, co ma „odpuścić” ani dlaczego ktoś wypełnił kopertę dziesiątkami banknotów.

W każdym razie jej zawartość w bardzo krótkim czasie trafiła na konto szpitala, by pomóc sierżantce Lindzie Wall, która właśnie patrzyła na Redferna z przeszklonego hallu eleganckiego budynku.

– Dobrze wyglądasz, Lin – oznajmił, gdy usiedli w perkalowych uszakach w głębi hallu. Pod naporem karcącego wzroku recepcjonistki Redfern wepchnął delikatnie szczeniaka pod siedzenie Lindy.

– Jak zawsze. – Policjantka uśmiechnęła się niepewnie, a jej oczy powędrowały w przestrzeń rozciągającą się za oknem, która zasnuła się nieprzeniknionym pasmem mgły, dając sygnał, że deszcz zakończył swe popisy.

– A jak się czujesz?

– Lepiej, dużo czytam, myślę o życiu – wymieniała beznamiętnie i sięgnęła do ucha Bandita, które zaczęła głaskać. – Dbają tu o mnie, ale wiesz, jak jest.

– Niestety, a może i stety, nie wiem – odparł. – Dlatego przyjechałem.

– Guzik prawda. Przyjechałeś, bo to ty potrzebujesz pytań o samopoczucie. – Spojrzała na niego poważnie. – Więc nie traćmy czasu na zwierzenia narkomanki i mów, co się dzieje, Dave.

– Żebym tylko wiedział – westchnął ciężko, przytłoczony faktem, że Linda z taką łatwością wydobyła to, co w nim siedziało. Pomyślał, że to chyba właśnie dlatego nogi przyniosły go prosto do niej. Patrzył chwilę na jej policzki i nos, który wyglądał, jakby zbyt mocno zanurzyła twarz w kwiecie pomarańczy. Nie można było policzyć rozsypanych wszędzie piegów.

– Nie potrafię nawet znaleźć początku tego kłęбка – powiedział po chwili.

– To go potnij na mniejsze kawałki. – Położyła rękę na jego kolanie i uśmiechnęła się. – No, dalej. Mów, co tam gryzie wielkiego inspektora Redferna, żebyś za chwilę nie wylądował w sąsiedniej celi, to znaczy pokoju – poprawiła się.

– Ktoś mnie szantażuje. – Przypomniał sobie, że nie tak dawno wyznał to samo prokuratorce Bente Hansen. W przeciwieństwie do niej Linda nie



wydawała się zaskoczona. Narkomański zjazd nie pozbawił jej profesjonalizmu.

– Co chce zyskać? – spytała rzeczowo.

– Nie wiem.

– Jesteś w czymś umoczony?

– Nie wiem.

– Jak to, do cholery, nie wiesz? – Poprawiła się nerwowo w fotelu. Kilka głów zwróciło się w ich stronę, ale Linda dała znać, że wszystko w porządku. – To jesteś umoczony czy nie? – zniżyła głos do sykliwego szeptu.

– Wydaje mi się, że Adrian Bones był, a ktoś usiłuje mi przeszkodzić w dotarciu do prawdy.

– David, nie jestem głupia. – Nachyliła się jeszcze niżej. – Nie wmówisz mi, że kasę na moje leczenie miałeś odłożoną z pensji policjanta. To brudna forsa, tak?

– Nie. To była łapówka, ale nie wiem, za co i od kogo. Gość prowadzi jakąś popieprzoną grę i... – Urwał na chwilę. – Porwał Martę.

– Skąd wiesz?

– Problem w tym, że tego też nie wiem. To jest tak powalone, że ja już nie wiem, co jest prawdą, a co moim wyobrażeniem o niej. Wydaje mi się, że kluczem do zagadki jest komputer, który wpadł ostatnio w moje ręce. Ten facet też go szuka.

– To mu go daj i zapomnij o sprawie.

– Tylko jak? – zapytał Redfern. – Gość zamilkł i podejrzewam, że ma to związek z tym, że stracił kartę przetargową.

– Martę?

Redfern nie był w stanie pokiwać głową, bo czuł, że jeśli to zrobi, świat runie pod jego stopami. Ta myśl krążyła wokół niego, odkąd znalazł na progu manekina, którego widok podsunął mu makabryczne skojarzenia.

– Myślę, że gość się przyczaił, bo stało się coś, czego się nie spodziewał, coś spoza jego pola widzenia – oznajmiła z pełną stanowczością Linda. – Pozostaje ci czekać na rozwój wydarzeń. Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, i facet faktycznie trzyma gdzieś Martę, to ma w tym swój dokładnie

sprecyzowany cel. Powiedziałaś, że prowadzi jakąś rozgrywkę, i to jest klucz. Ma to wszystko dobrze przemyślane i skoro jeszcze do tej pory nie dał się złapać komuś takiemu jak ty, to znaczy, że jest naprawdę dobry w tę grę. Nie pozwoliłby sobie na chaotyczny ruch, to pewne.

Spokój Lindy podziałał na Redferna kojąco, słuchał w milczeniu tego, co miała do powiedzenia, i miał nadzieję, że to wszystko okaże się prawdą.

– Jeśli ci to w czymś pomoże – ciągnęła – to nie tylko ty masz problem z Bonesem.

– Jak to?

– Była u nas kobieta, zdaje się, że matka Nathana Wooda. Zrobiła straszną awanturę, ale nie znam szczegółów, bo akurat byłam na spotkaniu z terapeutką.

– Skąd wiesz, że to była ona?

– Plotki szybko się roznoszą, nawet w tak dystyngowanym miejscu jak to. Poza tym po wszystkim parę osób wylądowało na dywaniku, w tym Adekunle Fowora.

– Pielęgniarsz Adriana Bonesa – zamyślił się Redfern, a Linda kiwnęła głową.

– I jego partnera, Nathana Wooda – dopowiedziała, odchylając się na fotelu, jakby bolały ją plecy, ale po chwili znów miała twarz blisko twarzy Redferna. – W każdym razie Fowora już tu nie pracuje, a kij w dupie dyrektorki naszego lunaparku się pogrubiał. Zostały wprowadzone pewne ograniczenia w poruszaniu się po ośrodku, pielęgniarsze nie są już tak serdeczni. Matka tego Wooda musiała powiedzieć coś, co wzburzyło dyrekcję.

– Mam numer Fowory, zapytam, co się stało.

– Może on powie ci coś więcej, ale pewności nie ma, bo wyszedł z budynku bardzo wzburzony, choć gdybym miała położyć na szali swoją odznakę, to powiedziałabym, że kierował nim strach. Według mnie dzieją się tu dziwne rzeczy, Dave. Jest tu na przykład skrzydło, do którego nikt nie ma wstępu. Podobno przebywają w nim pacjenci, którzy potrzebują najwyższego standardu opieki i spokoju.

– Celebryci?

– Nie, ci trafiają do The Life Worksa w Old Woking – zaprzeczyła.

– Byłem tam niedawno przy okazji sprawy małej Wolańskiej – oznajmił Redfern, przypominając sobie wytworne wnętrza ośrodka i zimną wyniosłość jego dyrektorki.

– Wiem, że leżał w nim Adrian Bones. Jest tam jeden pokój z kratami – powiedziała Linda konspiracyjnie.

– Kiedy go odwiedzałem, to nie był to osobny oddział, choć wiem też, że matka nalegała na jakieś środki bezpieczeństwa i może pod wpływem jej nacisków i hojności coś w tej materii zrobili.

– Może. – Linda się zamyśliła. – Na twoim miejscu przejechałabym się do matki Wooda i dopytała o szczegóły tej awantury.

– Nie muszę jechać, bo mieszka kilkaset metrów stąd. Ona wciąż nie może zrozumieć, dlaczego jej ukochany syn wyszedł z ośrodka i mimo że był tak blisko domu, nigdy do niego nie trafił.

Oczy Lindy nagle przygasły, jakby z ust Redferna popłynęło oskarżenie, któremu nie mogła przedstawić żadnego kontrargumentu. Po chwili milczenia powiedziała:

– Pracowałam przy tej sprawie i do tej pory nie umiem wyjaśnić, co się wtedy stało. Gość rozpląnął się w powietrzu. Mam smutne przeczucie, że jego zwłoki już dawno pochłonęły te cholerne mokradła – wskazała zamasyście za okno – ale bardzo chciałabym się mylić.

Wciąż patrząc na horyzont, który zamazywał antracytowy wieczór, wstała i podeszła do witryny, a Redfern zrobił to samo, mając przeczucie, że Linda chce mu jeszcze coś powiedzieć.

– Jeśli wydaje ci się, że Bones nie miał czystych rąk, to zacznij od niego i jego obrzydliwie bogatej rodziny – zasugerowała cicho. – Tylko bądź ostrożny.

– Wiesz, mam wrażenie, że wszystko to stoi na bardzo wątych filarach, które nieustannie drżą, a ja biegam od jednego do drugiego i każdy z nich staram się powstrzymać przed zawaleniem.

– Przeciwnie. – Pokręciła głową. – Według mnie biegasz i potracając każdy z nich, wprawiasz pozostałe w rezonans, a ten facet chce wszystko

zatrzymać, bo wie, że jeśli któraś kolumna się zawali, runie coś bardzo ważnego.

Redfern lubił tę wiecznie odwróconą optykę Lindy i żałował, że nie będzie mógł jej zagwarantować miejsca w policyjnym szeregu obok siebie, choć obiecał sobie, że łatwo się nie podda. Linda najwyraźniej czytała w jego myślach.

– A jak ta nowa? – zagadnęła wesoło, ale jej twarz spochmurniała, zupełnie jakby pytanie miało potwierdzić jakąś niewygodną tezę.

– Summer Winter? – Wzruszył ramionami. – A wiesz, że nawet nieźle. Prawdopodobnie wskoczy na miejsce starego Johanesa w obyczajówce.

– Jak się jest kochanką McMahona, to można wskoczyć nie tylko na McMahona – skwitowała gorzko.

– Nie kochanką, tylko córką – poprawił ją, ale od razu pożałował szczerości.

– Pieprzysz! – syknęła, zasłaniając szybko usta. – To się dopiero jego bogata żonka musiała wkurzyć.

– Chyba jeszcze o tym nie wie.

– Nie chciałabym być na miejscu Gregory’ego, gdy ta chodząca słodycz się dowie. Widziałam ją kiedyś na jakimś policyjnym raucie. Miała na sobie buty droższe niż wszystkie samochody Knightów razem wzięte i obawiam się, że gdy ta rewelacja do niej dotrze, zrobi sobie jeszcze lepszą parę ze skóry McMahona.

– Ode mnie tego nie usłyszysz. Zresztą to nie nasza sprawa.

– Racja. Będę milczeć jak grób – zapewniła z powagą, ale Redfern pomyślał, że informacja ta napełniła Lindę dziwną satysfakcją. Nie mógł tego zignorować.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Linda nieznacznie pokręciła głową i Redfern wiedział, że nic więcej z niej nie wyciągnie.

– A wiesz, że była u mnie Ruth Knight? – Sierżantka ożywiła się nagle.

– Żona komendanta? – dopytał i poczuł się głupio. Już dawno powinien odwiedzić Malcolma Knighta i wesprzeć go w powrocie do pracy. Nie znajdował jednak na to czasu ani siły, choć miał dług wdzięczności wobec

tej rodziny, która przygarnęła go zaraz po wybuchu w jego mieszkaniu. Redfern nie miał nic na swoje usprawiedliwienie i kąsały go teraz wyrzuty sumienia.

– Jak on się trzyma?

– Malcolm? – Linda uśmiechnęła się blado. – Doskonale albo przynajmniej tak twierdzi. Ruth żaliła się natomiast na agentów, którzy nie pozwalają mu dojść w spokoju do siebie. Wiesz coś na ten temat?

– Wiem tylko tyle, że szukając zamachowca, wszystkim przewracają życie do góry nogami.

– A twoje?

– Moje już jest odwrócone, więc może gdybym się z nimi skontaktował, to wróciłoby do normy?

– Wszystko musisz przepuścić przez ten swój sarkazm, co? – zapytała Linda, ale nie czekając na odpowiedź, dodała: – A wiesz, że Malcolm myśli już o powrocie?

– Domyślałem się, że będzie chciał jak najszybciej rzucić się w wir roboty. To chyba najlepsze lekarstwo.

– Widać nie dla ciebie. – Odwróciła głowę w stronę okna i zastygła, wkładając cały wysiłek w to, by nie spojrzeć na Redferna.

– Jak na księżniczkę zamkniętą w smoczej wieży jesteś dobrze poinformowana – zauważył.

– Różni ludzie mnie odwiedzają. To nie więzienie – odparła niemal nieobecna. – Błędny rycerz Puszka też tu był, a wiesz doskonale, jak wielką cnotą jest jego dyskrecja.

Parsknęli cichym śmiechem, ale Linda natychmiast spoważniała.

– Myślisz, że nie da się tego inaczej rozwiązać? Że musisz odejść z policji?

– Długo mocowałem się z tą myślą.

– Może wystarczyłby ci dłuższy urlop? – przerwała mu. – Znajdziesz Martę i co dalej?

– Tu nie chodzi o Martę – odparł szybko. Chciał wylać z siebie swoje obawy o rozwiązanie sprawy Bonesa, o pochłaniającą go depresję, ale uznał, że przyjaźń polega też na tym, by w pewnych momentach

oszczędzać bliskim osobom obciążenia. Po chwili zastanowienia dodał: – Odklepałem matę i uważam, że pora na zmianę.

– Najwyraźniej u mnie też – odparła dziwnym tonem Linda i chwyciwszy go pod ramię, odprowadziła do drzwi.

Wyszedł z The Priory naładowany nie tyle pozytywną energią, którą już dawno przereklamowały media i nawiedzeni coache, ile myślami o działaniu, które nie miało być ani pozytywne, ani energiczne. Linda nie skrytykowała jego decyzji o odejściu z policji ani pomysłów na szukanie Marty, ale dała sygnał, że cokolwiek by się działo, to będzie go wspierać. Wiedział, że w jej stanie nie było na to szans, ale podskórnie czuł, że stał się ważną częścią życia kogoś, kto jest po jego stronie. I to było pozytywne uczucie, choć wiązało się z odpowiedzialnością. Pod powierzchnią świadomości przemknęła mu myśl, że Linda nie mówi mu wszystkiego, ale szybko odrzucił tę odruchową nieufność. Nie chciał zniszczyć nią ulotnego poczucia bycia zrozumianym. Nie teraz, kiedy było mu tak potrzebne.

Długi dzień sprawił, że zmęczenie zaatakowało go, gdy tylko wsiadł do ciepłego samochodu. Aby bezpiecznie dojechać do domu, uchylił szyby i przy akompaniamencie wyjącego w szczelinach wiatru wjechał na Littlewick Road, wciąż myśląc o Lindzie.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Nie miał ochoty rozmawiać z osobą z nieznanego numeru, ale mimo to zjechał na pobocze i odebrał.

– Halo! Pan Redfern? – usłyszał w słuchawce. – Gdzie pan jest? Bo ja tu czekam koło tego triumpha, żeby mu opony wymienić.

Cały spokój Redferna runął w ułamku sekundy. Gorączkowo myślał, jak szybko może dotrzeć na Princess Road.

– Może pan chwilę zaczekać? Utknąłem w korku – skłamał.

– Niech będzie – mruknął niechętnie mężczyzna i rozłączył się.

Van firmy National Tyres stał tyłem do triumpha, a pracownik w czerwonych ogrodniczkach uwijał się przy pace, wyciągając z niej kolejne narzędzia.

– Chyba się panu o mnie zapomniało – zagadnął wesoło, gdy Redfern zbliżył się do auta.

– Niestety. – Inspektor rozłożył bezradnie ręce, nie zamierzając dłużej okłamywać mechanika.

– Nie pan pierwszy. – Mężczyzna roześmiał się i wskazał na triumph, którego lakier w świetle lamp przybrał fioletowawy odcień. – Fajny wózek i ładnie utrzymany. Powinien pan go trzymać w garażu, bo widać, że kogoś w oczy kole.

– Chyba ma pan rację. Będę musiał coś z tym zrobić – zgodził się Redfern, nie wiedząc, czy ma na myśli garaż, czy Palacza. – Zaraz przyniosę opony.

– To ja już zacznę podnosić – oznajmił mężczyzna i kucnął z lewarkiem koło drzwi samochodu. Idąc w dół chodnikiem, Redfern słyszał brzęk metalu i jęk zawieszenia.

Bał się, że po takim długim postoju triumph nie da się namówić na przejażdżkę, ale gdy tylko mechanik odjechał, a kable rozruchowe wylądowały w bagażniku, Redfern mógł się cieszyć równą pracą silnika. Mimo zmęczenia wsadził Bandita na przednie siedzenie i razem pojechali rozkoszować się zanurzonymi w wieczornej mgle Surrey Hills.

Czwartek, 5.12.2013, wieczór

Jechał do domu na oparach sił, ale nie żałował przejażdżki ze starym przyjacielem. Toyota może i nęciła gładkim, lśniącym wykończeniem wnętrza, dynamiką i pazurem, ale jazda triumphem miała dla Redferna zupełnie inny, głębszy wymiar. Siedząc w nim, miał wrażenie, że siedzi w wehikule czasu, który zabiera go wprost do najlepszych momentów życia. Nawet Bandit poczuł tę zmianę nastroju i domagał się uchylenia szyby. Mimo dojmującego zimna David zjechał na parking przy Newlands Corner i spełnił niewerbalną prośbę szczeniaka. Zrobili kółko przez malowniczą nawet o tej porze drogę na Leithill i wrócili do Woking.

Ostatnim wysiłkiem poszedł z Banditem na krótki spacer. Oprócz dojmującej ciemności ich jedynym towarzyszem był porywisty wiatr syjący w twarz tysiące igieł lodowatego deszczu. Zanim zdążyli wrócić, byli przemoczeni i przemarznięci, choć szczeniak nie tracił rezonu i z radością zjadł całą miskę karmy. Redfern pomyślał, że mimo zmęczenia i narastającego bólu musi jeszcze usiąść do komputera, który znalazł u Wolańskiego. Z tym postanowieniem łyknął dwie tabletki naproxenu i poszedł do swojego pokoju.

Stanął w progu i zapalił światło. Poczul się nieswojo i doskonale wiedział dlaczego. Mdły blask zimnej jeszcze świetlówki zalał pomieszczenie, wydobywając z niego widok, od którego David się wzdrygnął. Wystające zza łóżka wykrzywione nogi za każdym razem działały na niego tak samo. Manekin uruchamiał w Redfernie tryby strachu, które paradoksalnie nakręcały wyobraźnię, a paraliżowały działanie. W jego obecności było coś oskarżycielskiego, czego inspektor nie umiał nazwać. Jedyne, czego był w tej chwili pewien, to to, że musiał się go pozbyć przed powrotem Siwiaszczyka. Przez chwilę pomyślał, że może stary glina rzuciłby nowe światło na tę sprawę, ale szybko uznał, że tłumaczenie mu, w jaki sposób lalka znalazła się w jego posiadaniu i do czego tak naprawdę służy, było ponad jego siły. Teraz musiał wymyślić, jak się jej pozbyć. Wywiezienie jej do centrum recyklingu odrzucił od razu, podobnie jak wycieczkę do lasu. Pozostało tylko jedno.

Mimo potwornego zmęczenia zasłonił zasłony i przyniósł z kuchni czarne worki na śmieci. Wyciągnął lalkę i złapał ją pewnie za ramię. Jakaś niewidzialna siła sączyła mu do głowy myśl, że robi coś niestosownego. Dotyk zimnego silikonu był nieprzyjemny, ale Redfern chwycił za nadgarstek i przełamał go mocnym ruchem. Druty, skryte pod jasną skórą, przebiły ją z chrzęstem, obnażając porowate wnętrze. Redfern za wszelką cenę usiłował odgrodzić się od skojarzeń, ale jego mózg absurdalnie podpowiadał mu makabryczne obrazy. Po kilku minutach wyłamywania stawów dłoni wylądowała w worku, po chwili dołączyły do niej druga i kolejno przedramiona oraz ramiona.



Zbliżył się do nóg, ale po chwili wiedział, że nie pójdzie mu tak łatwo. Już nawet guma wydawała się grubsza i twardsza. Poszedł do szopy i pod kurtką przyniósł jedyne narzędzie, które wydawało mu się odpowiednie. Przyłożył brzeszczot do metalu na wysokości kolana. Kilka ruchów wystarczyło, by pokonać warstwę silikonu, ale gdy ostrze wjechało w imitującą staw konstrukcję, Redfern zyskał pewność, że brutalne metody na nic się nie zdadzą. W pokoju Siwiaszczyka znalazł zestaw imbusów i śrubokrętów. Po kilku kwadransach manekin był rozmontowany i spakowany w czarne worki, które Redfern z ulgą wyniósł do kosza.

Nie mając już siły na rozpracowywanie komputera, przebrał się w piżamę i wsunął pod kołdrę, marząc o szybkim zaśnięciu, jednak między nim a snem wyrósł czarny mur myśli. Linda mogła mieć rację, mówiąc, że to on spowodował chybotanie się filarów jakiejś większej sprawy, której początku upatrywał w śmierci Adriana Bonesa. Wiedziony instynktem wstał i znalazł na stole teczkę, którą dostał od agenta Zhenga. Mimo że został naniesiony ołówkiem, napis „Siostra” zdawał się odcinać od podniszczonego papieru jak neon. Redfern spojrział na zegarek i chwilę się zastanowił, ale ostatecznie uznał, że dawna zażyłość daje mu pewną dyspensę, jeśli chodzi o telefony przed północą. Sięgnął po komórkę i wybrał odpowiedni numer. Patricia zdawała się na niego czekać.

– Dlaczego nie jestem zaskoczona? – wypaliła.

– Za to ja jestem. Nie śpisz?

– Powiedzmy, że podobnie jak ty jestem w pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Redfernowi wydawało się, że Patricia je późną kolację.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Tak, Dave, kochałam cię, i tak, wybaczyłam ci – rzuciła sarkastycznie.

– Możesz zakręcić butelkę i iść spać.

– Ja nie o tym. Poza tym wiesz, że nie piję – ofuknął ją. – Słuchaj, czy Adrian mówił ci, nad czym pracował, zanim trafił do The Priory?

– Szukał zaginionych dzieci. Podobnie zresztą jak ty, zanim wypisałeś się z klubu.

Sama mnie do tego zmusiłaś, pomyślał rozwścieczony Redfern, boksując się z myślami, żeby nie wypowiedzieć tego na głos, jednak bardziej niż awantury z byłą narzeczoną potrzebował informacji.

– Dlaczego akurat mnie pytasz o sprawy Adriana? – spytała Patricia. – Jego koledzy z agencji powinni wiedzieć więcej na ten temat.

– Bo pojawiaasz się w aktach jednej z nich – wypalił, nie mając siły na pokrętne tłumaczenia.

– Jak to?

– Patrzę właśnie na jego notatki i widzę skreślony jego ręką wyraz „Siostra”, a jedyną siostrą, jaką miał Adrian, jesteś ty.

– To pewnie przypadek. Nie zapominaj, że mój brat był chory, a to słowo mogło się tam pojawić, bo jakaś część tej choroby kazała mu to zrobić. Nie przywiązywałabym do tego zbyt wielkiej wagi.

– Coś ukrywasz? – przerwał jej.

– Zwariowałeś?

– Znam cię, Pat. Zaintrygowałbym cię tym, jestem pewien. Ty tymczasem miałaś gotowe wyjaśnienie i wyrecytowałaś je jak w szkolnym przedstawieniu. A ja jestem już cholernie zmęczony przedstawieniami. – Redfern czuł, że narasta w nim gniew, który coraz silniej odbija się na każdym kolejnym słowie. – Powiedz mi więc, dlaczego Adrian zapisał sobie, że jesteś niewiadomą w jego dochodzeniu?

Usłyszał w słuchawce nerwowe westchnięcie.

– Powtórzę jeszcze raz: zakręć butelkę i idź spać, Dave.

– Nie piję.

– To zacznij, bo z trzeźwym myśleniem też u ciebie kiepsko – odcięła się i rozłączyła rozmowę.

Redfern wpatrywał się w słowo napisane przez przyjaciela, aż senność zaczęła mu sklejać oczy i uznał, że musi się położyć do łóżka, jeśli nie chce skończyć z głową na biurku.

Czuł, że zasypia, zanim na dobre przyłożył głowę do poduszki, ale obrazy, które podsuwał mu Morfeusz, nie przyniosły upragnionego wytchnienia. Wciąż śnił o katedrze Guildford, o Adrianie Bonesie trzymającym w rękach zakrwawioną Martę. Redfern krzyczał coś, ale

nieustannie zagłuszał go krążący nad strzelistym dachem helikopter. Jak w zwolnionym tempie odbezpieczył broń, ale zanim nacisnął na spust, zimną przestrzeń katedry rozdarł huk wystrzału, po którym ciało Marty spowił mrok.



## ROZDZIAŁ VI

Piątek, 6.12.2013, rano

Samolot miał wylądować koło ósmej. Aby uniknąć porannych korków, Redfern wyjechał z Princess Road, kiedy niebo zasnuwała jeszcze grafitowa noc, a londyńczycy przewracali się w ciepłych łózkach, nie myśląc o kolejnym dniu spędzonym w pracy, z której wychodzili tylko na chwilę, by przespać się w wynajętych klitkach na obrzeżach stolicy. Mijając zjazd na lotnisko Heathrow, który za parę godzin stanie się jednym stalowym zatorem, inspektor myślał o Kennecie O'Malleyu i dzisiejszym pogrzebie. Przed oczami stanął mu stary filmowy kadr, na którym wśród żałobników nieomylny gliniarz dostrzega czającego się za drzewem mordercę i zaczyna się finałowy pościg. Jednak ta historia nie należała do tych spektakularnych spraw z pościgami i strzelaniną. Śmierć starego człowieka, mimo brutalności, z jaką działał morderca, nie obeszła nikogo, choć podobnie jak we wszystkich małych miejscowościach Redfern spodziewał się na pogrzebie tłumu. Po wszystkim pójdą do pubu White Hart, wychylą pintę lub dwie. Przy pierwszej stwierdzą, że Kenneth O'Malley to był fajny chłop, a ośmieleni drugą stwierdzą, że jednak nie. *Another One Bites The Dust*, przyszła mu do głowy piosenka Queen. Redfern czuł też, że zanim to nastąpi, na pogrzebie pośród ulotnie smutnych twarzy będzie ta, która ostania widziała Kennetha O'Malleya żywego.

Blade słońce wychynęło się znad horyzontu. Redfern przeciął rondo przy lotnisku i wjechał w krótki tunel, nad którym rozciągał się pas startowy, by

następnie wylecieć tuż przy kolejnym rondzie.

Umówił się Siwiaszczykiem przy zatoczce do wysadzania podróży, ale uznał, że skoro przyjechał wcześniej, to zostawi auto na parkingu krótkoterminowym i pójdzie po dziadka na terminal.

W hali przylotów panował niekończący się chaos. Ludzie przemieszczali się szybko, co chwilę zmieniając trajektorię, niczym kulki w pinballu. Dopiero kiedy stanął przy korytarzu prowadzącym do odpraw paszportowych, Redfern odczuł ulgę, że świat się wreszcie zatrzymał. Miał przy tym wrażenie, że bierze udział w jakimś flashmobie. Pośród rozbieranego tłumu kilkadziesiąt osób stało w miejscu i wpatrywało się w jeden punkt, z którego wciąż napływali podróżni. Jedni czekali z tłumionymi uśmiechami, inni nie kryli znudzenia, pozostali trzymali przed sobą kartki z imionami, a twarze wyrażały niepokój, czy spośród rzeki głów wypatrzą tę właściwą.

Redfern nie miał wątpliwości, że widzi Siwiaszczyka. W całym tym rozgardiaszu tylko on miał uwieszoną na ramieniu gigantyczną kraciastą torbę. Napięty do granic czerwono-niebieski polipropylen zdradzał, że dziadek spakował do niej pół Częstochowy, a zapach, jaki go otaczał, wskazywał, że nie ominął także mięsnego.

– Co to jest? – Redfern nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Kazałeś se wziąć baraż rejestrowany, to wziąłem – wyjaśnił Siwiaszczyk i poklepał torbę, z której ramienia zwisała zawieszka w kształcie klapka i naklejka Wizzair. – Nie miałem żadnej walizki, to ciotka Jaśka kupiła mi na rynku na Zawodziu taką. Za dychę, a pakowna, że hej! No co, zła?

– Demoniczna – mruknął pod nosem Redfern i wziął torbę od dziadka. Słowo „Zawodzie” na chwilę zadrgało w jego pamięci, ale szybko przebrzmiało, zostawiając niemiłe uczucie niedokończonej myśli.

Dziadek skomplementował nowe opony triumpha i otworzył drzwi. Wrzucił torbę na tylne siedzenie i rozsiadł się na przednim, po czym wysiadł gwałtownie.

– Bambi nalał na siedzenie – skwitował z kwaśną miną.

– Niemożliwe. – Redfern przechylił się i zobaczył mokrą plamę na bocznej stronie siedziska. Wiedział, co się stało. – Nie dosunąłem szyby, a w nocy padało. To tylko deszczówka. Wsiadaj – zachęcił dziadka. Zachodził w głowę, jak do tego doszło, że zapomniał o oknach, ale patrząc, z jaką pieczołowitością Siwiaszczyk mości kurtkę fotel, odpuścił tłumaczenia.

Wyjechali z lotniska Luton, licytując się na przeżyte wydarzenia, a kiedy wystrzelali się z pierwszego entuzjazmu, Redfern nie wytrzymał i zapytał:

– Co mówią lekarze?

– Brzmisz, jakbym miał za pięć minut umrzeć.

– A masz?

– Dawidek, czy ty się dobrze czujesz? – Siwe krzaczaste brwi dziadka niemal się złączyły i Redfern obawiał się wybuchu złości. Zaczął więc ostrożnie:

– Byłem w Centrum Historii Surrey i spotkałem tam jednego faceta, który twierdzi, że pewnego dnia źle się poczułeś. Trochę się martwię.

– A co konkretnie mi wtedy dolegało?

Siwiaszczyk wydobył z podręcznej torby pęto kiełbasy i odłamał z niego solidny kawałek, po czym wepchnął go sobie do ust. Redfern ze zgrozą pomyślał, że zapachu, który właśnie osadzał się na siedzeniach z alkantary, nie usunie żadna pralnia ani nie zamaskuje żadna niemiecka choinka. Nie chciał jednak zwracać dziadkowi uwagi, by jeszcze bardziej go nie denerwować. Tym bardziej że rozmowa wkraczała na coraz bardziej grząski grunt.

– Mówił, że znalazł cię w którejś ciemnej sali w archiwum. – Redfern zawiesił głos, szukając słów, które nie wpędzą staruszka w zakłopotanie. Wreszcie uznał, że owijanie w bawełnę nie ma sensu, i dokończył: – Podobno płakałeś.

– Rany boskie, to pewnie Jeff! – zakrzyknął Siwiaszczyk, wpychając ze złością resztę kiełbasy do torby. – Wszystko przeinaczył ten stary pierdziel! Pewnie, że stałem jak te widły w gnoju w ciemności, bo nie było światła. Przeze mnie, bo się wybrałem z drabiną do sekcji map i zahaczyłem

o świetlówkę. Strzeliła tuż nad moją głową. Starter spadł mi na twarz i trafił tak, że mi świece w oczach stanęły. A ty coś pomyślał?

– Że masz alzheimera – odparł Redfern szczerze i poczuł się głupio, a jednocześnie miał ochotę szeroko się uśmiechnąć.

– Toś jeszcze lepszy od ciotki Jaśki, bo ona akurat myślała, że z prostatą przyjechałem. A u mnie obie głowy mają się dobrze. – Zaśmiał się z prząsnego żartu i klepnął przyjaźnie Redferna w kolano. – Jeszcze mi trumny nie strugajcie, bo nigdzie się nie wybieram, Dawidku. Jeszcze się ze mną pomęczysz.

– Raczej ty ze mną. – Redfern usiłował rozładować napięcie. – Jak na razie nie znalazłem żadnego sensownego mieszkania.

– Nie pamiętam, żebym cię wyganiał z Princess Road, ale może to jednak alzheimer? – zapytał sam siebie. – Dawidzie, zostań tyle, ile trzeba, a jak wróci ta Marta, to ja sobie poszukam jakiegoś *flata*, a wam zostawię tę rudere i męczcie się. – Puścił oko do wnuka, ale widząc jego stężałą twarz, dodał: – Ona się znajdzie, synku, tylko nie trać nadziei i nie wierz we wszystko, co myślisz.



Woking oddychało swobodnie po niedawnym porannym wariactwie. Rodzice zdążyli odwiedzić swoje pociechy do szkół, a zaraz potem zamknęli się w swoich zakładach pracy. Triumph przemknął więc gładko po wąskich uliczkach i chwilę po dziesiątej stali w progu domu. Bandit z miejsca rzucił się na Siwiaszczyka. Redfernowi wydawało się, że jeśli szczeniakowi serce nie wyskoczy z piersi, to z pewnością urwie mu się ogon. Podobne obawy, poza stanem ogona, miał co do dziadka, który klęczał w przedpokoju i nie szczędził pieskowi czułości. Kiedy pierwsza radość minęła, Bandit przystąpił do penetrowania torby, nęcącej go ciekawymi zapachami, które mogły oznaczać tylko jedno: pełny brzuch.



Siwiaszczyk kazał zatargać torbę do kuchni i gdy tylko David postawił ją na płytkach, dziadek począł wydobywać z niej swoje skarby. Obok ubrań, paru egzemplarzy „Angory” i przyborów toaletowych na stole pojawił się stos woreczków i zawiniątek z folii aluminiowej. Stary milicjant rozwijał każdy z nich, prezentując Redfernowi zawartość i dzieląc się nią z Banditem. Kolejne plastry znikwały w pysku psa, ale inspektorowi nie chciało się komentować złamanej diety.

– Ciotka grzybów nasuszyła. – Siwiaszczyk z lubością podniósł na wysokość oczu woreczek pełen brązowych kawałków, które przypominały połupane korzenie drzew. – I chlebek mam jurajski! Na wieczór nasmażę kaszanki z cebulką, co ty na to?

– Tu też są wędliny i chleb – skwitował Redfern kwaśno ten róg obfitości, zachodząc w głowę, jak to się stało, że nie zainteresowała się nim straż graniczna.

– Ale nie takie! – fuknął Siwiaszczyk, ale zaraz dodał łagodniej: – Coś ty taki marudny, Dawidku?

– Zaraz muszę lecieć na komendę – wykręcił się Redfern.

– Byłem taki sam jak ty – powiedział z rozmarzeniem dziadek. – Tylko praca, dochodzenia, komenda. Nawet stojąc przed ołtarzem, nie przestajesz być policjantem. Bez tego nie istniejesz.

To ciekawe, co powiesz na wieść o mojej rezygnacji, pomyślał cierpko Redfern, zyskując pewność, że czeka ich trudna rozmowa. Postanowił odłożyć ją na później, bo właśnie w tym momencie Siwiaszczyk wydobył z torby ostatnią zdobycz, która najwyraźniej sprawiła mu największą radość, a która wywołała w Redfernie skojarzenie z gangiem Peaky Blinders.

– Wybierasz się do Birmingham? – zapytał z uśmiechem dziadka, gdy ten wręczył mu kaszkiet we wzór, który pokolenie Siwiaszczyka nazwałoby pepitkiem.

– To dla ciebie! – Staruszek pękał z dumy, a Redfern starał się ze wszystkich sił, by uśmiech nie spelzł z jego twarzy.

– A z jakiej to okazji?

– Mikołajek! – wypalił mężczyzna. – Opatul tę łysinę, bo zima za pasem! A tu masz jeszcze szalik od Świętego Mikołaja, to znaczy od ciotki Jaśki, ale skoro mamy szósty grudnia, to niech będzie, że od Mikołaja.

Redfern podziękował za prezenty i w milczeniu się im przyglądał. Mikołajki były czymś, co pogrzebał wraz z matką, która z tej okazji również robiła im drobne upominki. Pamiętał, że rano znajdował w butach małą paczuszkę ze słodyczami, czasem skromną zabawką. Antonina Redfern mówiła wtedy, że w nocy był u nich Święty Mikołaj i że musieli być z Dominique bardzo grzeczni, bo inaczej zostawiłby im różgi. Pamiętał też, że nie mógł zrozumieć, dlaczego oni dostają prezenty dwa razy, a reszta dzieci ze szkoły tylko w święta. Postanowił zapytać o to dziadka, który odpisał mu w liście, że Mikołaj ma dużo pracy, więc obdarowuje polskie dzieci wcześniej, a że są bardzo grzeczne, to jeszcze zleca aniołom, by pod choinką też znalazły jakiś podarek. Po zniknięciu siostry Davida staruszek w czerwonym płaszczu nigdy więcej nie przekroczył progu Redfernów, a on uznał, że widocznie przestał być grzeczny.

Z zamyślenia wyrwał go głośny szelest. Bandit ochoczo wpakował się do kraciastej paszczy bazarowego krzyku mody i łypał na mężczyzn wesoło.

– Bambi też dostał prezent od Mikołaja. Zobacz, jak mu się podoba moja nowa torba. – Dziadek się ucieszył. – Od teraz będziemy z nią podróżować, co, piesku?

Po moim trupie, pomyślał Redfern.

W gruncie rzeczy był szczęśliwy, że Siwiaszczyk wrócił cały i zdrowy. Niepokojem napawało go jednak brzęczące w głowie pytanie: czy w archiwum ktokolwiek poprosiłby starego człowieka o noszenie drabiny?

Piątek, 6.12.2013, południe

Redfern możliwie cicho uchylił furtkę i wąską ścieżką podszedł pod mur cmentarza. Mimo dmącego wiatru złoty smok na wieży kościoła

pozostawał nieruchomy i wciąż zdawał się z wyraźną dezaprobatą zerkać w dół, gdzie przy otwartym grobie znajdowali się oparta o wózek inwalidzki Caroline Bevan i siedzący na nim Albert O'Malley. Przez chwilę inspektor pomyślał, że przyszedł za późno, ale obecność modlącego się pastora rozwiała wątpliwości. Redfern zbliżył się do tego najżałośniejszego konduktu żałobnego i skinieniem głowy złożył obecnym nieme kondolencje. Stanął koło trumny, która nosiła na sobie srebrzyste ślady niedawnego deszczu. Z tej odległości widział tysiące własnych małych odbić. Próbował wsłuchać się w słowa modlitwy, ale nigdy nie był religijny. Nie miał potrzeby racjonalizowania zdarzeń, które działy się niezależnie od tego, na jakim etapie oddalania się od wiary był. Żadne też recytowanie pacierzy nigdy go nie przekonało o istnieniu siły wyższej, a kiedy wstąpił do policji, utwierdził się w przekonaniu, że jeśli cokolwiek kieruje życiem człowieka, to są to raczej siły niskie, a nawet pierwotne.

Dzisiejsza pustka koło grobu O'Malleya wzięła się z takich sił – z nienawiści, zazdrości albo zwykłej chciwości. Kochaj bliźniego swego jak siebie samego, Redfern przypomniał sobie zdanie często wypowiedane przez matkę, które małemu Davidowi jawiło się jako łatwa do zapamiętania rymowanka. Dziś rozumiał je inaczej: zacznij od siebie, a pokochasz innych. Teraz, stojąc nad samotnym grobem człowieka, który przeżył w tym miasteczku całe życie, Redfern doszedł do wniosku, że ludzie w Pirbright nie kochali siebie. Zastanawiał się jednocześnie, czy całym swym życiem Kenneth O'Malley zasłużył, by tak właśnie odejść – w ołowianym milczeniu społeczności, której blisko siedemdziesiąt lat był częścią. Szacunek fachowca i sąsiada okazał się niewystarczającą walutą.

Redfern usłyszał stłumiony kaszel dochodzący od strony kościoła. Dopiero teraz zauważył, że za nimi w pewnej odległości zatrzymał się Jack. Syn Kennetha nerwowo zerkał na telefon i inspektor pomyślał, że mężczyzna musi niepokoić się o chłopca, którego zapewne zostawił pod opieką kogoś obcego. Gdy poczuł na sobie wzrok policjanta, ruszył w jego stronę, a Redfern odsunął się od trumny na kilkanaście kroków.

– Nie chciałbym tak odejść – wyszeptał Jack, gdy tylko zbliżył się do inspektora.

– Myślę, że nie ma pan na to szans – odparł Redfern, mając na myśli, że ktoś, kto poświęcił tyle dla drugiego człowieka, będzie przez innych doceniony, choćby miało to nastąpić dopiero po śmierci.

– Myślę, że przede wszystkim nie mam na to wpływu. Wie pan, przyjaźnie są jak długopisy. Mamy ich dziesiątki, a działa może kilka.

– Dobrze powiedziane.

– Jakaś kolejna durnota z Fejsa. – Jack wzruszył ramionami i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale dobiegło ich wymowne chrząknięcie Caroline Bevan i obaj umilkli, zagłębiając się we własnych myślach.

Po ostatniej modlitwie pastor zamknął czarną książeczkę i przeżegnał się, po czym bez słowa odszedł w stronę zakrystii, dając po drodze milczący znak grabarzom, że mogą przystąpić do ostatniej części pogrzebu. Jego zacięta twarz ani na chwilę nie zwróciła się ku żałobnikom i Redfern zastanawiał się, czy pastor potępia przybyłych, czy nieobecnych.

Głuche pacnięcia brunatnych grud przywodziły na myśl groźne pomruki nadciągającej burzy. W miarę jak trumna znikwała pod kolejnymi warstwami ziemi, Caroline Bevan zdawała się coraz bardziej zapadać w sobie. Ze spirali cierpienia wyciągnęła ją dłoń Jacka O'Malleya. Podszedł do kobiety i objął ją ramieniem, w którym natychmiast zniknęła jej twarz. Syn Kennetha nie wydawał się tym zbytnio zaskoczony i odwzajemnił uścisk, choć jego twarz zastygła w nieokreślonym wyrazie. Redfern był pewien, że patrzy na wózek, którego koła coraz mocniej zapadały się w grząskiej ziemi.

– Zabierz mnie stąd – rzucił ostro Albert O'Malley, a Caroline posłusznie rzuciła się do wózka i spróbowała wypchnąć go z błota. Jack dotknął uchwytów, ale Albert nie przestawał dyrygować.

– Od ciebie nic nie chcę, bękarcie – warknął mężczyzna.

– Jestem jego synem – oznajmił butnie Jack.

– Przestałeś nim być w momencie, w którym twoja matka wyszła za próg domu. A o tym, jak daleko upadłeś od rodzinnego gniazda, może świadczyć ta twoja... – Urwał, a twarz wykrzywiła mu pogarda, po czym dokończył: – Twoja żona.

Przez chwilę Redfern miał wrażenie, że wiatr nagle umilkł. Jednak on po prostu był niczym w porównaniu z ciężkim oddechem Jacka O'Malleya. Kolejny podmuch rozpostarł poły płaszcza mężczyzny, nadając mu demoniczny wygląd, i Redfern pomyślał, że syn Kennetha zaraz rzuci się na starca. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego powiedział:

– Będiesz tego żałował.

Po czym odwrócił się gwałtownie i ruszył w dół ścieżki. Wszyscy w niemym zdziwieniu patrzyli, jak znika za pomnikiem sir Henry'ego Mortona Stanleya, a Redferna wciąż uwierało przeczucie, że zniknięcie to nie było tylko symboliczne i faktycznie za tym głazem od lat czai się mrok, który pochłania ludzi.

Z niewyjaśnionych przeczuc ostrym sygnałem wydobyła go rzeczywistość. Na ekranie komórki zobaczył krótki komunikat od Summer Winter: „Zebranie”.

Piątek, 6.12.2013, popołudnie

Obecność zastępcy komendanta mocno go zaskoczyła. Aby nie dać tego po sobie poznać, przywitał się z nim serdeczniej, niż wymagała tego biurowa etykieta. McMahan odwzajemnił uścisk dłoni, a przez jego twarz przemknęło coś, co Redfern nazwałby zakłopotaniem. Po komendzie chodziły słuchy, że Greg McMahan nie sprawdził się jako szef, i każdy czekał już na komendanta. Jednak choć Malcolm Knight wyszedł ze szpitala w dość dobrym stanie, to Redfern nie spodziewał się go zbyt szybko w biurze z widokiem na Approach Station. Po obecności Grega w sali konferencyjnej wnioskował, że może jednak powrót króla jest bliższy, niż mu się wydawało.

To samo musiała pomyśleć sierżantka Winter, która wbiła wzrok w obu policjantów. Nie była skrupowana tym, że McMahan z niechęcią zajął ostatnie wolne miejsce, akurat przy niej. Przeciwnie. Przez ułamek sekundy

Redfernowi przywidziała się na jej twarzy duma, którą mógł albo zagasić, albo też podgrzać. Mógł też wybrać trzecie wyjście i to właśnie zamierzał zrobić.

– Mam kilka zdjęć, które usiłowałam zabrać z archiwum Kenneth O'Malley – oznajmił donośnie i rozdał wszystkim odbitki, które wydrukował przed zebraniem. – Przyjrzyjcie się im i powiedzcie, co na nich jest.

Policjanci przekazywali sobie z rąk do rąk komplety zdjęć i w ciszy je analizowali. Redfern usiadł za stołem i czekał. Za oknami znów przemykały okradzione z ciepła, chude promienie słońca. Zamiast odbijać się ostrym rykoszetem od oświetlanych powierzchni, zdawały się przysiądać na murach i parapetach z nadzieją, że uda im się od nich ogrzać.

– Może coś w nich jest – zaczęła ostrożnie Summer – ale mnie bardziej zainteresował prospekt sprzedażowy Furzehill Place. W tym z dwa tysiące drugiego wydaje się, że są zdjęcia wszystkich pomieszczeń posiadłości Stanleya. Dopóki nie otworzymy katalogu z dwa tysiące dziesiątego. Tam widzimy elegancko wysprzątaną strych. Dlaczego nie pojawia się wcześniej?

– Brawo, Summer – pochwalił ją inspektor, ale ona nie odwzajemniła entuzjazmu. Natomiast McMahon uśmiechnął się pod nosem.

– Dowiesz się, co działo się ze strychem przez te osiem lat – kontynuował Redfern rzeczowo. – Może coś na nim znajdziemy. Puszka, czy Ted przekazał jeszcze jakieś rewelacje odnośnie do denata? Nie mam pełnego raportu.

– I chyba szybko go nie dostaniesz, bo Ted poleciał do Szkocji. Było włamanie do jego domu letniskowego.

Redfern wolno pokiwał głową. Patolog nie podlegał jego zwierzchnictwu i nie musiał go powiadamiać o swojej nieobecności. Inspektor poczuł jednak lekkie ukłucie żalu, że nikt go o tej sytuacji wcześniej nie poinformował. Miał przestać być częścią zespołu i to był jeden ze znaków, że ten czas nadszedł. Siwiaszczyk miał rację, nigdy nie przestanie być gliniarzem.

– Coś zginęło? – zapytał.

– Pewnie powie nam, jak wróci – odparł Puszka.

– OK, to podsumujmy, co mamy.

– Wiemy, że gdzieś w tej wiosce jest morderca. – Summer podchwyciła temat. – Sugeruje to ukrycie zwłok w kompostowniku, o którym mógł wiedzieć tylko mieszkaniec Pirbright. Morderca wiedział, że tam jest i że nikt nie będzie mu przeszkadzał w umieszczeniu w nim Kennetha, bo pastor był w Furzehill Cottage. Stawiałabym na najbliższe otoczenie ofiary.

– Pastor, Kalulu i syn ofiary mają alibi, budowlańcy nie mieli motywu albo jeszcze go nie znaleźliśmy – odparł Redfern. – Puszka, pogrzebiesz głębiej w ich życiorysach. Szczególnie interesuje mnie ten Stefan. Wciąż zatem podejrzana jest cała wiocha, więc zastanówmy się, kto najbardziej zyskiwał na śmierci O'Malleya.

– Nikt albo wszyscy – podrzuciła Summer i inspektor musiał jej przyznać rację. Jego śmierć mogła być na rękę wszystkim mieszkańcom Pirbright, którzy chcieli rozwoju miasteczka, a ciągnące się w nieskończoność batalie sądowe mogły te marzenia jeśli nie skreślić, to poważnie odsunąć w czasie. Redfern nie mógł jednak uwierzyć w takie rozwiązanie i motyw. Coś znacznie mniejszego wciąż stało w cieniu tych wielkich spraw i inwestycji i przez to nie mógł tego dostrzec.

– Wiemy, że niedługo i tak by umarł – oznajmił niespodziewanie McMahan, przypominając reszcie, że O'Malley zmagił się z chorobą Pageta i rakiem. – Morderca mógł poczekać na śmierć Kennetha.

– Morderca najwyraźniej tego nie wiedział – wtrącił Redfern – co wyklucza Caroline Bevan, która była z Kennethem blisko i mówiła mi, że jest schorowany. Zresztą ona akurat była po stronie O'Malleyów, bo dzięki nim miała zajęcie – oznajmił. – Moim zdaniem O'Malley zbliżył się do jakiejś prawdy na tyle, że stał się niebezpieczny. Pytanie: dla kogo.

– Trzeba prześwietlić wszystkich od początku – zawyrokował McMahan.

– Skoro Kenneth, poza ojcem i tą Bevan, nie miał przyjaciół, to kto zostaje?

– Tajemnicza rada parafialna – oznajmił Redfern, chociaż cały czas nie był przekonany do motywu majątkowego. – To jej członkowie ułatwili przejęcie ziem O'Malleya.

– A o co dokładnie chodzi z tą ziemią, bo czegoś tu nie łapię? – dopytał McMahan i Redfern zauważył, że nie jest osamotniony w swych

wątpliwościach. – Dzierżawa wygasła, ziemię miała prawo przejąć gmina. Czy był jakiś sposób, by bez pieniędzy to jakoś odwrócić?

– Na to pytanie znał chyba odpowiedź denat – mruknął Puszka.

– Albo morderca – dobitny głos Summer poniósł się po sali i Redfern zauważył parę kiwających głów. Nie chcąc przedłużać, klasnął w dłonie i rzucił:

– OK. W takim razie wiecie, co robić. Widzimy się w poniedziałek w południe. Nie zmarnujcie tego czasu – powiedział stanowczo i wyszedł.



Wszedł do swojego biura i zatrzasnął drzwi, dając reszcie do zrozumienia, że nie życzy sobie teraz odwiedzin. Stanąwszy przy oknie, wyciągnął komórkę i wybrał numer Teda, który odebrał dopiero po drugiej próbie połączenia.

– Niezmordowany jesteś, jak się na coś uprzesz – przywitał się Ted.

– Chciałem się dowiedzieć, co się stało.

– Zaniepokoiłeś się, bo nie dostałeś pełnego raportu? W przeciwnym razie zaczynam się o ciebie martwić, bo troska nie leży w twojej naturze. – Zarechotał.

– Mogłeś to zlecić asystentowi czy on też robi sobie wakacje, jak jego szef?

– Dopiero wrócił z wakacji – burknął Ted, tracąc rezon. – Pewnie zaraz ci podeśle wyniki swojej żmudnej pracy.

– No to jak było z tym włamaniem? – zapytał Redfern, zniecierpliwiony unikami Teda. – Zauważyłeś coś szczególnego? Co powiedziała policja?

– Nie wzywałem policji, bo nie zginęło nic wartościowego, dosłownie parę rupieci, które łatwo sprzedać na złomie czy innym ebayu – mówił niechętnie. – David, nie panikuj, do tych domków non stop się ktoś włamuje. Gdyby nie sentyment, sprzedałbym to w cholere. Tylko kłopot. – Bagatelizował. – A ty pewnie myślisz, że jestem kolejnym trofeum, jak ty



i Knight? Niedoczekanie tego pajaca, co to krążą o nim słuchy, że poluje na gliny! Poza tym jeśli to on się włamał, to czuję się urażony. Ty przynajmniej miałaś solidne fajerwerki, a komendant *all inclusive* w szpitalu St. Peter. – Ted zaśmiał się odrobinę za głośno.

– Mimo to uważaj, OK?

– David, to zwykły zbieg okoliczności.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – odparł Redfern z naciskiem na pierwsze słowo.

– A ja owszem, bo dziwnym zbiegiem okoliczności kończy mi się bateria, a zza rogu wyłoniła się urocza kobieta, która właśnie weszła do pubu, w którym zwykłem jadać witlinka, właśnie mamy sezon. Przypadek?

– Miej oczy otwarte, dobra?

Odpowiedziała mu cisza, którą przerwało pukanie. Redfern odłożył telefon na biurko i zaprosił do środka stojącą w progu Summer.

– Co to miało być? – zagrzmiała, zamykając za sobą drzwi.

– Nie bardzo rozumiem.

– Podsunąłeś mi te prospekty Furzehill, bo wiedziałeś, że od razu zobaczę różnicę w zdjęciach – warknęła, górując nad nim. – Nie potrzebuję tanich sztuczek, żeby zapracować sobie na miejsce u boku słynnego inspektora Redferna. Nie próbuj mnie ośmieszać.

– Przypomnę ci, że pracujesz na przejęcie wydziału Johanesa – upomniał ją. – Jeśli McMahan wróci na stary stołek, a możesz być pewna, że wróci szybko, to może być mały ambaras. Dobrze by było, żebyś miała się czym pochwalić, choćby to miały być tanie sztuczki, a teraz usiądź, proszę, bo chcę pogadać.

– Słucham – mruknęła niechętnie, ale Redfern wiedział, że pierwsza złość już z niej zeszła i mogą zacząć pracować.

– Wiemy, że coś się wydarzyło na przestrzeni tych ośmiu lat, o których rozmawialiśmy w konferencyjnej. W dwa tysiące drugim roku nie wiedzieć czemu nikt nie kupił Furzehill Place. Przy tego typu posiadłościach zaważyć mogły tylko dwie rzeczy: cena albo wada prawna. W każdym razie w czasie, gdy pojawia się druga oferta sprzedażowa Furzehill, zaczyna się batalia O'Malleya o ziemię, a na sprzedaż nie zostaje wystawiona cała

posiadłość, bo Furzehill Cottage dostaje Kalulu M’Hali. To się jakoś przecina, ale jeszcze nie wiem jak.

– A te pocztówki? – zapytała Summer, choć wciąż nie pozbyła się ostrego tonu.

– Bez związku. Myślę, że kradnąc je, O’Malleyowi chodziło o pamiątkę.

Summer wyglądała na nieprzekonaną. Wyciągnęła z torby materiały, które dostała od Redferna w konferencyjnej.

– A to? – Wskazała na odręcznie skreślone pozdrowienia i post scriptum.

„Nadałam naszej sprawie bieg, Kochany. On wierzy. M. będzie zabezpieczony”.

– Co to za M., o którym mowa? Kim był Mr. M., do którego została nadana? – rzuciła pytaniami, ale Redfern nie reagował. – Pocztówka pochodzi z lat pięćdziesiątych, adresat pewnie już nie żyje.

– Skupmy się na Furzehill i jego tajemnicach – powiedział w końcu.

– Myślisz, że to mogło kogoś popchnąć do morderstwa staruszka? – zastanawiała się na głos Summer. – Wszyscy o nim mówią, że był nieszkodliwy. Może trochę mruk, ale raczej niegroźny. Może wcale nie chodziło o ziemię, ale o to, co na tej ziemi stało?

– Myślę, że odpowiedź na to pytanie możemy znaleźć tylko w jednym miejscu – odparł Redfern i wstał zza biurka. – Jedziesz czy dalej będziesz się dąsać?



W szarości popołudnia Furzehill Place zdawało się jeszcze wyraźniej zaznaczać swą wyższość nad Pirbright. Po przekroczeniu kutej bramy, która z dyskretnym szmerem ustąpiła przed nimi, Summer nie mogła oderwać oczu od kamiennego masywu willi.

– Ale chata – skwitowała, próbując ogarnąć wzrokiem strzelisty dach wieży, a jej nos prawie dotykał podsufitki triumpha.

– Prawdziwa perełka – przyznał Redfern, który również był pod wrażeniem posiadłości i nie miał zamiaru tego ukrywać przed policjantką. Pomyślał, że im więcej jest go na zewnątrz świata, tym mniejsza pustka gorzej w nim samym.

– Nie wiem, czy jesteśmy godni tych progów – rzuciła cicho sierżantka, kiedy wchodzili po kamiennych stopniach.

– Nie jesteśmy – odparł Redfern, czym wywołał lekkie rozciągnięcie ust Summer.

– A ten tutaj? – szepnęła, wskazując drzwi, przez które właśnie wychodził niski człowiek z torbą lekarską. Wytarta na łokciach marynarka opięła się na zgarbionych plecach.

– Zaraz się dowiemy – powiedział inspektor, po czym zwrócił się do mężczyzny: – Dzień dobry, policja Surrey. Czy coś się stało? – Wskazał na torbę.

– Nie, nie – zmieszał się. – Jestem lekarzem rodziny Stanleyów, nazywam się Gladstone. To tylko rutynowa kontrola. Ród Stanleyów jest nie do zdarcia. – Zaśmiał się sucho i nieprzyjemnie, po czym zaczął schodzić ze schodów.

– Pan Michael czeka w stajni. – W drzwiach nagle stanął lokaj. – Zaprowadzę państwa.

– A czy mógłbym najpierw porozmawiać z Lady Celią? – Redfern nie dał się zbyć.

– Obawiam się, że bez wcześniejszej zapowiedzi to niemożliwe – zachnął się Stu, a jego twarz wyrażała wyższość, jeśli nie pogardę.

– Czy to ma coś wspólnego z wizytą pana doktora?

– Absolutnie nie. Lady Stanley ma swoje standardy, proszę pana.

– Oczywiście – wycofał się Redfern. – Proszę nas zaprowadzić do pana Stanleya.

Stajnia Stanleyów różniła się od tej, której właścicielem był Kenneth O'Malley, ale Redfern pomyślał, że tutaj przewaga polegała wyłącznie na pieniądzech. Zarówno na Vine Hill, jak i tu konie miały błyszczące grzywy i bystre oczy, choć u Kennetha zakładano im uzdy z gorszych skór, a na siodłach nie widniało logo Hermèsa.

Sir Michael z kolei nie różnił się od mężczyzn, których Redfern widział w pubie White Hart. Odróżniał go jedynie strój, za którego cenę mógłby kupić połowę tamtego przybytku. Miał piegowatą, okrągłą twarz, która kogoś Redfernowi przypominała, ale nie umiał sobie uzmysłwić kogo. Przywitał się z policjantami mocnym uściskiem gorącej dłoni i poprowadził ich na zewnątrz, za co inspektor był mu wdzięczny. Zapach panujący w stajni dziś wyjątkowo drażnił jego nozdrza.

– W czym mogę państwu pomóc?

– Chodzi o Kennetha O'Malleya. Może pan coś o nim powiedzieć?

– Tak, O'Malley pracował czasem u nas. Miał niesamowitą rękę do zwierząt i kiedyś często go zapraszaliśmy do naszych stajni.

– Dlaczego kiedyś? Co się zmieniło?

– Zwariował. Nic innego nie robił, tylko grzebał w starych dokumentach, mówił, że szuka skarbu. Przyłapaliśmy go kiedyś, jak spaceruje w okolicy jeziora z wykrywaczem metali!

– Powiedział, jaki to skarb? – Redfern się zaciekawił, bo pierwszy raz od dawna ktoś powiedział o Kennecie coś innego niż wszyscy.

– Naprawdę nie mam pojęcia. – Sir Michael pokręcił głową z głębokim przekonaniem, ale i udawanym smutkiem, czego Redfern bardzo nie lubił u wyższych sfer.

– A może chodziło o to, co znaleźliście państwo na strychu posiadłości? – podpowiedział inspektor, a z twarzy Stanleya spelzła sztuczna troska, którą natychmiast zastąpiło równie plastikowe rozbawienie.

– Państwu zapewne chodzi o te rupiecie?

– Jak to możliwe, że nikt wcześniej ich nie odkrył?

– Zostały znalezione całkiem przypadkiem, przy oględzinach domu.

– Oględzinach?

– Tak, Furzehill ma wady konstrukcyjne, które uniemożliwiły sprzedaż. Należało je naprawić, ale nie chcieliśmy więcej inwestować w tę posiadłość. Mamy swoje priorytety, panie inspektorze.

Nazywają się dziura w budżecie, pomyślał Redfern.

– No dobrze – powiedział na głos. – Jak zatem odkryto ten strych?

– Jak już nadmieniałem, dom wymagał oględzin. Zleciliśmy je firmie budowlanej, która zna się na starych konstrukcjach. Potrzeba było dokładnego sprawdzenia każdej tregry czy więźby. Tak oto dotarło do zamkniętego od stu lat strychu, gdzie sir Henry Stanley, mój pradziadek, ukrył pamiątki ze swych wypraw.

– Co się stało z tymi rzeczami?

– Trafiły do Christie's. Najstarszego i najbardziej prestiżowego domu aukcyjnego na świecie. – Michael chętnie się każdym słowem.

– Podobnie jak w przypadku pierwszych pamiątek, których właścicielem był syn Henry'ego Stanleya, rząd nie był zainteresowany odkupieniem tych rzeczy?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że nie.

– Czy orientuje się pan, dokąd trafiły rzeczy pana pradziadka?

– Oczywiście – odparł i ledwie zauważalnie się napiął. – Większość z nich dołączyła do zestawu ofiarowanego przez stryja mojego ojca, Denzila Stanleya, i znajduje się w Belgii, w tamtejszym Muzeum Afryki Środkowej.

Denzil miał hojniejszy gest, pomyślał Redfern. A może chciał się pozbyć wszystkiego, co przypominało mu ojca, wokół którego narosły nieprzyjemne legendy.

– Więc twierdzi pan, że najlepszy dom aukcyjny na świecie zainteresował się rupieciami, a te z kolei zakupił belgijski rząd? – Summer nie wytrzymała.

– Nie tylko twierdę, ale tak właśnie było. Te aukcje były jawne, część z nich do dziś można obejrzeć w internecie. I muszę pani wyznać, że w zasadzie osiągały kwoty niższe, niż ja przeznaczam na cele charytatywne – rzekł zde gustowany, ale Redfern był pewien, że niechęć wynikała nie z niskich cen, ale z impertynencji sierżantki. W jej pytaniu było coś, co rozdrażniło Stanleya.

– Proszę mi zatem wyjaśnić, dlaczego nie kupił ich rząd Wielkiej Brytanii? – drążył dalej Redfern.

– Z powodu kontrowersji, które urosły wokół postaci mojego pradziadka. Tutaj jednak jestem zmuszony odesłać państwa do literatury historycznej.

– Dlaczego?

– Po pierwsze dlatego, pani sierżant, że nie mnie oceniać wydarzenia sprzed wieku, a po drugie mam dość napięty rozkład dnia i muszę pilnie wyjechać.

– W takim razie ostatnie pytanie. Pani Celia powiedziała, że pastor nie jest...

Michael odwrócił się zbyt szybko, by ukryć grymas niezadowolenia, który przykrywał teraz uśmiechem.

– Moja rodzina od ponad stu lat bardzo chętnie i hojnie wspierała Kościół. Jednak moja matka zawsze stała w opozycji do reszty świata. Pewne wartości pozostaną dla niej niezmiennie.

– Więc chodzi wyłącznie o przekonania?

– Jak w każdym starciu religijnym, pani sierżant – odparł beztrąsko. – A teraz państwo wybaczą. – Ukłonił się w taki sposób, że żadna fałda nie naruszyła nienaganności jego marynarki. Redfern był pewien, że takich sztuczek uczą wyłącznie w prywatnych szkołach, z chesnym po cztery tysiące za miesiąc.

– Myślisz, że więcej osób było zainteresowanych tym skarbem i dlatego Kenneth zginął? – zapytała Summer.

– Jestem pewien pierwszej części twojego pytania, pani sierżant, co do drugiej mam co najmniej wątpliwości.

– Zaraziłeś się kijem w dupie od sir Michaela? – Roześmiała się i wymierzyła Redfernowi solidnego kuksańca.

– Nie, ale chyba znaleźliśmy ludzi, dla których niewygodny był zarówno Kenneth, jak i pastor.

– Nie nadążam.

– Mówiliśmy na początku, że to musi być ktoś, kto miał na pieńku z oboma mężczyznami. Świadczy o tym chęć skierowania podejrzeń na pastora. Stanleyowie z niewiadomych przyczyn nie przepadają za Addisonem, a jednocześnie Kenneth grzebie w ich przeszłości.

Nagle tuż obok przejechał bentley mulsanne, którego nazwa nawiązywała do słynnej sześciokilometrowej prostej wyścigu Le Mans. Redfern zareagował błyskawicznie. Podniósł palce do ust i zagwizdał. Limuzyna

zatrzymała się natychmiast, a inspektor podbiegł do niej i odczekał, aż opadnie jedna z lustrzanych szyb i odsłoni twarz sir Michaela. Kiedy to nastąpiło, inspektor wypalił:

– To już tylko formalność – powiedział, siląc się na obojętny ton, i wyciągnął z kieszeni notatnik. – Gdzie pan był w noc morderstwa?

– A co to był za dzień? – Michael uniósł jedną brew, nie zdradzając zdenerwowania.

– Noc z soboty na niedzielę.

– Stu, czy możesz mi przypomnieć, gdzie byłem w minioną sobotę?

– W Les Ambassadeurs, o ile mnie pamięć nie myli – odparł starszy mężczyzna, odchylając się na siedzeniu tak, że Redfern mógł zobaczyć jego nieprzeniknioną twarz.

– Ależ oczywiście! Proszę sprawdzić, inspektorze, a tymczasem żegnam.

– Skłonił się głową i dał szoferowi znak do odjazdu.

– Nie omieszkam – odparł Redfern, ale zdanie utonęło w chrzęście opon.

– A zatem ma alibi.

– W tym kasynie nawet Ted Bundy mógłby mieć alibi, ale Michael nie wygląda na kogoś, kto chciałby pobrudzić wypacykowane dłonie.

– Skreśliłeś sir Stanleya, reszta składu Furzehill to stare pierdziele, a mimo to uważasz, że warto węszyć wokół tej rodziny?

– Mimo to uważam, że muszę się wybrać do Londynu.

– Do kasyna?

– Lepiej.

Piątek, 6.12.2013, wieczór

Redfern nie zdążył się przyjrzeć wyłożonym tkaniną ścianom, na których zgromadzone zostały dzieła pędzli najznakomitszych malarzy. Mimo że sztuka nigdy nie była jego pasją, potrafił docenić sztukę, z jakim otaczające go obrazy zostały stworzone. Ku swojemu zaskoczeniu część z nich

kojarzył, innym był nawet gotów przypisać twórców. Gdzieś przeczytał, że najlepsze aukcje to właśnie te odbywające się w grudniu i wtedy można tu zobaczyć prawdziwe unikaty. To, co widział, zdawało się to potwierdzać.

– Pan policjant, jak mniemam?

Nie, doktor Livingstone, miał ochotę odpowiedzieć. Zamiast tego wyciągnął legitymację i podał mężczyźnie, który wyszedł mu na powitanie.

– Inspektor David Redfern, policja Woking.

– Gaston Corbin – przedstawił się mężczyzna i lekko się skłonił. – Zostałem oddelegowany, by odpowiedzieć na pańskie pytania dotyczące kolekcji z Furzehill.

Redfern w myślach powtórzył nazwisko mężczyzny. Wiedział już, co oznaczały inicjały G.C. na tajemniczej wizytówce znalezionej w domu Kennetha O'Malleya.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać o tak późnej porze – powiedział uprzejmie.

– To żaden kłopot, zapewniam. W Christie's jesteśmy niezwykle elastyczni.

I pewnie nieźle wykorzystywani, pomyślał Redfern.

– W każdym razie dziękuję – powtórzył inspektor.

– A zatem zapraszam pana do biura. – Mężczyzna wskazał kierunek i puścił gościa przodem.

Po pokonaniu niemożliwej liczby schodów znaleźli się w czymś, czego Redfern w żaden sposób nie mógł nazwać biurem. Była to raczej ogromna przestrzeń, której główną ozdobę stanowiło okno wychodzące na rozświetloną milionami drobnych punktów nocną panoramę Londynu. Na jego tle odcinały się dwa bloki skórzanych foteli i marmurowy stół. Corbin poczekał, aż inspektor zajmie miejsce, po czym rozpiął marynarkę i usiadł w fotelu naprzeciwko. Zanim zdążył coś powiedzieć, w drzwiach pojawiła się młoda kobieta w granatowym kostiumie i zaproponowała coś do picia. Redfern poprosił o czarną herbatę, a Corbin o espresso na schweppesie, z plastrem pomarańczy.

– Chciałem zapytać o aukcję, na której sprzedano pamiątki po sir Henrym Mortonie Stanleyu. Jak wyglądała taka sprzedaż?



– W zasadzie nie różniła się od standardowych transakcji. Może poza tym, że nasz rzeczoznawca musiał jechać do Furzehill, bo przedmiotów było bardzo wiele, ale proszę mi wierzyć, że wizyta w takim miejscu to prawdziwy zaszczyt.

– Wierzę – odparł Redfern.

– Poza tym – ciągnął Corbin – w świetle prawa pamiątkami dysponować powinna lady Celia, ale ze względu na swój stan zdrowia zdecydowała się udzielić pełnomocnictwa synowi. Tutaj mam dokument, który sporządził prawnik. – Podsunął Redfernowi pod nos wyciągnięty z teczek akt prawny.

Oczy inspektora natychmiast skupiły się na podpisie, który wywołał u niego lekką konsternację, ale nie zamierzał się tym dzielić z Gastonem. Zamiast tego zapytał:

– A który z przedmiotów uważa pan za najcenniejszy z tej kolekcji?

– Zdecydowanie najcenniejszym przedmiotem w Furzehill jest sekstans, ale on nie został przekazany na aukcję. Natomiast najwyższą cenę osiągnął medal Patrona Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, bo niespełna pięćdziesiąt tysięcy, choć wycena nie przekraczała połowy tej kwoty. To zdecydowanie zasługa Johna Haysa, legendy wśród aukcjonerów. – Gaston rozpląnął się na chwilę, po czym wrócił do wymieniania przedmiotów aukcji: – Później wylicytowano *Cardiff freedom of a casket* za piętnaście, a zaraz po nim medal od Belgijskiego Towarzystwa Geograficznego, który został sprzedany za sześć tysięcy funtów szterlingów. – Mężczyzna chyba znał na pamięć cały zestaw pamiątek i ich ceny.

– *Freedom of a casket?* – zapytał Redfern.

– Jak by to ująć... – Corbin zamyślił się z miną, jakby szukał plebejskich słów, które by go nie obraziły, a jednocześnie wyjaśniły gościowi w zrozumiałym sposób. – Powiedzmy, że to taka szkatuła, w której ofiarowane były dokumenty honorowego obywatela miasta. Tak mniej więcej.

– Rozumiem. A czy mówi panu coś nazwisko O'Malley?

– Nie bardzo.

– Staruszek, który dość mocno interesował się sir Henrym Mortonem Stanleyem, z Pirbright w Surrey.

– Pan wybaczy, ale czy mogę zerknąć na listę osób, które wpisały się na listę? To zajmie chwilę, a możliwe, że tam znajdziemy pana O'Malleya.

Corbin wstał i wyszedł, o mały włos nie zderzając się w przejściu z dziewczyną z tacą. Kobieta podeszła do stołu i postawiła przed Redfernem zamówione napoje, po czym zniknęła niczym zjawą. Ciężki, przywodzący na myśl afrykańskie plantacje zapach kawy wypełnił pomieszczenie. Redfern pomyślał, że w całym tym wyjściu Corbina było coś teatralnego, jakby liczył na to, że pytanie o Kennetha nie padnie i uda mu się uniknąć opowiadania o nim. David chciał mu nawet powiedzieć, żeby się nie fatygował, bo wie o wizytówce, ale ostatecznie uznał, że przedstawienie musi trwać.

Po chwili w drzwiach pojawił się Gaston Corbin z tabletem w dłoni.

– Wiem już wszystko, a nawet więcej – oznajmił radośnie, kiedy skończył przesuwać palcem po błyszczącym ekranie. – Po kilku miesiącach były jeszcze dwie aukcje związane z Mortonem Stanleyem, ale tutaj udział brały osoby prywatne, a przedmiotami aukcji była kolia lady Dorothy Tennant oraz jej pierścionek. Raczej bez związku z Furzehill – skonstatował. – Natomiast wracając do pana O'Malleya, faktycznie zgłosił się do nas z prośbą o wpisanie na listę aukcyjną. Został sprawdzony i zatwierdzono jego udział.

– To znaczy, że dysponował jakimś majątkiem?

– Najwyraźniej – potwierdził mężczyzna. – Niestety nie zawsze majątek idzie w parze z ogładą. Pan O'Malley wdał się w awanturę, a właściwie ją wywołał, najwidoczniej nie mogąc się pogodzić z faktem, że został przelicytowany. Byliśmy zmuszeni wyprosić go z budynku.

– Wyprosić? – Redfern przypomniał sobie słowa Caroline Bevan, która mówiła, że pewnego dnia Kenneth wrócił do domu poszarpany. Najwyraźniej majątek domu aukcyjnego nie szedł w parze z ogładą.

– Tak, nasza ochrona odprowadziła go na zewnątrz – zapewnił pracownik galerii.

– Mówił wtedy coś szczególnego?

– Że jego majątek jest rozkradany i że on tego nie daruje. Był przy tym niezwykle agresywny – dodał Gaston nerwowo.

– Jego majątek?

– Tak krzyczał, zanim opuścił budynek.

– Co działo się później?

– Dokończono licytację. Część pamiątek trafiła do prywatnych nabywców, większość jednak zakupiło Belgijskie Muzeum Afryki Środkowej.

Redfern wyszedł na ulicę uzbrojony w przekonanie, że jeśli nie czeka go podróż do Belgii, to przynajmniej telefon do muzeum. Zastanawiał się, czy osoba, która odbierze, będzie mówiła z tym śmiesznym akcentem, który wykreował David Suchet w serialu o detektywie Poirocie. Przed laty bardzo lubił go oglądać. Pomyślał, że kiedy wreszcie będzie mógł odpocząć, położy się do łóżka i odświeży sobie tę produkcję.

Siedząc w prawie pustym pociągu do Woking, obserwował miasteczka przykryte ciemnością, pomiędzy której przebijały nieliczne już światła domów. Walczył z narastającym zmęczeniem, by jeszcze przez chwilę móc zebrać to, czego udało mu się dowiedzieć tego dnia. Wyciągnął z kurtki notes i zaczął notować, poddając się strumieniowi myśli, ale jednocześnie starając się nie uronić żadnego z wątków. Po kilku minutach przeglądał stworzoną notatkę.

Stanleyowie przypadkowo znajdują pamiątki po swoim sławnym krewnym, po czym niemal natychmiast je sprzedają. Redfern zanotował przy tym słowo „pośpiech”, a zaraz obok niego „brak pieniędzy” ze znakiem zapytania. Kenneth O’Malley szuka czegoś na terenie posiadłości, ale tego nie znajduje. Podejrzewa, że owa rzecz może znajdować się wśród tych, które Stanleyowie wystawiają na aukcji w Christie’s. Stawia się w domu aukcyjnym, ale zostaje z niego wyrzucony przez ochroniarza. Redfern czuł, że wycieczką do Londynu zatoczył zbyt duże koło. Zamknął notatnik i ze złością schował go do kieszeni. Minął już tydzień, a on wciąż miał za mało informacji, zupełnie jakby śledztwo było pozbawione znaków szczególnych, a śmierć Kennetha O’Malleya – nic nieznaczącym wydarzeniem, które drobną wzmianką pojawi się wkrótce w comiesięcznym biuletynie Pirbright. Im dłużej o tym myślał, tym

większą zyskiwał pewność, że to w wąskich uliczkach wioski musiał szukać mordercy.

Piątek, 6.12.2013, noc

Przekraczając próg domu, wiedział, że nie jest pusty, i choć znów musiał przekręcać pozycję termostatu z „trupiarnia” na „przyjemne piekło”, cieszył się, że Siwiaszczyk pochrapuje w głębi swojego pokoju. Bandit też musiał się cieszyć z całodobowego towarzystwa, bo uszanował spokój dziadka i nie zaszczekał, kiedy Redfern stanął w drzwiach.

Wziął gorący prysznic, który po podróży z Londynu był jedynym lekarstwem na zbolące stawy, po czym usiadł przy biurku i sięgnął po laptopa. Wypełnił raport ze swoich działań i wysłał do Dużej Elsy. Wiedział, że prokuratorka nie będzie zachwycona tempem działań, ale nie potrafił się tym przejąć.

Jego wzrok padł na skany, które dostał od Helen Keen z Centrum Historii Surrey. Mając wciąż w głowie słowa Michaela Stanleya, postanowił przejrzeć księgę kościelną. Tak jak podejrzewał, znalazł w niej zapiski poszczególnych pastorów o szczodrości ich owieczek. Lady Dorothy Stanley faktycznie była hojna dla Kościoła, przekazując na początku dwudziestego wieku zawrotną kwotę pięciu funtów. Redfern zauważył, że również w późniejszych zapiskach przebija się nazwisko sławnego podróżnika. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym przeprowadzono remont krużganku oraz wieży kościoła niemal w całości z pieniędzy sir George'a Stanleya, co było podkreślone wielokrotnie w tekście księgi. Michael nie kłamał, gdy mówił, że jego rodzina dzieliła się bogactwem z parafią.

Pozostając w wyższych sferach, natchniony wspaniałymi wnętrzami Christie's, chciał zobaczyć, jak wyglądają takie aukcje w praktyce. Odłożył skany, włączył YouTube i wpisał w wyszukiwarkę odpowiednie hasło.

W ułamku sekundy platforma zalała go szeregiem filmów o najsłynniejszym domu aukcyjnym. Pierwszy, który najmocniej przykuł jego uwagę, był ten o legendarnym, zdaniem Gastona Corbina, aukcjonerze – Johnie Haysie. Faktycznie przygotowanie takiej aukcji było dość skomplikowane, a sama licytacja stanowiła istne *show*, w którym rolę magika grał właśnie Hays. Redfern czuł, że zmęczenie podpełza pod jego powieki. Puścił więc ostatni, minutowy film, na którym licytowano największe jajko na świecie, należące do mamutaka. To, co zobaczył w trzydziestej ósmej sekundzie, sprawiło, że zerwał się z krzesła i chciał wsiąść do samochodu. Wskazówki ściennego zegara, które zbiegły się u szczytu tarczy, skutecznie go powstrzymały. Redfern mógł zrobić tylko jedno – wydrukować zrzut ekranu i czekać na nadejście świtu.



## ROZDZIAŁ VII

Sobota, 7.12.2013, rano

Chmury nad miastem nabrzmiały, jakby niewidzialna dłoń ostatnim wysiłkiem powstrzymywała je przed rzuceniem na miasto śnieżnej burzy. Nie zapalając światła, w szarości świtu Redfern przeżuwał jedną z kanapek, które Siwiaszczyk zostawił mu poprzedniego wieczora pod folią aluminiową. Nie był głodny, ale wiedział, że pusty talerz sprawi dziadkowi radość. Inspektor zdawał sobie sprawę, że Bohdan musi czuć się potrzebny, że będzie go to utrzymywało we względnie dobrym zdrowiu i że to niewielka cena, którą wnuk musi zapłacić, by móc dłużej cieszyć się z obecności ostatniej bliskiej mu osoby. Niedawne wyrzuty sumienia znikwały z każdym kęsem.

Wypuścił Bandita na ogródek i patrzył przez chwilę, czy psiak nie zostawia na trawie czegoś grubszego, ale on tylko obficie podlewał rosnące w głębi drzewo. Redfern przypomniał sobie słowa dziadka, który mówił, że na wiosnę będzie trzeba je usunąć, bo zacznie owocować jakimiś czerwonymi kulkami, które szczeniak może nieopatrznie zjeść i umrzeć. Zostawił lekko uchylone drzwi tarasowe, żeby Bandit mógł wrócić, a sam wyszedł z domu. Przechodząc stromym chodnikiem, pomyślał, że jutro wieczorem będzie musiał wciągnąć na górę kosze na śmieci, by rano zabrała je śmieciarka. Wzdrygnął się na myśl o tym, co w nich jest.

Wsiadł szybko do samochodu i odjechał w stronę Pirbright.

Tak jak podejrzewał, na rusztowaniu pracowało trzech ludzi Bena Greena. Podszedł bliżej kościoła i zawołał jednego z nich. Mężczyzna, o którego mu chodziło, odkrzyknął, że zaraz zejdzie, i faktycznie po paru minutach stał przed Redfernem z tą samą obojętną miną, co ostatnio.

– Skłamał pan, mówiąc, że nie zna Kennetha O'Malleya.

– No bo go nie znam. – Wyciągnął z kieszeni flanelowej koszuli paczkę papierosów i odpalił jednego, unikając wzroku inspektora.

– Tego też nie znasz? – Redfern podsunął mu pod twarz wydruk, na którym wśród dziennikarzy fotografujących jajko stoi ochroniarz łudzaco podobny do budowlańca. Kartka na chwilę utonęła w chmurze wypuszczonego przez mężczyznę dymu.

– No znam – poddał się.

– No więc mów, jak było – ponaglił go Redfern, tracąc cierpliwość.

– Trafiłem tam przypadkiem. Kumpel poszedł na długie zwolnienie lekarskie i moja agencja przesunęła mnie do Christie's. Nie miałem doświadczenia w takich akcjach, ale szef się uparł, więc poszedłem. Swoją drogą z tym jajem to niezłe jaja. Pięćdziesiąt tysięcy za kawał kamienia.

– Co z O'Malleyem?

– To było parę miesięcy później. Aukcja jakichś pierdół starego podróżnika. – Stefan zaciągnął się papierosem. – W pewnym momencie wjechała jakaś szkatuła czy coś i dziadek z trzeciego rzędu ostro się licytował, ale przegrał. Wtedy wpadł w szal. Wrzeszczał, że to jego skarby, że został okradziony, rzucił się na Johna Haysa, więc interweniowałem.

– Rozszarpując mu marynarkę?

– Pan sobie nawet nie wyobraża, jak taki człowiek potrafi być silny. Nie zapominajmy, że całe życie pracował przy koniach. – Stefan się zaperzył. – Wystawiłem go za drzwi, ale zrobiło mi się go żal. Łzy starych ludzi mocno na mnie działają, wie pan?

Redfern przyznał mu w duchu rację, przypominając sobie o Siwiaszczyku płaczącym w archiwum miejskim.

– Wyszedłem za nim i chciałem pogadać – ciągnął mężczyzna. – Powiedział, że chce uratować swoją ziemię przed odebraniem mu przez państwo. Mówił o jakimś skarbie w Pirbright, że wciąż go szuka i dziś był



chyba blisko, ale wszystko przypadło. Powiedziałem mu wtedy, że z systemem nie wygra i taki stary człowiek jak on to powinien siedzieć w kościele i Bogu dziękować, że jeszcze ma jako takie zdrowie, a nie się awanturować wśród wyższych sfer. Z serca mu powiedziałem, naprawdę.

– Wierzę.

– Tyle że on chyba nie zrozumiał. Zerwał się nagle, powiedział, że mam rację, i wyczałował mnie jak jakiś wariat, śmiejąc się i krzycząc, że on już wszystko rozumie i bardzo mi dziękuje.

– Coś więcej?

– W sumie to nie. – Stefan rzucił niedopałek na ziemię i patrzył, jak wiatr zmiata go, zostawiając na chodniku paradę żółtych iskier.

– No więc jak znalazłeś się w Pirbright? – Redfern nie odpuszczał, a mężczyzna westchnął głęboko. Stał przez chwilę nieruchomo, po czym dokończył swoją wypowiedź:

– Trochę za ostro potraktowałem tego dziadka, części gości się to nie spodobało i agencja zerwała ze mną umowę. Zostałem bez pracy. Pomyślałem, że może ten starzec da mi robotę przy koniach. Znam się na zwierzętach, bo...

– Twój ojciec hodował psy – dokończył Redfern.

– Tak – potwierdził budowlaniec. – Nie miałem nic do stracenia i pojechałem. Ostatecznie z mojego Hunslow nie było daleko. No więc dziadek pracy nie miał, bo już miał pomoc w postaci takiej jednej kobiety, ale lokalny budowlaniec szukał ludzi do pracy przy dachu kościoła. Kiedyś pracowałem na budowie, więc się zgłosiłem. Jak Ben usłyszał, że wcześniej pracowałem w Christie's, to zrobił sobie skrót myślowy i powiedział, że się nadam, bo jak pracowałem przy antykach, to stary dach będę umiał docenić. Niech mnie pan nie pyta o logikę. W każdym razie od tego czasu robię tutaj.

– A co ze skarbem?

– Coś chyba jest na rzeczy, bo kiedyś Ben Green się nawalił i mówił, że na strychu w Furzehill faktycznie były jakieś cuda. – Stefan zniżył głos do szeptu.

– Był na strychu w posiadłości Stanleyów? – Redfern nie mógł ukryć zdziwienia, ale też złości, że sam się nie domyślił, kto był budowlańcem, który oceniał konstrukcję dachu.

– Tak, naprawiał potem wady konstrukcyjne. Chwalił się tym, jakby co najmniej odnawiał kaplicę Sykstyńską, choć Stanleyowie podobno słabo płacili i na końcu to chyba oszukali go na kasę. Dlatego musi teraz sprzedać dom.

– Bardzo mi pan pomógł – przyznał Redfern. – Szkoda tylko, że tak późno.

– Przepraszam, wystraszyłem się. Ludzie już krzywo na mnie patrzą, nie ten akcent jak na takie dostojne miasteczko. – Skrzywił się. – Wie pan, zbliża się to referendum dotyczące wyjścia z Unii. Tacy jak ja wylecą pierwsi.

– Nie będzie żadnego referendum, a nawet jak będzie, to po pierwsze minie jeszcze sporo czasu, a po drugie nie ma szans, żeby Anglicy zdecydowali o wyjściu.

Redfern poklepał mężczyznę po ramieniu. Wzruszyła go jego postawa względem O'Malleya i siłą rzeczy polubił Stefana – ochroniarza. Gest ten musiał zrobić na nim duże wrażenie, bo na odchodne odezwał się:

– Coś panu jeszcze powiem. – Zatrzymał Redferna w pół kroku. – Nie umiem panu powiedzieć co, ale coś mi nie grało, jak przyjechałem we wtorek do roboty. Nie umiem tego nazwać.

– Ktoś zabrał waszą taczkę – podsunął Redfern.

– Nie, to nie to. Niech pan lepiej uważa, bo to wcale nie jest miłe miasteczko – oznajmił konspiracyjnie i wspiął się po drabinie na rusztowanie.

Redfern patrzył chwilę na Stefana, który zbliżył się do kolegów i mówił coś ożywionym głosem, jednak wzmagający się wiatr porывał jego słowa jak liście z pobliskiego kasztanowca. Inspektor schował się za nim i wykonał jeden telefon, by upewnić się, że nie popełnił błędu.



Tabliczka przy domu Bena Greena miała teraz czerwoną nakładkę z napisem „Sprzedano”. Na podjeździe stały dwa samochody, więc Redfern się domyślił, że budowlaniec nie jest sam. Nagle wielkie tarasowe drzwi się odsunęły i wyszedł z nich dotychczasowy właściciel domu.

– Pan inspektor – zagadnął przyjaźnie nalany mężczyzna. – Właśnie kończę podpisywać umowę sprzedaży domu. Czy możemy się spotkać po południu?

– Niestety, sprawa kradzieży nie może czekać.

– Kradzieży? – zdziwił się mężczyzna. Zerknął nerwowo do środka domu i z hukiem zasunął drzwi. – Coś zginęło?

– Dość cenna kolia pewnej malarki i pisarki oraz jej pierścionek. Dla ułatwienia dodam, że była żoną sir Mortona Stanleya, a rzeczy zabrano z ich domu. Konkretnie ze strychu.

Twarz Greena nabrała koloru dojrzałej wiśni, a oddech na chwilę się zatrzymał. Mężczyzna wściekle mierzył Redferna oczami, których białka podbiegły krwią.

– Stanleyowie wezwali mnie do oględzin domu. Wie pan, taka łaska pańska. Trochę mi tam zeszło, bo willa jest ogromna i dość zaniedbana. Ostatniego dnia dotarłem na strych, który był częściowo niedostępny. Zszedłem do ogrodu, by zapytać lady Celię o pozwolenie. Leżała na tej swojej kozetce, bo przecież prawie już nie chodziła. Zgodziła się bez mrugnięcia okiem, więc otworzyłem łomem zabite dechami pomieszczenie i moim oczom ukazał się istny skansen. Czego tam nie było! Sprzęty, stroje, jakieś skrzynie. Z ciekawości zajrzałem do jednej z nich, a tam leżała ta kolia i pierścionek oraz ozdobna drewniana szkatułka. Bardzo ładna.

– Drewniana, nie srebrna? – chciał się upewnić Redfern.

– Nie, drewniana – zapewnił gorliwie Ben. – Natychmiast poinformowałem lady Celię o znalezisku, a ona omal nie zemdląła. Kazała sobie przynieść telefon do ogrodu i zadzwoniła po Michaela, który jak

zwykle balował w kasynach, przepieprzając rodzinny majątek. Zanim dojechał, poszedłem na strych jeszcze raz i schowałem kolię, pierścionek i tę szkatułkę do skrzyni z narzędziami. Po południu rozpętała się prawdziwa burza. Przyjechały media, zrobił się szum, ale o tamte przedmioty nikt nie pytał.

– Nie wstyd panu? – Redfern nie ukrywał oskarżycielskiego tonu.

– Było mi wstyd, oczywiście. Do czasu, gdy się dowiedziałem, że Stanleyowie nie zapłacą mi ani pensa za materiały, które zużyłem w trakcie remontu Furzehill, a proszę mi wierzyć, że to nie są rzeczy z marketu B&Q czy innego Wicksa. Bez mrugnięcia okiem sprzedałem tę kolię i pierścionek na aukcji, a i tak widzi pan, że muszę pozbyć się domu. Tymczasem oni zrezygnowali ze sprzedaży posiadłości.

– Co było w tej drewnianej szkatułce? – Redfern nie mógł zdobyć się na współczucie względem Greena, więc postanowił skupić się na pracy.

– Chodzi o to, że nic, choć atlas, którym była wyłożona, wskazywał, że coś w niej kiedyś trzymano.

– Jak duża ona była?

– Nie większa od kartonu mleka. – Mężczyzna wyciągnął dłonie przed siebie, prezentując w powietrzu wymiar.

– Ma ją pan jeszcze? – zapytał inspektor, mając nadzieję na odpowiedź twierdzącą, która jednak nie nadeszła.

– Wyrzuciłem ją – bąknął Ben Green. – Mimo wszystko gryzło mnie sumienie, a ona tylko mi o tym przypominała.

Redfern pokiwał głową i odwrócił się, zanim jednak budowlaniec zdążył się poruszyć, inspektor przystanął i zapytał:

– Pana syn o tym wiedział, prawda? Dlatego pobił się z pana pracownikiem. Stefan rzucił coś o skarbie w Furzehill, a pana latorośl pomyślała, że on wie, co pan zrobił, i postanowił spuścić mu łomot.

– Mam wrażenie, że to kłamstwo wyrządziło wiele szkód – powiedział Green jednym tchem.

– Obawiam się, że nie zdaje pan sobie sprawy, ile – odparł Redfern i bez pożegnania wsiadł do triumpha, zastanawiając się, czy nie złożyć jeszcze jednej wizyty, która pomogłaby mu dopełnić obraz powoli klarujący się

w jego myślach. Przekręcił klucz w stacyjce i odjechał w stronę centrum Pirbright.



Budowlańcy musieli mieć dziś krótszy dzień pracy. Redfern nigdzie nie dostrzegł nawet narzędzi i przypomniał sobie, że jest sobota, więc pewnie młodzi ludzie szykowali się teraz na podbój nocnej strony Woking. Jednak z nimi miał wszystko wyjaśnione, więc przeciął tylko przylegający do kościoła cmentarz i wszedł na ukrytą ścieżkę prowadzącą do ogrodu pastora Addisona. Wcześniej tego nie zauważył, ale do drewnianego słupa ktoś przymocował szafkę. Redfern podszedł do niej i uchylił drzwi. Wnętrze przypominało małą bibliotekę, w której skład wchodziły głównie książki dla dzieci i poradniki kulinarne, znalazł też parę kryminałów. Zamykając szafkę, pomyślał, że ścieżka musi być uczęszczana częściej, niż mu się wcześniej wydawało.

– Fajna rzecz, prawda?

Redfern aż podskoczył, kiedy zza żywopłotu wychynął mężczyzna, którego wcześniej spotkał u Kalulu M’Halego. Założona do powyciąganych jeansów marynarka zwisała na nim jak na strachu na wróble.

– Ludzie przychodzą i wymieniają tu książki – powiedział, zbliżając się do Redferna. – A pan pewnie do pastora?

– Tak, chciałem z nim porozmawiać.

– Tyle że on wyjechał.

– Wyjechał? – zapytał ostro inspektor, na co mężczyzna zmarszczył czoło.

– Do Denbigh – odpowiedział przeciągle. – Mówił, że wróci we wtorek.

– Jest pan dobrze poinformowany – zauważył nieufnie Redfern, a w głowie zaczęły się intensywne poszukiwania. Był pewien, że tę nazwę już gdzieś słyszał i że nie jest ona bez znaczenia.

– E tam! – Mężczyzna machnął ręką. – Po prostu się z nim niedawno minąłem, gdy wsiadał do taksówki.

– Mówił, po co tam jedzie?

– A bo to klecha musi się komuś spowiadać? – Mężczyzna zarechotał głośno i zawrócił, a po chwili zniknął Redfernowi z oczu.



Na przednim siedzeniu triumpha szalała wściekle komórka. Zanim Redfern odebrał, zauważył w rogu ikony nieodebranych wiadomości i połączeń.

– Wypowiedzenie nie oznacza jeszcze, że możesz olewać swoje obowiązki. – McMahon wymawiał każde słowo z naciskiem. – Śledztwo O'Malleya stoi, na komendzie roi się od agentów. Pytają o ciebie, a ja świecę oczami.

– Stęsknili się czy jak?

– Nie pajacuj. Chcą cię przesłuchać w sprawie tych dzieci z Sheerwater.

– A co ja mam im powiedzieć?

Redfern zaatakował, chcąc obronić się przed kolejnymi pytaniami, które doprowadziłyby do Kingi Wolańskiej. Wciąż miał w uszach wyznanie bezdomnej, które matka porwanej dziewczynki nagrała w zgliszczach fabryki profili PCV w Sheerwater. Stara kobieta mówiła wtedy o tym, że pod drugą zawałoną fabryką leżą inne dzieci, że kiedyś zgłaszali to na policję, ale zostali przegnani. Przypomnił sobie, że konkretnie na komisariacie stawiał się jakiś golfista amator, jak nazwała go kobieta, który smutnym zbiegiem okoliczności wylądował na ulicy.

– Guzik mnie obchodzi, co im powiesz, bylebyś zdjął ich z mojego karku. Dużą Else też. Podobno od rana wydzwania do ciebie w sprawie O'Malleya.

– Dostała raport i może nie do końca jej się spodobał.

– Też go widziałem. Naprawdę zrobiłeś sobie wycieczkę do Londynu? Bez jakiegokolwiek pozwolenia przesłuchałeś pracowników najbardziej

prestizowego domu aukcyjnego na świecie?

– Nie stawiali oporu – rzucił Redfern. Odpowiedziała mu cisza.

– Będzie skandal – syknął McMahon, a David oczami wyobraźni widział, jak komendant, unosząc złote oprawki okularów, przeciera oczy kciukiem i palcem wskazującym.

– Większy niż to, że agencja od tygodni stoi w miejscu, a w tym czasie gdzieś w Anglii wielcy mafiozi zwijają w pośpiechu swój pedofilski interes? – Inspektor nie przebierał w słowach.

– To może im pomożesz albo chociaż nie będziesz wchodził w paradę, co?

– O, widzę, że wieści rozchodzą się szybko.

– Ismail Abbasi zgodził się iść na współpracę, a ty go straszysz – odparł zastępca komendanta. – Masz szczęście, że przylazł z tym prosto do mnie, bo w przeciwnym razie agencja inaczej by sobie z tobą pogadała. A skoro przy tym jesteśmy, to może powiesz mi, w co ty grasz?

– W nic – rzucił Redfern trochę za ostro. – Po prostu próbuję dobrnąć do końca służby, tak jak ty.

– Moja służba się nie kończy, Dave. Twoja zresztą też nie. Już na zawsze pozostaniesz gliną – usłyszał, zanim Greg McMahon się rozłączył.

Zastępca komendanta miał rację. Pośród kilkunastu nieodebranych połączeń z nieznanymi numerów parę faktycznie pochodziło od prokuratorki, ale Redfern był pewien, że nie chodziło ani o raport, ani o wycieczkę do Londynu. Elsa odebrała po jednym sygnale.

– Gdzie ty, do cholery, jesteś?

– W terenie. Kończę sprawę O'Malleya – rzucił, siląc się na luz.

– Kończysz? To znaczy że co? Za pół godziny przyprowadzisz spętanego lassem sprawcę do miejskiego aresztu, szeryfie?

– Sam do was przyjdzie, ale nie za pół godziny.

– Dave, koniec żartów – ucięła Bente Hansen. – Słyszałeś o Tedzie?

– Tak i też się zmartwiłem – odpowiedział szczerze. – Jednak bardziej martwi mnie, że sprawa tych dzieciaków nie rusza z miejsca. Ronald Rudd się poświęcił, żebyśmy znaleźli tych zwyrodnialców, a tymczasem agencja traci czas. Wiem, że metoda była straszna – powiedział szybko, bo czuł, że

prokuratorka zechce mu przerwać – ale jednak doprowadził do tego, że pękła pewna skała. Naszym zadaniem jest ją skruszyć i zrównać z ziemią. To się jednak nie dzieje.

– Masz pomysł?

– Mam, ale za diabła nie wolno ci tego powiązać z Kingą Wolańską. Słyszysz? Za żadne skarby. Możesz do mnie przyjechać?

– Jasne – odparła powoli, jakby Redfern zaskoczył ją swoim napastliwym tonem. – Ale nie dziś, OK? Mam sprawy okołodomowe, które nie mogą poczekać. Może być jutro koło ósmej?

Pomyślał, że im bardziej odwlecze godzinę wizyty prokuratorki, tym większa szansa, że Siwiaszczyk pójdzie spać.

– Nawet później – powiedział i rozłączył się, ale nie odłożył telefonu.

Przez chwilę się zastanawiał, czy dobrze robi, powierzając tajemnicę Bente, ale uznał, że to jedyne wyjście, by nie zwariować od nadmiaru spraw, które na niego spadły, a jednocześnie dać impuls agentom, którzy utknęli ze śledztwem. Chciał rzucić kość, za którą podążyliby agenci, jak najdalej od niego. W rozgrywce z Palaczem potrzebował pola do manewru. Musiał wreszcie znaleźć Martę.

Kolejne połączenie, które wykonał, należało do innej, mniej stresującej kategorii.

– Cześć, Puszka – rozpoczął Redfern. – Słuchaj, możesz odpuścić prześwietlanie budowlańców, są czyści. Chciałbym, żebyś teraz zajął się czymś poważniejszym. Przyjrzyj się finansom Michaela Stanleya. Interesuje mnie też stan konta naszego denata, bo zdaje się, że to nam umknęło. Doszły mnie słuchy, że nie był tak biedny, jak sądziliśmy.

– Jasna sprawa. Nadal widzimy się w poniedziałek?

– Tak, Puszka, w poniedziałek.

Rozdał dyspozycje i mógł odetchnąć. Bez informacji od Puszkii nie był w stanie ruszyć dalej i nie zamierzał. Powoli dochodził do sedna sprawy z Pirbright, ale dziś nie chciał już dłużej o tym myśleć. Postanowił pojechać w miejsce, które przynosiło mu spokój.



Sobota, 7.12.2013, południe

Skuta makijażem i uprzedzeniami twarz recepcjonistki wyglądała jak rzeźby, które Redfern widział na gotyckich kościołach w Paryżu. Nie rozpromienił jej ani komplement, ani nawet błaganie. Surowym głosem stwierdziła, że Linda Wall źle się czuje i przez najbliższe kilka dni musi odpoczywać. Redfern zażądał spotkania z lekarzem prowadzącym, ale tu również napotkał opór.

– Mogę pana umówić na poniedziałek. – Głos recepcjonistki drażnił uszy Redferna jak groch rzucony na blachę.

– Muszę się z nią zobaczyć! Mogę być jej potrzebny!

– Nie jest pan nikim z rodziny, a zatem nie mogę pana wpuścić do pacjentki. Nie jest pan też upoważniony.

– Zrobiłem wam dość okazały przelew, więc może to będzie moim upoważnieniem. – Posunął się do ostateczności, ale recepcjonistka tylko pokręciła głową.

– Nic nie poradzę. Czy umówić pana na poniedziałek?

– Niech będzie – odparł zrezygnowany i podał swoje dane. Walcząc z wściekłością i bezradnością, zapytał jeszcze: – Czy istnieje możliwość, aby zadzwoniła do mnie dyrektorka Michelle Partner? Proszę jej przekazać, że bardzo nalegam.

Recepcjonistka skinęła głową, notując jego nazwisko w skoroszybie.

Zachodził w głowę, co stało się z Lindą, że musiała zostać odizolowana. Nie chcąc grzęznąć w ciemnych domysłach, wybrał numer lekarza, który skierował ich do The Priory, kiedy kilka tygodni temu kobieta o mało nie umarła z przedawkowania w mieszkaniu Redferna. Odsłuchiwał wszystkich sygnałów połączenia, aż został rozłączony.

Popatrzył w głąb drogi dojazdowej do ośrodka, tej samej, którą dawno temu podążył ku śmierci Nathan Wood. Redfern pomyślał, że nie będzie marnował czasu i dobrej rady sierżantki Wall i przejdzie się do matki zaginionego mężczyzny, by zapytać o niedawną awanturę w szpitalu.



Od momentu, kiedy był tu ostatni raz, pod domem przy Finch Close nie zmieniło się nic. Niedomknięte kosze, z których wiatr wyrywał i rozrzucał po trawniku śmieci, otaczał kordon much, korzystający z niespodziewanego słońca. Nieprzenikniony brud okien nie zdradzał, czy w środku jest ktokolwiek żywy, ale Redfern wiedział, że Bethany Wood siedzi na rozpadającej się kanapie wpatrzona w zdjęcie syna, który przepadł bez wieści.

Wszedł na ganek i zapukał. Po chwili usłyszał zbliżające się do drzwi kroki, a następnie zwolnienie kilku blokad. Matka Nathana Wooda wlepiała w Redferna dwoje przestraszonych oczu, które jednak w ułamku sekundy rozpalila iskra życzliwości, jaką można zobaczyć tylko u starych, bardzo samotnych ludzi.

– Pan policjant! Wiedziałam, że pan do mnie w końcu przyjdzie. – Ucieszyła się i zaprosiła Redferna do pokoju, który też zupełnie nie zmienił się od ostatniej wizyty. – Niech pan siada, proszę!

– To nie zajmie długo – odparł inspektor, nie korzystając z zaproszenia. – Chciałbym panią zapytać o The Priory. Dlaczego pani tam poszła?

– Po dokumenty – powiedziała hardo. – Chciałam, żeby wydali wszystkie dokumenty leczenia mojego syna, ale oni powiedzieli, że ich nie mają, bo są nadal na policji. Ja im nie wierzę! – Ostatnie słowa ugrzęzły jej w gardle.

– Pani Wood, dowiem się, gdzie jest ta dokumentacja. Proszę nie płakać.

– Ja nic nie mam po nim – mówiła przez łzy. – Parę zdjęć, ale żadnych pamiątek. On był taki skryty. Pomyślałam, że chociaż będę miała taką namiastkę mojego Nathana. Może ktoś zanotował w tych dokumentach coś, czego nie wiem, co przyniosłoby sercu matki choć niewielką ulgę. Pokłóciłam się o to z moim starszym synem, ale on nie rozumie. Przestał się do mnie odzywać.

Redfern doskonale wiedział, o czym mówi Bethany Wood. Tego samego poszukiwała jego matka, gdy zaginęła Dominique – ulgi w przedmiotach, które miały w sobie choćby wąty strzęp córki, a które okrutnie milcząc, zadawały jeszcze większy ból. Tego jednak nie zamierzał mówić kobiecie. Właściwie nic już nie chciał mówić, ale wciąż ciekawiła go jedna rzecz.

– Proszę się nie gniewać – zaczął – ale jak pani finansowała pobyt syna w szpitalu?

– Mieliśmy z mężem trochę oszczędności, ale wie pan, przy cenach ośrodka one bardzo szybko stopniały. Mój mąż w międzyczasie odszedł, a ja nie chciałam, żeby Nathan wychodził. W The Priory bardzo mu pomagali, zresztą sam pan pewnie wie, że są najlepsi. Poza tym był tam Adrian Bones, a przecież nie było tajemnicą, że się pokochali, ale żaden nie był gotowy na opuszczenie murów szpitala.

– Ale jak to się stało, że obaj nadal tam mieszkali?

– Któregoś dnia odwiedziła mnie Isabelle Bones.

Redfern zdziwił się, że matka Adriana odwiedziła zaułek Finch Close, ale tego nie skomentował, choć na usta mu się cisnęło, że zwykle poniżej jej godności była nawet High Street w Guildford. Słuchał w milczeniu opowieści Beth Wood, która mówiła z coraz większym przejęciem.

– Odwiedziła mnie i zaoferowała pomoc. Obiecała opłacić leczenie mojego syna tak długo, jak będzie tego potrzebował. Chciała pomóc jak matka matce.

– A czego oczekiwała w zamian? – Redfern nie wierzył w hojność, której w tej rodzinie nigdy nie stosowano naprzemiennie z biznesem. To zawsze musiało iść w parze. Bethany Wood też to wiedziała. Spuściła głowę i zamknęła oczy, by po chwili dodać:

– Powiedziała, że Nathan nigdy nie ma prawa pojawić się w Silver Manor. Nie będzie żadnego ślubu, nawet jeśli rząd przegłosuje ustawę, a cały związek chłopaków ma być tajemnicą.

– Mówiła dlaczego?

Beth znów zrobiła pauzę.

– Isabelle Bones powiedziała, że jeśli ojciec Adriana się dowie, że jest gejem, to go zabije, i proszę mi wierzyć, mówiła to bardzo poważnie.

– Czy nie wydaje się to pani trochę dziwne? – spytał Redfern.

– Nie zadaje się pytań, gdy tonie się w długach, inspektorze.

Redfern wszedł do triumpha skołowany. Choć odległość między Finch Close a ośrodkiem pokonał wolnym krokiem, wciąż nie umiał sobie poukładać tego wszystkiego w głowie. Nie zamierzał zatapiać się w mglistych domysłach. Zbliżała się pora lunchu i pomyślał, że zaspokoi głód za bramą z kutymi srebrnymi lwami, a jeśli nie głód, to przynajmniej ciekawość.

Sobota, 7.12.2013, popołudnie

Redfern wiedział, że bez uprzedniej zapowiedzi nie ma co liczyć na serdeczne przyjęcie w Silver Manor. Rodzina Bonesów nie lubiła niespodzianek, więc zanim odjechał spod domu Bethany Wood, zadzwonił do Isabelle. Nie wykazała specjalnego entuzjazmu na wieść, że wybiera się do niej niedoszły zięć, ale też nie była niechętna. Redfern był więcej niż pewien, że ta wizyta jest jej w jakiś sposób na rękę. Podjechał pod srebrne lwy w przekonaniu, że będzie musiał bardzo uważać na słowa.

– Miło cię widzieć, Davidzie – oznajmiła Isabelle Bones, kiedy usiedli w sali jadalnej, a gosposia przyniosła lunch składający się z kiełbasek w sosie z tłuczonymi ziemniakami i gotowanymi warzywami.

– Ciebie również, Isabelle – odpowiedział i ukroił kawałek kiełbasy, po czym włożył sobie do ust. Z pewnością nie była to sztuka, którą można było dostać w Morrisonie czy nawet w Marks & Spencer. Rozpłynęła się w ustach, pozostawiając w nich boski smak.

– Nasze ostatnie spotkanie było odrobinę niefortunne – rzuciła Isabelle i przystąpiła do posiłku.

Masz na myśli to, że córka cię zwyzywała od staruch i życzyła śmierci, a ty tylko chciałeś się dowiedzieć, czy w jej pokręconym życiu wszystko

OK? Tak, to faktycznie było niefortunne, pomyślał Redfern, którego drażnił wyniosły ton krezuski.

– No więc co cię do mnie sprowadza?

– Chciałbym porozmawiać o Adrianie – powiedział i pochłonął kolejną porcję lunchu.

– Przez wzgląd na okoliczności jego śmierci wolałabym nie – odparła szorstko. – Uważam, że wszystko zostało już powiedziane.

– To może inaczej. Czy pamiętasz może Nathana Wooda?

– Tego chłopaka z The Priory, który zaginął około dwóch lat temu? – Isabelle Bones spięła się i ledwie dostrzegalnie poprawiła na krześle. – Tak, pamiętam.

– Był partnerem Adriana – wypalił Redfern, mając dość owijania w bawełnę. – A ty opłacałaś ośrodek, żeby mogli być tam razem.

– Zgadza się, ale co to ma do rzeczy?

– Po prostu interesuje mnie twoja motywacja, Isabelle.

– Chyba nietrudno to wydedukować – odparła z wyższością. – Adrian wreszcie znalazł kogoś, komu mógł zaufać, przed kim się otworzył. Przy tym chłopaku naprawdę zdawał się zdrowieć. Tyle że gdyby dowiedział się o tym mój mąż, to najpewniej odciąłby się od niego. Adrian przestałby dla niego istnieć. Nie mogłam na to pozwolić. Rodzina musi się trzymać razem, Davidzie.

Choćby miało to być klejone na ślinę i kłamstwa, pomyślał gorzko Redfern. Nie kupował tej historii, choć wychodziła z najznamienitszych ust w Surrey.

– Skoro tu jestem, to zapytam cię o jeszcze jedną rzecz. – Zbył jej uwagę.

– Proszę – odparła Isabelle, choć nie było w tym cienia zachęty.

– Wypadek w domku dla gości. Wiem, że kiedy doszło do wybuchu, spał w nim Adrian. Dlaczego?

– Właśnie dlatego. Powiedział ojcu, że jest gejem, a John się wściekł. Nie widziałam go nigdy tak wzburzonego. Wyrzucił Adriana za drzwi. Dosłownie złapał go za podkoszulek i wyrzucił za próg. Adrian udał się do domku dla gości i tam chciał przeczekać pierwszy gniew ojca.

– Byłaś u niego?

– Słucham?

– Czy byłaś w tym domku, żeby z nim porozmawiać? – powtórzył Redfern, oddzielając każde słowo.

– Nie mogłam, nie miałam odwagi sprzeciwić się Johnowi. Poza tym gdybym poszła, to zdradziłabym, gdzie jest Adrian.

Redfern wiedział, że John Bones, były sędzia, udziałowiec kilku banków i współwłaściciel rafinerii na Morzu Północnym, był brutalem. Patricia kiedyś pokazała mu bliznę na łydce po tym, jak uderzył ją swoim treningowym rapierem. Mógł zrozumieć strach Isabelle, choć w całej tej historii coś mu się nie zgadzało.

– Co było potem? – zapytał.

– Przecież wiesz.

– Wybuch – powiedział Redfern.

– Wybuch – powtórzyła Isabelle cicho, jakby ówczesny strach o syna wciąż jej towarzyszył. – Około trzeciej usłyszałam huk, który zatrzęsł ścianami domu. Wybiegłam na patio i zobaczyłam, że domek dla gości stoi w płomieniach, a coś czarnego leży na ziemi. – Urwała, spłoszona własną opowieścią. – Miałam znajomości w klinice poparzeń na północy, nasz przyjaciel nad wszystkim czuwał. Adrian natychmiast został tam przetransportowany helikopterem. Przeszedł szereg operacji, przecież wiesz.

– Wiem, był tak daleko, że nie miałem szans go odwiedzić. Zresztą i tak byście mnie nie dopuścili. – Ostatnie zdanie wypowiedział z wyrzutem.

– Analiza wykazała, że był to wybuch gazu. – Isabelle zignorowała jego uwagę. – W domku była butla, którą najpewniej Adrian odkręcił i... – Kobieta uciekła wzrokiem w bok i przygryzła dolną wargę. Jej perfekcyjnie nałożona szminka lekko się rozmazała.

– Czy dopuszczasz do siebie myśl, że to nie była próba samobójcza?

– Nie – ucieła, by nie pozostawić żadnych wątpliwości.

– Gdy doszedł do siebie, to od razu trafił do The Priory?

– Adrian tak naprawdę nigdy nie doszedł do siebie, Davidzie – sprostowała kobieta. – Miał poparzone ponad siedemdziesiąt procent ciała.

Wciąż nie mieści mi się w głowie, że wyczołgał się z pożaru o własnych siłach. Ale tak, masz rację, prosto ze szpitala pojechał do ośrodka.

– A czy to nie zbiega się z tajemniczym montażem krat w jednym z pokoi w ośrodku?

Znów przez jej twarz przebiegł cień gniewu. Ta wizyta coraz mniej jej się podobała, ale z nieznanego powodu starała się tego nie okazywać. Redfern w napięciu czekał, kiedy zaatakuje. Kobieta jednak szybko okiełznała emocje i powiedziała:

– Adrian nie mógł sobie poradzić z tym, że Nathan zaginął. Podejrzewał, że gdy usłyszał, co się stało, popełnił samobójstwo. Musieliśmy być ostrożni. Poza tym te operacje też odcisnęły na nim swoje piętno. Nie poznawał się w lustrze. Z jego słabą psychiką musieliśmy bardzo uważać.

– I zafundowałaś mu ośrodek zamknięty.

– Nie masz prawa mnie oceniać – warknęła, ale natychmiast się opanowała. – To było dla jego dobra.

– Zawsze gdy słyszę o czyimś dobru, mam przed oczami niewyobrażalne zło.

Jadąc podjazdem z białego kamienia, wciąż widział we wstecznym lusterku ciemną postać na tle otwartych drzwi. Zupełnie jakby Isabelle Bones chciała zyskać pewność, że Redfern zniknie za bramą, a srebrne lwy znów będą strzegły kobiety przed niewygodnymi pytaniami.

Inspektor wiedział jednak, że to nie ostatnia wizyta w Silver Manor, choć następna, którą planował, miała się odbyć bez świadków.

Sobota, 7.12.2013, wieczór

Redfern wbiegł do domu i nie rozbierając się, wszedł do łazienki. Wymioty targały nim kilka minut, podczas których czuł, że pęknie mu czaszka. Kiedy wreszcie opanował torsję, podniósł się i zobaczył w lustrze swoją czerwoną od wysiłku twarz i przekrwione oczy. Marzył o tym, by położyć się spać.

Otworzył szafkę za lustrem i sięgnął po buscopan, który czasem pomagał mu wyciszyć żołądek. Wspomógł go czterema ibuprofenami. Nie sądził, by zaszkodził mu późny lunch w Silver Manor. Gdyby tak było, mógłby zapanować nad bólem głowy. Tymczasem ten sprawiał, że robiło mu się ciemno przed oczami. Z łazienki poszedł prosto do kuchni, by napić się wody, o mało przy tym nie nadeptując Bandita. Zapalił światło i podskoczył, zapominając o bólu.

– Myślę, że powinieneś się jednak wyprowadzić, a przynajmniej znaleźć sobie kobietę – oznajmił siedzący przy stole Siwiaszczyk i położył na blacie ogryzioną silikonową dłoń.

Redfern stał sparaliżowany widokiem, po czym szybko odzyskał władzę nad ciałem, choć jego umysł przeszywała złość mieszająca się w równych proporcjach z zażenowaniem.

– To przesyłka od szantażysty – fuknął. – Nie wierz we wszystko, co myślisz. I masz rację, powinienem się wyprowadzić, by cię nie narażać. – Zdjęty bólem nie miał ochoty na tłumaczenia i poszedł do swojego pokoju jak rozwyrzony nastolatek. Nie zapalając światła, stał i wpatrywał się w mrok nocy za oknem. Marzył o spokoju, ale słysząc zbliżające się szuranie kapciami, wiedział, że go nie zazna.

– Dawidek, zaczekaj. – Siwiaszczyk silił się na łagodność, choć cienka żyłka na jego skroni wciąż mocno pulsowała. – Usiądźmy.

Redfern przystanął i się odwrócił. Smutek tych bladoniebieskich oczu sprawił, że uszedł z niego gniew. Usiadł na łóżku, a Siwiaszczyk zajął krzesło biurowe naprzeciwko. Chciał zapalić światło, ale Redfern poprosił, by tego nie robił. Włączył tylko lampkę nocną, ale i ona wywołała ostry ból oczu.

– Jak to – Siwiaszczyk wskazał na ogryzioną dłoń – trafiło do... nas?

– Palacz podrzucił to pod drzwi – oznajmił Redfern i uprzedzając falę pytań, dodał: – Znalazłem na niej tylko niekompletny odcisk palca, poza tym żadnych śladów biologicznych. Nic. Zupełnie jakby przedtem dokładnie się ich pozbył. Zadbał o każdy szczegół.

Staruszek westchnął. Dopiero teraz Redfern zauważył, że wciąż trzyma kikut w ręce. Ostrożnie, jakby bojąc się, że dłoń się rozpadnie, odłożył ją na



biurko. Redfern czuł, że ból zmienia się w lekkie otępienie.

– To nie pasuje – oświadczył nagle Siwiaszczyk, mrużąc oczy. – To nie jest szantaż, tylko wskazówka.

– Co?

– Słuchaj, do tej pory mieliśmy do czynienia z działaniem na szkodę, a teraz on wysyła ci sygnał, żebyś za nim podążał. Za cholere nie da się tego wpasować w ten obrazek.

Redfern nie odpowiedział od razu, analizując to, co przed chwilą usłyszał. Siwiaszczyk miał rację. Coś się zmieniło na szachownicy, a on musiał tylko dostrzec co i przewidzieć kolejny ruch Palacza.

– Jakby się zastanowić, to pieniądze, które mi podrzucił, też nie miały wyrządzić szkody – przyznał Bohdanowi rację. – Pomijając oczywiście zepsute mięso na blacie.

– Mamy dwa typy działań – zawyrokował Siwiaszczyk. – Wybuch, próba otrucia komendanta Knighta, porwanie Marty to jedna sprawa, a pieniądze i lalka to coś zupełnie innego.

– No i morderstwo Wolańskiego – podrzucił inspektor.

– Nie wierzysz w samobójstwo? – bardziej stwierdził, niż zapytał Bohdan.

– Ani trochę.

– To ja tym bardziej – zapewnił Siwiaszczyk, a potem dodał: – Widziałeś kiedyś szachy dla trzech?

Redfern pokiwał w milczeniu głową. Powoli docierało do niego, co dziadek chce przez to powiedzieć, choć zupełnie wykraczało to poza jego wyobrażenie o sytuacji, w której się znalazł.

– Ktoś próbuje twoimi rękami posprzątać to miasteczko – powiedział poważnie Bohdan i odchylił się na krześle, wciąż przyglądając się uważnie wnukowi. Redfern westchnął i potarł czoło jak człowiek, który usiłuje odgrodzić się na chwilę od świata zewnętrznego.

– Naprawdę myślisz, że jest ich dwóch? – zapytał po chwili, podnosząc głowę. – To dlaczego po prostu do mnie nie przyjadą?

– Moim zdaniem ktoś tu steruje z tylnego siedzenia.

– Przykładając mi pistolet do głowy?

– Niezupełnie. Myślę, że nie chce się pobrudzić albo narazić. Ma wiele do stracenia. Teraz najważniejsze to znaleźć Martę.

– Nic innego nie robię – rzucił ostro David, ale pałaca prawda natychmiast utknęła mu w gardle, a była ona taka, że nie posunął się ani o kawałek i brakowało mu pomysłów, gdzie szukać kobiety. Siwiaszczyk zdawał się podchwycić myśl wnuka i skierował rozmowę na inne tory.

– Powiedzmy, że rozwalasz gang handlujący ludźmi, bo moim zdaniem o to tu chodzi – oznajmił dziarsko. – Tym zajmował się Adrian Bones, przez to prawdopodobnie zaginął jego partner Nathan Wood. Mamy też Ronalda Rudda, który coś odkrył, ale nie mógł się tym z tobą podzielić. Wierzył jednak, że to rozgryziesz. Dokąd nas to prowadzi?

– Do komputera, który zostawił Rudd, a którego chce Palacz albo palant, który gra w jeszcze inną grę.

– No to się mu przyjrzyjmy – zachęcił Siwiaszczyk.

Tak jak ostatnio przywitało go kilka ikon na ekranie, a pośród nich folder o dziwnej nazwie „I”. Redfern przeglądał go już wielokrotnie, ale poza koślawymi rysunkami małej Izy Wolańskiej, która bawiła się programem graficznym, nic innego nie znalazł. Jednak dziadek upierał się, żeby go przejrzeć, bo tylko on wiązał się jakoś z dziećmi.

– Słuchaj, a dlaczego przy tym obrazku są inne te literki? – dopytał Bohdan, kiedy kolejne minuty przeglądania obrazków dziewczynki nie przyniosły żadnych rezultatów. Przybliżył twarz do ekranu, uprzednio poprawiwszy okulary.

– Jakie literki?

– No te po kropce. – Siwiaszczyk się zirytował i zostawił wielki odcisk palca na błyszczącej matrycy w miejscu, gdzie widniała nazwa pliku: khndsgn, która nie różniła się pozostałych równie losowych stu nazw.

– Nie mam pojęcia – mruknął Redfern, klikając na ikonkę, która natychmiast się otworzyła. Jednak zamiast kolejnego koślawego rysunku składającego się z chaotycznych kresek i barw na ekranie wyświetliła się tabela przypominająca Excela.

– Bingo! – szepnęli obaj jednocześnie.



## ROZDZIAŁ VIII

Niedziela, 8.12.2013, rano

Entuzjazm wyparował z nich wraz z nastaniem północy. W niezwykle rozbudowanym dokumencie Excela znaleźli tylko dziwne skróty, godziny spotkań z osobami oznaczonymi wyłącznie inicjałami, ale nie było adresów ani numerów telefonów. Co jakiś czas pojawiał się skrót ATM, ale mimo że oznaczał bankomat, Redfern nie znalazł podejmowanych kwot. W jednej z zakładek Ronald Rudd zamieścił w komórkach linki do stron, na których znajdował informacje o porwaniach dzieci. Najwięcej było artykułów o zaginięciu jego wnuczki, Katie.

Redfern przypomniał sobie skład broni, który Rudd miał w swoim domku myśliwskim. To, co rzucało się w oczy, to niezwykle porządek. Inspektor wiedział, że z tego chaosu, który znalazł w tajemniczym dokumencie, również niebawem wyłoni się porządek, ale jeszcze go nie dostrzegął.

– Słuchaj, Dawidku – odezwał się zmęczonym głosem Siwiaszczyk – ja to się kładę, bo oczy mi się same zamykają. Zostawiam ci Bambiego, niech cię tu pilnuje.

– Dzięki, bez ciebie by się nie udało – powiedział Redfern, a dziadek tylko pokiwał głową, choć inspektor wiedział, że wyłącznie męska duma nie pozwala mu powiedzieć teraz czegoś miłego.

– Następnym razem chowaj dokładniej swoje zabawki. – Siwiaszczyk podniósł sztuczną rękę i pogroził nią Redfernowi, po czym wyszedł z pokoju, zamykając cicho drzwi.

Pod dom zakradł się świt i choć przez zasłony nie było go jeszcze widać, oznajmił nadejście swego panowania chorałem zbudzonych wron. Redfern patrzył otępiąłym wzrokiem w dokument na ekranie i wiedział, że nie zaśnie, póki tego nie rozgryzie.

W ostatniej zakładce była lista zakupów. Z zapisków zrozumiał, że chodziło o przygotowanie do akcji. Rudd kupił kalosze, kanister, dwa płaszcze przeciwdeszczowe, srebrną taśmę, latarki. Na liście było też wyposażenie pokoju dziecięcego, który Ronald urządził dla porwanej Izy, by przetrzymać ją we w miarę komfortowych warunkach. Redfern wciąż miał w pamięci spokojny wzrok dziecka, kiedy wtargnął do różowego pokoju w piwnicy. Iza Wolańska się nie bała, jakby wiedziała, że ktoś po nią przyjdzie. Ronald Rudd ją na to przygotował.

Wszystkim tym przedmiotom Redfern był w stanie przypisać zastosowanie, wiedział z całkowitą dokładnością, do czego i w którym momencie użyli ich Ruddowie. Wyjątek stanowiły kije do golfa, ale zanim Redfern zdołał pochwycić tę myśl, głowa opadła mu na biurko.

Niedziela, 8.12.2013, popołudnie

Zły, że zmarnował cały dzień, usiadł w kuchni i przeżuwał znaleziony w garnku ryż z kurczakiem i warzywami. Zmęczenie sprawiło, że danie mu nie smakowało. Obolały po nocy spędzonej na krześle kark nie nadawał się do trzymania głowy, więc Redfern oparł ją o rękę i pogrążony w myślach, próbował zebrać siły. Zanim dojrzał do końca śniadania, herbata wystygła, więc wstał i wylał ją do zlewu.

W domu panowała cisza – znak, że Siwiaszczyk poszedł z psem na spacer. Redferna znów ogarnęła myśl, że nie chce zaczynać dnia, że najbezpieczniej będzie wrócić do pokoju, położyć się do łóżka i przestać istnieć dla świata. Przetarł dłonią zmęczoną twarz, ale zanim zdążył wcielić w życie ten żałosny plan, usłyszał przekręcanie klucza w zamku, a zaraz po

nim człapanie wielkich łap. Bandit rzucił się na swojego pana, zlizując z niego strzępy złych myśli. Po chwili w progu stanął zasapany Siwiaszczyk z zaczerwienionymi od zimna policzkami.

– Jadłeś śniadanie?

– Tak, wciągnąłem risotto – odparł mrukliwie David.

– To, które ugotowałem dla Bandita? – przerwał mu z wyrzutem dziadek, po czym wybuchnął głośnym śmiechem, łapiąc się za brzuch opięty kraciastą koszulą.

– Cholera! – zaklął Redfern. – Tak czułem, że jakieś takie niedoprawione!

– Nie mów, że bez smaku, bo dołałem witamin dla szczeniąt – dodał Siwiaszczyk, nie przestając się śmiać. – Podobno świetne na stawy.

Redfern spiorunował go wzrokiem, udając złość.

– No widzisz, Dawidek, tak się kończą te twoje diety dla psów – powiedział Siwiaszczyk. – Człowiek nie wie, czy to, co znajdzie w garze, jest dla niego. Jakby w lodówce na dolnej półce była tylko mortadela, to nie byłoby dylematów.

Redfern odzyskał humor i siły. Korzystając z miłego początku dnia, zagrali kilka partii remika, a potem obejrzeni pierwszy odcinek serialu o Poirocie. Inspektor stwierdził, że ta naiwna rozrywka paradoksalnie dobrze zrobiła jego psychice.

– A jak sprawy w komendzie? – zapytał Siwiaszczyk, gdy wyłączył telewizor.

– Mam morderstwo jednego staruszka na tapecie. Niby prosta sprawa, ale nie można jej z żadnej strony ugryźć.

– Bywa i tak – powiedział filozoficznie Siwiaszczyk.

– Z jednej strony mam małomiasteczkowe społeczeństwo, które łączy jakaś zmowa milczenia, a z drugiej stary ród Stanleyów, który teoretycznie nie ma nic do ukrycia, a z trzeciej państwo, które w biały dzień obrabowało obywatela.

– Czekaj, czekaj! – Siwiaszczyk wszedł mu w słowo. – Ci Stanleyowie od doktora Livingstone’a?

– A ty skąd wiesz?

– Pamiętam jeszcze z czasów komuny. To znaczy nie Stanleya, ale książkę o nim, którą czytałem za czasów słusznie minionych.

– W Polsce wydawano książki o angielskich podróżnikach? – Redfern się zdziwił.

– Wydawano mnóstwo fajnych książek i do dziś pamiętam kolejki do księgarni, gdy rzucono do którejś towar – odparł Siwiaszczyk. – A książki o angielskich podróżnikach, królach i awanturkach pisał niejaki George Bidwell. Sprowadził się w latach sześćdziesiątych do Polski i został. Zarabiał, pisząc książki. Jak pójdziesz do mojego pokoju, to znajdziesz kilka takich w płóciennych oprawach.

– A ten Bidwell to samobójca? Nikt normalny nie sprowadza się do kraju targanego czerwoną zarazą.

– Ja tam nie wiem. Z tego, co czytałem, to przyjechał do Polski jako dyrektor British Council, ale zakochał się w pewnej Annie, tłumaczce, i już został, a czy władza komunistyczna motywowała go jakoś dodatkowo, to pewności nie mam. Wiem natomiast, że pisał takie fabularyzowane historie wielkich Anglików, by przybliżyć rodakom żony ten odległy kraj. Pamiętam, że czytało się to z wypiekami na twarzy. W każdym razie w moim pokoju stoi pomarańczowa książka o Stanleyu. Idź i sobie weź.

Redfern nie miał ochoty czytać starych książek, ale nie chciał psuć dobrego nastroju. Poszedł do sypialni dziadka i pośród licznych tomów odnalazł ten, o którym mówił Siwiaszczyk. Na płóciennej okładce odcisnięty był napis „Stanley”, a pod spodem – dwa krokodyle, które coś Redfernowi przypomniały. Inspektor szybko przerzucił parę kartek, natrafiając na zdjęcia, które widział już w różnych reprodukcjach. Zaniósł książkę do swojego pokoju i wrócił do Siwiaszczyka, który o dziwo nie zapadł jeszcze w drzemkę.

Rozprawę o George’u Bidwellu i jego książkach, którymi starszy mężczyzna był oczarowany, przerwał telefon. Redfern nie rozpoznał numeru, więc na wszelki wypadek przeprosił dziadka i wyszedł do kuchni.

– Dzień dobry, z tej strony Michelle Partner ze szpitala The Priory. – Usłyszał w słuchawce szorstki głos. – Podobno chciał pan ze mną rozmawiać.

– Dziękuję, że pani zadzwoniła. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co się dzieje z Lindą Wall. – Redfern przysunął sobie stołek i usiadł na nim. Był zaskoczony, że dyrektorka zadzwoniła w niedzielę.

– Cóż, nie powinnam mówić panu takich rzeczy – rozpoczęła protekcjonalnie – a już z pewnością nie przez telefon, ale pacjentka przeszła załamanie nerwowe.

Sięgnął po leżący na stole długopis i zaczął nim pstrykać, a gdy to nie pomagało, niepokój o Lindę starał się zneutralizować, bazgrząc po gazecie chaotyczne wzory.

– Kiedy ostatnio ją odwiedzałem, czuła się całkiem dobrze – zdziwił się.

– Oczywiście, ale musi pan wiedzieć, że w terapii czasem zdarzają się trudniejsze momenty. Są pewne katalizatory takich reakcji – mówiła okrężnie.

– Domyśla się pani, co było powodem? Dostała jakieś wieści o dzieciach?

– Z tego, co doniósł mi personel, chodzi o wizytę kogoś innego.

– Kogo?

– Niech pan ode mnie nie oczekuje, że podam panu listę gości mojej pacjentki – obruszyła się dyrektorka. – Już samo to, że z panem teraz rozmawiam, dalekie jest od standardów obowiązujących w naszym ośrodku.

– Jasna sprawa. Jestem pani ogromnie zobowiązany i może pani być pewna, że nikt nie dowie się o naszej rozmowie – zapewnił szczerze. – Jak się czuje Linda? Mogę ją odwiedzić?

– Jest na silnych lekach, więc wizyta przez jakiś czas nie będzie możliwa – odparła rzeczowo kobieta. – Powiadomiliśmy jej męża, ale z przykrością muszę stwierdzić, że w jego głosie nie było słyhać przejęcia. Z doświadczenia wiem, że to mogłoby pomóc w terapii. Wsparcie rodziny jest w takich sytuacjach nieocenione.

– Ma pani rację – przyznał Redfern, choć wspomnienie wsparcia, jakiego jego matka udzielała ojcu, w żaden sposób nie potwierdzało tej teorii. Niemniej jednak wciąż miał nadzieję, że wizyta męża mogłaby okazać się dla Lindy zbawienna. Obiecał sobie, że postara się z nim skontaktować.



Tymczasem nie wychodziło mu z głowy jedno pytanie. – Pani Partner, proszę posłuchać. Wiem, że proszę o wiele, ale czy może mi pani zdradzić, czy Wall odwiedziła kobieta, czy mężczyzna?

Michelle Partner odchrząknęła i Redfern był pewien, że za chwilę znów mu przypomni o standardach szpitala, ale po chwili usłyszał odpowiedź, której podświadomie się spodziewał:

– To była kobieta.

Redfern ponownie podziękował dyrektorce i rozłączył się. Nie musiał pytać o personalia kobiety i to najbardziej go martwiło. Nie odkładając aparatu, napisał SMS. Odpowiedzi, którą otrzymał po chwili, również się spodziewał.

Wrócił do pokoju i usiłował udawać, że nic się nie stało, ale stary milicjant nie dał się zwieść. Aby oszczędzić sobie serii pytań, Redfern od razu oznajmił:

– Słuchaj, skoczę na chwilę do firmy. Muszę coś sprawdzić, ale najpóźniej za godzinę będę z powrotem.

– Jeśli to takie ważne, że musisz poświęcić temu swoją wolną niedzielę, to leć – powiedział obrażonym tonem Siwiaszczyk, ale zaraz potem dodał z uśmiechem: – Stuprocentowy gliniarz.

– Nie inaczej. – David uśmiechnął się w progu i wyszedł, natychmiast poważniejąc.



Summer Winter zastał w konferencyjnej. Skupiona na kartkach rozłożonych na wielkim stole, nie podniosła głowy, gdy Redfern zamykał drzwi. Mruknęła jedynie niezrozumiałe powitanie. Inspektor stanął naprzeciwko i chwilę się jej przyglądał, gdy wodziła palcem po jakimś wydruku z sygnaturą prokuratury.

– Nie sądziłem, że się do tego posuniesz. – Zza kurtyny wściekłości dotarły do niego jego własne słowa.

– Co? – Summer podniosła głowę i wlepiła w niego zdziwiony wzrok. Była w tym tak autentyczna, że przez ułamek sekundy Redfern był gotów przysiąc, że pomylił się w domysłach.

– Po co do niej pojechałaś? – zaryzykował pytanie.

– Do kogo?

– Nie rób ze mnie idioty – warknął. – Linda potrzebuje spokoju, a nie wizyt korposzczura, który chce ją wygryźć. Wiesz, że po twojej wizycie przeszła załamanie nerwowe?

Summer znieruchomiała. Jej źrenice rozszerzyły się jak u atakującego kota, jednak atak nie nastąpił. Wsadziła sobie końcówkę długopisu do ust i chwilę ją przygryzała, po czym wyciągnęła go i wycelowała nim w inspektora.

– Tak nisko mnie cenisz? – wycedziła.

– A tak nisko upadłaś? – Redfern nie mógł opanować drżenia rąk, więc schował je do kieszeni. – Możesz sobie być córeczką nawet samego Hogana-Howe’a, ale nie będziesz tu pracować. Nie ma miejsca dla takich ludzi w moim zespole.

– To już nie jest twój zespół, Dave – oznajmiła zimno. – Zostawiasz go w totalnym rozpadzie i masz to gdzieś. Więc jeśli myślisz, że będę się biernie przyglądać, jak kolejne stare cepy rozsiadają się wygodnie na nowych stołkach, to się mylisz. W przeciwieństwie do ciebie mnie zależy na tym teamie, który lada moment gruchnie o ziemię. – Każde słowo Summer padało z szybkością i siłą kul z karabinu. – Wiesz, dlaczego Tinney przyjął zaproszenie do tego nowego wydziału? Uprzedzę twoją odpowiedź, bo jest gównem warta. Wcale nie chodzi o karierę. Puszka odchodzi, bo go olałeś, a ja nie zamierzam. Chcę go namówić, żeby został, bo to świetny policjant, ale do tego potrzebuję czystego pola do działania.

– Gratuluję wyboru metody – podsumował.

Redfern chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował. Cokolwiek by teraz próbował tłumaczyć, rozbiłoby się to o jej cynizm i wściekłość. Chwycił za klamkę, ale Summer nie skończyła.

– A jeśli chcesz wiedzieć, to Wall sama do mnie zadzwoniła – wypaliła.

– Po co miałyby to robić? – zatrzymał się i odwrócił.

- Żeby dowiedzieć się tego, czego jej nie mówisz.
- I ty poczułaś się w obowiązku dać jej pełny obraz sytuacji?
- Tak jest dla wszystkich najlepiej.

– Dla ciebie z pewnością.

– Chcę, żebyś wstawił się za mną u Knighta. – Zignorowała jego uwagę. Jej głos pozbawiony był emocji, jakby z poprzednim oddechem wyłączyła je bezprownotnie. – Co ci zależy? I tak po świętach już cię tu nie będzie.

Chciał odejść, ale poraziła go pewna myśl, która kazała mu zostać w sali. W tej awanturze, w tych wszystkich złych słowach wcale nie chodziło o Puskę ani nawet o niego samego. Wbrew jego pierwszym oskarżeniom Summer pokazała ludzkie oblicze, a cynizm był formą obrony. Zastanawiał się przed czym.

– Summer, nie musimy się ranić.

– Doprawdy? A ja myślałam, że to jedyna forma kontaktu z inspektorem Redfermem. Cios za cios, bo inaczej nie zareaguje.

– Coś w tym jest – przyznał jej rację.

Summer opuściła długopis i przypatrywała mu się w milczeniu. Wreszcie podniosła głowę.

– Musisz zostać, Dave. Dla dobra zespołu. Zaraz pojawi się komendant Knight, McMahon wróci miłościwie nam szefować, a ty mógłbyś spokojnie zajmować się tym, czym do tej pory, czyli uprzykrzaniem wszystkim życia.

– Uśmiechnęła się prawie wesoło.

Redfern chciał jej powiedzieć, że McMahon najpewniej wróci do swoich zajęć w wydziale wewnętrznym, ale wolał, żeby sama odkryła, czym zajmuje się jej ojciec.

– Zostawmy na chwilę moje życie zawodowe, OK? – poprosił. – Co z twoim przejściem do obyczajówki?

– Są nowe wytyczne. Na takie stanowisko jak Johanesa musi być rekrutacja w normalnym trybie, każdy ma mieć równe szanse, jasna sprawa, z tym się nie dyskutuje. Musiałam się więc zgłosić, jak każdy inny kandydat. CV, rozmowa i cała ta HR-owa szopka. Złożyłam papiery.

– No i jak?

– Stanowisko Johanesa nie zostało obsadzone – oznajmiła. – Rozmowy w ogóle się nie odbyły.

– Jak to? Nikt nie spełnił warunków? Nawet ty?

– Nie wiem – odparła. – Dział kadr anulował rekrutację, bo zgłoszenia były za mało – zawiesiła głos – urozmaicone.

– Pod jakim względem?

– Tak z grubsza to kulturowym, genderowym i etnicznym – wymieniła beznamyślnie i odłożyła długopis na stół. – Podobno zgłosiłam się ja, ktoś z Guildford i jakaś dziewczyna z Peterborough, ale okazało się, że...

– Daj mi to sobie poukładać. – Redfern podniósł rękę, żeby zatrzymać słowotok Summer. – Masz kwalifikacje, stopień i doświadczenie, ale nie dostajesz pracy, ponieważ wpłynęło za mało CV od ludzi o innym kolorze skóry albo płci?

– Mniej więcej.

– Rozumiem mechanizm i jego cel, ale przecież obyczajówka nie może zostać bez szefa – powątpiewał Redfern.

– Johanes jest z nami do końca roku, więc może coś się do tego czasu wyjaśni – powiedziała z nadzieją w głosie Summer.

– Może – mruknął niechętnie, usiłując zrozumieć, co właściwie się wydarzyło, ale o czymkolwiek teraz nie próbował myśleć, wszystko skupiało się wokół tego, co usłyszała Linda, że doprowadziło ją to do takiego stanu, bo z pewnością nie chodziło tylko o wizytę Summer.

– Posłuchaj, z Lindą to nie tak – powiedziała cicho sierżantka, jakby czytając w myślach inspektora. – Ona sama mnie zaprosiła, a nasza rozmowa była całkiem OK. Jest w porządku i życzę jej jak najlepiej, ale oboje wiemy, że trudno będzie jej wrócić do dawnego życia.

– Czas pokaże. – Redfern nie miał ochoty ciągnąć tego tematu.

Pożegnał się z Summer, wciąż nie mogąc się pozbyć myśli, że policjantka nie była z nim do końca szczerą. Wsiadając do auta, był pewien jednego – dla dobra wszystkich do końca służby musi ją trzymać na dystans.

Wrócił do domu wyczerpany, co dziadek pominął wymownym milczeniem. Dla Redferna oznaczało to, że będzie musiał wykrzesać z siebie jeszcze trochę energii, by udobruchać Siwiaszczyka. Miał na to

niezawodny sposób – wspólny posiłek, najlepiej bez konieczności gotowania.

Po obiedzie, który zamówili w hinduskiej restauracji, dziadek zaproponował kieliszek koniaku, ale choć Redfern chętnie przyjąłby dawkę znieczulenia, odmówił. Tego wieczora miał do zrobienia jeszcze jedną rzecz i był pewien, że będzie potrzebował nie tylko trzeźwego umysłu, ale i refleksu.

### Niedziela, 8.12.2013, wieczór

Zaparkował samochód, mocno wcinając się w przylegającą do ulicy zatoczkę. Z zadowoleniem stwierdził, że z drogi triumph pozostaje praktycznie niewidoczny, a jednocześnie stoi dość blisko, gdyby Redfern potrzebował szybkiej ewakuacji.

Tereny Silver Manor znał jak własną kieszeń, która w czasach, gdy odwiedzał posiadłość, świeciła pustkami. Mimo to Bonesowie dopuścili go z powrotem do Adriana, z którym jeszcze w Edynburgu tworzyli wspaniałą przyjaźń. Jednak Isabelle Bones nigdy nie zapytała Redferna o matkę ani nawet o to, jak David się czuje po jej samobójstwie. Nigdy też nie zaproszono do Silver Manor Siwiaszczyka, który sprowadził się wraz z wnukiem do Woking. Młody David często czuł się rozdarty między światem niewyobrażalnego bogactwa a zatęchłym domem, który Bohdan dostał od urzędu miasta. Bał się opowiadać dziadkowi, co jadł u Bonesów na lunch, by nie robić mu przykrości, kiedy cienko smarował kanapki marmite'em. Tą pełną witamin pastą z ekstraktu drożdżowego karmiono niegdyś jeńców wojennych, a także głodujących na Sri Lance. Redfern do dziś nie mógł zrozumieć, jak ten produkt mógł zawładnąć sercami Anglików, podczas gdy u niego wywoływał odruch wymiotny. Pamiętał, że w latach dziewięćdziesiątych przeprowadzono kampanię reklamową pod hasłem „Kochaj lub nienawidź”. Davidowi zdecydowanie bliższe było to

drugie uczucie. Nawet w języku utrwalilo się określenie „efekt marmite”, oznaczające reakcję na to, co wywołuje kontrowersje.

Kontrowersyjne były też słowa Isabelle Bones na temat próby samobójczej jej syna. Redfern po prostu w nie nie wierzył. Potrzebował tylko kilku informacji, by dowieść, że kobieta albo kłamała, albo została okłamana, a dowody miał na wyciągnięcie ręki.

Z dala od łuny miasta ciemność miała zupełnie inny, antracytowy kolor, do którego wzrok Redferna nie mógł się przyzwyczaić. Odrzucił pokusę włączenia latarki, którą miał w kieszeni, i niemal po omacku szedł wzdłuż ogrodzenia. Po kilku minutach spaceru wreszcie znalazł to, czego szukał. Ruchomy pręt, który jeszcze za szczeniaka pokazali mu Patricia z Adrianem, ustąpił pod lekkim naciskiem. Powstały w ten sposób otwór dziś wydawał się znacznie mniejszy. Mimo to Redfernowi udało się przecisnąć.

Dwuizbowy dom dla służby stał wciśnięty w róg posiadłości, tak by nie drażnić oczu lordostwa, które wybudowało Silver Manor w osiemnastym wieku, ale też dawać dyskretny podgląd na to, co dzieje się u zamieszkującego go pospólstwa. Kiedy sto lat temu do posiadłości wprowadzili się pierwsi Bonesowie, dom przekształcono w domek dla gości i tak zostało aż do wybuchu. W czasie studiów Adrian często urządzał w nim dzikie imprezy wspomagane luksusowym barkiem ojca. John Bones miał dla syna ważne zadanie i pozwalał mu wyszaleć się przed przejęciem rodzinnego imperium. Nie wziął pod uwagę tego, że Adrian wyobrażał sobie swoją przyszłość z dala od sal konferencyjnych i biura na najwyższym piętrze The Gherkin. Adrian Bones chciał pracować w służbie kraju, na którego fundamentach jego pradziadek zbudował swoją potęgę.

Redfern wyprostował się i rozejrzał. Pozbawiony szyb w oknach dom kojarzył się z lalką, której ktoś wyłupił oczy. Inspektora zdziwiło, że przez tyle czasu nikt nie pokusił się o naprawę budynku. Pomyślał, że może to jakaś makabryczna pamiątka, która miała Bonesom przypominać, jak kruche mogą być imperia. Ruszył w kierunku posępnego kształtu, ledwo widocznego na tle czarnego nieba. Stojący w oddali główny budynek przypominał kalendarz adwentowy – część okiennic była otwarta i można

było dojrzyć kapiące przepychem wnętrza, inne, pozamykane na głucho, pozostawały nieprzeniknioną tajemnicą.

W miarę zbliżania się inspektor czuł pod butami kawałki szkła, które zapewne obsypały błonia w promieniu kilkunastu, jeśli nie kilkuset metrów. Wślizgnął się do domu przez otwarte drzwi. Upewniwszy się, że na patio willi nikt nie siedzi, Redfern uznał, że może włączyć latarkę, ale na wszelki wypadek trzymał ją nisko. W strumieniu światła zobaczył parę swojego przyspieszonego oddechu i liście, które przyniósł tu wiatr i które tworzyły szeleszczący dywan. Stawiając na nim niepewne kroki, Redfern bał się, że nie tylko może zostać usłyszany, ale też może nie usłyszeć zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Wreszcie dotarł do kuchni, gdzie na wielkiej sofie tamtej feralnej nocy spał Adrian Bones. Z mebla został tylko przerażający czarny szkielet, z którego gdzieś wcięż sterczały żółte kawałki skóry. Redfern podszedł do niej i uklęknął. Mimo upływu ponad dwóch lat w pomieszczeniach nadal unosił się zapach spalenizny – albo jego wyobraźnia pracowała na zbyt wysokich obrotach. Przejechał światłem latarki po ścianach i natrafił na miejsce, gdzie najpewniej stała butla. Przy tylnych drzwiach, które teraz utrzymywał tylko górny zawias, Redfern zauważył na podłodze dziwny ślad, jakby mazaj wykonany wielkim pędzlem. Inspektor ostrożnie rozgarnął liście i po chwili wiedział, że to tędy Adrian Bones wy dostał się z budynku, ale malowidło, które zostawił, podsuwało inny aniżeli ten przedstawiony przez Isabelle obraz sytuacji. Osadził w pamięci tę myśl i prześlizgiwał światłem latarki przez kolejne centymetry posadzki. Dotarł pod wygięty od gorąca plastikowy parapet, który odsłonił przestrzeń między szafkami kuchennymi a ścianą. Pchnięty ciekawością zajrzał w szczelinę i zamarł. Latarka wypadła mu z dłoni, omiatając pokryty sadzą sufit.

– Tam ktoś jest! – dotarło do niego. Rzucił się na podłogę, zakrywając latarkę ciałem, i przeczołgał się w głąb domu.

– Zdawało ci się, Pat.

– Mamo, nie mów tak do mnie! Nienawidzę tego zdrobnienia. Idę to sprawdzić!

– Daj spokój, kochanie. – Isabelle starała się uspokoić córkę. – Ochrona się tym zajmie.

Nie miał czasu do stracenia. Schował znalezisko do kieszeni kurtki i podczołgał się do wyjścia, a gdy tylko je przekroczył, rzucił się biegiem w stronę dziury w płocie. Dopadł do samochodu i nie zapalając świateł, odjechał w stronę centrum Woking. Zatrzymał się dopiero w zatoczce koło McLarena.

Wciąż jeszcze dysząc ciężko, patrzył na swoje poranione dłonie, w których trzymał trzy kawałki idealnie wyciętego szkła. Redfern wiedział, że Adrian Bones nie był w tamtym domu sam, a przynajmniej z pewnością sam nie zdetonował butli.

Niedziela, 8.12.2013, noc

Pukanie do drzwi uświadomiło mu, że totalnie nawalił. Poprawił narzutę na łóżku, jednym ruchem zmiotł papiery z biurka do szuflady i otworzył okno w nadziei, że wpadający wiatr zabierze ze sobą panujący w pokoju zaduch, zanim Duża Elsa do niego wejdzie. Następnie pobiegł do przedpokoju, odsunął szczekającego psa i w pozycji półkłęczącej otworzył drzwi.

– Schlebia mi pan, panie Redfern, ale mam już męża. – Zaśmiała się i wchodząc do środka, zaczęła zdejmować szal, którym natychmiast zajął się Bandit. Gdy Redfern uporał się w wyciąganiu jedwabiu z psiej mordki, zaprowadził prokuratorkę do pokoju, a sam poszedł do kuchni zaparzyć im herbaty. Zastanawiał się, kiedy Bente zapyta go o zabandażowane dłonie, ale nie zrobiła tego. On sam natomiast nie mógł uspokoić rozszalałego od hipotez umysłu. Widział jedno: teraz musi się skupić.

Usiedli przy biurku i Redfern bez większych wstępów otworzył swojego starego laptopa. Włączył go pierwszy raz od momentu, gdy wylądował na dnie szafy po tym, jak inspektor się zorientował, że zamontowano na nim



oprogramowanie szpiegujące. Robił to bardzo niechętnie, ale tylko tam miał kopię nagrania, które zrobiła Wolańska. Matka porwanej dziewczynki spotkała w zgliszcach starej fabryki kobietę, która twierdziła, że zna prawdę o porwanych dzieciach. Redfern mógł to streścić prokuratorce, ale uznał, że lepszy efekt uzyska, puszczając jej audio.

– Będziemy coś oglądać? – zapytała.

– Słuchać – powiedział i kliknął na ekranie biały trójkąt odtwarzacza.

Gdy nagranie dobiegło końca, Bente Hansen siedziała chwilę w milczeniu. Tykanie skrzyniowego zegara zlało się z jej oddechem, sprawiając, że nie było go słychać, a o jej zdenerwowaniu świadczyła tylko szybko unosząca się i opadająca klatka piersiowa.

– Skąd to masz? – wydusiła z siebie.

– Od Kingi Wolańskiej, ale tak jak mówiłem, nie łączcie z nią tego – zażądał Redfern. – Dość już się nacierpiała, najpierw porwanie dziecka, teraz śmierć męża.

– Jasne – zgodziła się Bente. – Myślisz, że ta kobieta mówi prawdę, że tych dzieci jest więcej? Może tylko szukała uwagi, liczyła na kasę albo rozgłos?

– Jest w jej słowach coś tak ciężkiego, że nie sądzę, by ktoś wymyślał historię tego kalibru tylko po to, by ugrać coś dla siebie – oświadczył Redfern i z każdym kolejnym słowem mocniej w to wierzył.

Za każdym razem, gdy przypominał sobie opowieść squatterki o związanym nagim chłopcu i pobitej na śmierć dziewczynce, której ktoś zrobił mocny makijaż, robiło mu się niedobrze. Zaraz potem wzbierały w nim niewyobrażalny gniew i niezgoda, by takie bestialstwo w ogóle się zdarzało, a po chwili przychodziła rozrywająca duszę bezradność.

– Co mam z tym zrobić? – spytała Bente. – Ta bezdomna wyraźnie zwraca się do Wolańskiej, nie da się tego odseparować.

– Wiem, ale musisz tak pokierować tym śledztwem, żeby agenci sami wpadli na to, że sprawa dziewczynki z fabryki to nie jest odosobniony przypadek.

– Trzeba jak najszybciej znaleźć tę kobietę – zawyrokowała prokuratorka, a przez jej twarz przemknęło coś, co nie spodobało się Redfernowi.

– Mam nieodparte przeczucie, że już jej nie spotkamy – powiedział. – Idzie zima i squattersi przenieśli się do noclegowni w całym kraju. To szukanie igły w stogu siana. Skupiłbym się raczej na tym facecie, przynajmniej mamy imię i jakiś wąły ślad z tym golfem.

– Gość z pewnością posługiwał się ksywą, a ten golf zapewnił mu pewnie pijackie audytorium i jako taki szacunek. Ten filar ma wytrzymałość zapalki.

– Czasem od jednej od zapalki zaczynają się wielkie pożary.



## ROZDZIAŁ IX

Poniedziałek, 9.12.2013, rano

– Chyba mam bombę, albo chociaż petardę. – Posterunkowy nie krył dumy, a Redfern pomyślał, że będzie mu brakowało Puszki. Dzięki tym wszystkim policyjnym szkoleniom rozwinie skrzydła, na których wyfrunie z komendy Woking. W tej samej sekundzie dotarło do niego, że za kilka dni sam ją opuści.

– No to odpalaj – zachęcił żywo, by odciągnąć uwagę wszystkich od swoich rąk.

– Sir Michael Stanley i cała jego rodzina borykali się z wielkimi długami. Głównie za sprawą tego pierwszego, który przehulał w londyńskich kasynach prawie cały majątek. Facet ma gest, jednego wieczora potrafił przegrać stówę lub dwie.

– Powiedziałaś „borykali” – zauważyła Summer.

– Bo przestali. Michael wrócił do gry, ponieważ jego konto zostało zasilone niebagatelną sumką miliona funtów.

– Kto je zasilił? – spytał Redfern.

– No i tu dochodzimy do tej bomby, bo wpłaty dokonało Laboratorium Wirusologiczne Instytutu Pirbright.

– To, które mieści się za miasteczkiem? – Inspektor nie krył zdziwienia.

– To samo – potwierdził Puszka. – Udało mi się z nimi rano skontaktować i potwierdzili, że podpisali umowę przedwstępną na część terenu

Stanleyów. Zamierzają tam budować odizolowane laboratorium na jakieś wirusy zwierzęce czy coś.

– Dlaczego akurat tam? – zapytał Redfern, przypominając sobie, że gdy przejeżdżał koło instytutu, zauważył wielkie wolne przestrzenie.

– Przyczyna jest prosta. Przez ich tereny przy Ash Road przebiegają ścieżki publiczne, a jak wszyscy wiemy, ścieżka publiczna to rzecz święta. Musieli szukać innego terenu.

– To ma się skończyć – rzucił McMahon. – Chyba tylko do końca dwa tysiące dwudziestego pierwszego można zgłaszać te ścieżki. A swoją drogą, może mi ktoś wyjaśnić, dlaczego ktoś buduje siedlisko wirusów koło ośmiomilionowego miasta? Boję się myśleć, co by się stało, gdyby coś stamtąd uciekło.

– Ktoś tu się naoglądał *World War Z* – przekomarzała się Summer. Redfern zauważył, że jej wzrok łagodniej traktuje McMahona, który był coraz mocniej obecny w zespole. Wszystko to składało się na dobry stan rzeczy, który wbrew temu, co usłyszał wczoraj, mógł zostawić bez wyrzutów sumienia.

– A tymczasem – ciągnął Tinney – okazuje się, że teren, który kupili od Stanleyów, przylega do tego spornego Kennetha O'Malleya.

– Czyli teraz już wszyscy mieli motyw, by sprzątnąć staruszkę? – spytała sarkastycznie sierżantka.

– Tu nie może chodzić o tę ziemię – zaprzeczył ostro Redfern. – Ruszcie głowami. Ten teren już przepadł. Ostatni kontakt z urzędem miasta O'Malley miał ponad dwa miesiące temu, czyli wychodzi na to, że odpuścił. Szukał czegoś innego i możliwe, że miało to związek z tym, co było na strychu.

– Szukał skarbu?

– Wciąż nie jestem przekonany, czy mówiąc o skarbie, myślimy o tym samym co Kenneth O'Malley, bo przecież miał jakieś pieniądze.

– Nie jakieś, tylko trzysta tysięcy funtów, które tajemniczo pojawiają się na koncie naszej ofiary, po czym równie tajemniczo znikają, zostawiając znów puste konto.

– Kto zrobił przelew?

– Nikt. O'Malley sam je wpłacił, a po miesiącu wyciągnął – odparł Tinney.

– Może więc dlatego zginął? – zastanawiała się głośno Summer. – Miał kasę w skarpecie, ktoś się dowiedział i zabił dziadka. To by tłumaczyło włamanie do domu i sprzątnięcie wszystkiego z jego pokoju. Może O'Malley zakopał gdzieś pieniądze i dlatego mapy z jego domu zniknęły? Ktoś zacierał ślady tej forsy.

Redfernowi podobała się aktywność zespołu i to, że wreszcie się odblokowali. Wiedział, że nie do końca chodzi o śmierć staruszka, ale o sekrety, które ją spowijały. Atmosfera tajemnicy podziałała na zespół motywująco i Redfern nie miał im tego za złe. Stara posiadłość, majątek i zmurszałe układy małego miasteczka sprawiły, że znów przyszedł mu na myśl Poirot, który zawsze potrafił dostrzec w tym wszystkim ludzką ułomność i skłonności, których wyplewić nie potrafiły żadne fortuny ani tytuły.

– Trzeba zatem się dowiedzieć, skąd O'Malley miał takie pieniądze. Puszka, skontaktuj się z bankiem, najlepiej z kimś, kto wtedy obsługiwał naszego starszego pana. Może powiedział, skąd wziął taką kwotę, a może zdradził, co zamierza zrobić po jej podjęciu. No dobrze, a co wiemy o radzie parafialnej, Summer?

– Zasiadają w niej sami nasi znajomi: dwoje Stanleyów, pastor, Kalulu M'Hali, właściciel White Hart, Ben Green, jakiś Marcus Bevan, właściciel sklepu ogrodniczego, dyrektorka szkoły, Albert O'Malley i oczywiście wójt.

– Marcus Bevan to mąż Caroline – wyjaśnił Redfern i coś zaczęło mu świtać, ale jeszcze nie potrafił ubrać tego w słowa. – Czym się zajmują?

– Głównie małomiasteczkowe duperele, czyli akcja sadzenia kwiatków na wiosnę, sprzątnięcie cmentarza, zapewnienie bezpieczeństwa koło podstawówki, drobne konflikty we wsi.

– I zgłoszenie do Urzędu Gminy Woking ziemi O'Malleya – odpowiedział Redfern.

– Robią sobie różne głosowania i sterują życiem wiejskim. Potężna władza, nie ma co. – Summer uśmiechnęła się pod nosem.

– Władza nie ma określonego rozmiaru, każda może upijać, a im mniejszy człowiek, tym mniejsza dawka mu wystarczy – rzucił inspektor.

W myślach zaczął liczyć, kto z tej jedenastki najbardziej zyskiwał na śmierci O'Malleya. Od razu odrzucił osoby, których nazwiska jak dotąd nie przewijały się przez akta, oraz Alberta O'Malleya. Jego myśli dotarły do Kalulu, który mógł doznać krzywd od O'Malleyów, ale była to zbyt odległa przeszłość. Ben Green i właściciel pubu znajdowali się na najdalszej orbicie i Redfern nie widział punktów przecięć z życiorysem Kennetha. Pozostali mu Stanleyowie, pastor, który miał alibi, oraz Marcus Bevan, który już wcześniej miał problemy z agresją.

– Jeśli jesteś ciekawa, to następną sesja tej loży masońskiej jest już jutro w południe – powiedział Tinney. – Emocje mogą być jak na rybach.

– A co z tym strychem w Furzehill? – dopytał McMahan, najwyraźniej chcąc zwrócić uwagę na wyprawę Redferna do domu aukcyjnego.

– Ślepa uliczka – odparł Redfern. – Stanleyowie wszystko upłynnili na aukcjach. Podejrzewam, że udało im się dzięki temu załatać dziurę budżetową. O'Malley też w nich uczestniczył, ale bez skutku. Został przelicytowany, a potem wyproszony z imprezy. To wszystko, co wiem, i jak dotąd nie widzę żadnego związku.

– Czyli cały czas krążymy wokół tych Stanleyów – podsumował McMahan.

– Nie wiem, Greg – wyznał szczerze inspektor. – Widzimy to, co chcemy zobaczyć, a nie sprawy takie, jakie są naprawdę. Tutaj chodzi o coś prostego jak życie Kennetha O'Malleya. Jakie życie, taka śmierć – podsumował, a gdy w sali zapadła niewygodna cisza, powiedział głośno: – No dobrze. Trzeba się dowiedzieć, co z tymi pieniędzmi. Ty, Summer, idziesz na sesję rady parafialnej i konfrontujesz towarzystwo. Ja jadę poszukać Marcusa Bevana.

W sali pozostała tylko Summer, która najwyraźniej czekała, aż wszyscy wyjdą. Redfern doskonale wiedział, czego od niego chciała.

– Co z twoimi dłońmi?

– Zaciąłem się przy goleniu.

– Pytam poważnie.

– A ja poważnie mówię ci, że wylałem sobie na rękę wrzątek, gdy odcedzałem makaron – rzucił, składając dokumenty do teczki.

– Nie potrafisz kłamać, zresztą tak jak gotować, z tego, co słyszałam – odcięła się Summer.

– Nie kłamię, po prostu ukrywam prawdę – rzucił przekornie, dając znak, że sierżantka więcej się nie dowie. – Widzę, że radzisz sobie z McMahonem.

– Tak, spotulniał, odkąd ma na głowie tych z agencji – odparła niechętnie, po czym zastygła, jakby w oczekiwaniu na kolejne pytanie, które nie padło.

Redfern nie miał ochoty drażnić tematu. Nie zamierzał jej do niczego zachęcać ani też dawać do zrozumienia, że jej troska jest mu zupełnie obojętna. Wciąż jeszcze nie wyrobił sobie zdania na temat tego, co wydarzyło się w szpitalu The Priory i póki nie porozmawia z Lindą, nie chciał wysłać sierżantce Summer Winter żadnych sygnałów.

Musiał się skupić. Czekwały go krótkie poszukiwania, a następnie rozmowa, w której pokładał duże nadzieje. Spakował telefon do kieszeni, włożył kurtkę i zrobił parę kroków w stronę wyjścia.

– Muszę lecieć, więc...

– Czy to ma związek z twoimi dłońmi? – zapytała, wciąż siedząc za stołem.

– Nigdy się nie poddajesz, co?

– A jak myślisz?

– Myślę, że dzięki temu masz zadatki na niezłego glinę.

Komplement sprawił, że sierżantka Winter się uśmiechnęła, ale Redfern już tego nie widział. Za bardzo spieszył się do Pirbright.

Poniedziałek, 9.12.2013, południe

Spodziewał się, że poszukiwania mężczyzny zajmą mu więcej czasu, jednak podobnie jak w każdej małej miejscowości sąsiedzka sieć



informacyjna działała lepiej niż wywiad Jej Królewskiej Mości i po wizycie w pubie wiedział, dokąd się udać. Poprosił jeszcze barmana o sprzedanie mu jedynej broni, jaka mogła zadziałać w takich przypadkach. Butelka wypchała mu kieszeń kurtki, mocno ją obciążając. Drogę do rozpadającej się chaty u podnóża Furzehill przebył pieszo, uznawszy, że i tak nie będzie miał gdzie zaparkować. Minął kościół i dom pastora Addisona, który mimo ponurej aury wciąż pozostawał ciemny.

Podążając dalej błotnistą drogą, czuł, jak woda napływa mu do butów. Starał się omijać głębsze kałuże, a kiedy tylko mógł, wchodził na wyższy nasyp porośnięty trawą. Po kilkuset metrach dał sobie spokój i brodził w lodowatej brei, aż dotarł do skrzyżowania ze Stanley Hill. Podobnie jak dom pastora chata Bevana wydawała się skuta ciemnością, ale Redfern znał powód. Wczoraj wieczorem Marcus został odtransportowany do łóżka przez kolegów z pubu i najpewniej do tej pory się stamtąd nie ruszył. Redfern niechętnie wszedł na podwórko, które przypominało połączenie złomowiska z niewielkim rozlewiskiem. Pod warstwą brązowej wody nigdzie nie zauważył chodnika, więc ruszył na przełaj, nie dbając o i tak już mokre stopy. Gdy podszedł do drzwi, przez uchylone okno usłyszał chrapanie właściciela. Zapukał w ramę, ale ani ton, ani rytm oddechu Bevana się nie zmienił, więc Redfern złapał za klamkę i wszedł do środka. W myślach podziękował za otwarte okno, które najpewniej stanowiło jedyną wentylację domu. Gdyby nie ono, z pewnością by zwymiotował. Zapach wymiocin, odchodów i alkoholu utworzył mieszankę, która przywodziła na myśl najgorsze meliny Woking.

Bevan leżał na wznak na materacu na środku pokoju, który prawdopodobnie był kuchnią, choć Redfern nie zauważył kuchenki ani zlewu. Chcąc jak najszybciej mieć rozmowę za sobą, podszedł do Marcusa i szarpnął za kurtkę, w której spał, ale odpowiedział mu tylko przeciągły jęk, więc spróbował jeszcze mocniej. Mężczyzna uchylił jedno oko.

– Coś za jeden?

– Policja.

– Nie gadam z glinami. – Marcus odwrócił się na drugi bok i warknął: – Spieprzaj pan, łeb mi pęka.

– Może dzięki temu poczujesz się lepiej? – Redfern wyciągnął z kieszeni piwo, które kupił w pubie, i otworzył o parapat. – Masz.

Bevan podniósł się na jednym łokciu i sięgnął po butelkę, ale inspektor odsunął rękę.

– Siadaj, pogadamy – rozkazał, a Marcus usiadł posłusznie, wciąż wpatrując się w trzymaną przez Redferna flaszkę.

– Co chcesz wiedzieć, glino? – mruknął.

– Podobno zasiadasz w radzie parafialnej.

– No i co z tego?

– Jak się tam dostałeś? – zapytał Redfern. – Zawsze wydawało mi się, że w radzie mogą zasiadać tylko szanowani obywatele wsi.

– A bo ja nie jestem szanowany? – zdenerwował się, ale gniew ugrzązł w bełkocie, który z siebie wydawał. – Gołymi rękami mój dziad i ojciec, a później ja budowaliśmy to miasto. Dziadek pułkownikiem był w starej jednostce wojskowej, sam ją tu stawiał, a ojciec też wojskowy. Zaopatrzeniowcem był, nawet wino mszalne w kryzysie potrafił dla żołnierzy załatwić. Najlepsze! Sam próbowałem za dzieciaka – chwalił się Bevan.

Redfern pomyślał, że był to początek jego drogi na dno.

– A ja miałem firmę do spółki z Greenem – kontynuował mężczyzna – ale to złodziej i oszust jest i tak pokombinował, że mnie z firmy wypieprzył, ale z rady parafialnej nie mógł. No to se przychodzę i siedzę. Na złość kutafonowi.

– I głosujesz.

– No głosuję, a co?

– Ano to, że było takie głosowanie nad sprawą Kennetha O'Malleya – powiedział spokojnie Redfern i podał Bevanowi piwo. – Któreś z was wybadało, że kończy się dzierżawa terenu, ale nikt nie chciał sobie w pojedynkę brudzić rąk i osobiście zgłaszać do Woking, więc zdecydowaliście, że zgłosicie ten fakt kolektywnie – mówił Redfern, ale miał wrażenie, że nie wszystkie słowa były dla pijaka zrozumiałe, bo wziął wielki łyk piwa, po czym patrzył tępo w butelkę. – Mogliście poczekać do śmierci Alberta O'Malleya i byłoby po sprawie. Kenneth nie

odziedziczyłby ziemi i gładko przesłaby w posiadanie urzędu gminy, ale na was czekały już inwestycje. Stanleyowie mieli umowę z Instytutem Pirbright, Ben Green miał być podwykonawcą robót na Vine Hill. Nie chcieliście czekać, więc się zmówiliście.

– Ten staruch nie chciał umrzeć – warknął Bevan i znów podniósł butelkę do ust.

– Zostało mu może z pół roku życia – oznajmił Redfern.

– Ta, a na zebraniach to aż wstawał z tego swojego wózka i gromy ciskał. Silniejszy jest, niż ci się, glino, wydaje.

– No więc było głosowanie, które wyglądało tak: za byli Stanleyowie, pastor Addison, Kalulu M’Hali oraz oczywiście Green. Ta piątka miała najwięcej do ugrania na sprawie. Przeciwko była dyrektorka szkoły, właściciel pubu, sołtys, który bał się utraty stołka, gdy miasto się powiększy, oraz właściciel sklepu ogrodniczego, ponieważ w planach była budowa marketu. Zostałeś ty. Nie chciałeś głosować za, bo to by oznaczało, że Green jeszcze bardziej się wzbogaci, a jednak twój głos przeważył. Pytanie brzmi: ile ci zapłacili?

– Wystarczyło na miesiąc dobrego życia. – Bevan dokończył piwo, ale nie odstawił butelki, tylko zabrał się do obskubywania etykiety.

Wbrew oczekiwaniom Redferna jego wzrok stał się bardziej trzeźwy, a mowa wyraźniejsza. Postanowił zadać jeszcze jedno pytanie, na które odpowiedź najpewniej nie miała związku ze śmiercią Kennetha, ale zaspokoila by ciekawość inspektora.

– Jeszcze jedna rzecz – rzucił od niechcenia. – Twoja żona, Caroline. Dlaczego tak bardzo troszczy się o O’Malleyów?

– Nie wspominaj tej baby przy mnie! Lesba pieprzona! – Bevan cisnął butelką o ścianę tak, że rozpadła się na tysiące kawałków, zasypując podłogę szkłem, które przypominało szmaragdy. Musiał miotać tak często, bo w murze Redfern zauważył wgłębienia podobne do tego, które zrobiła najnowsza flaszka. – Zostawiła mnie, a kiedy wróciła, zażądała domu! – Mężczyzna wciąż krzyczał. – Mojego domu!

– To był chyba jej rodzinny dom – podsunął Redfern, a Bevan zamilkł i rzucił mu nienawistne spojrzenie.

– No i co z tego, że rodzinny, jak zaraz go sprzedała jakimś obcym? Nawet dwóch lat nie pomieszkała i sprzedała, a mnie na bruk wypieprzyła jak psa! Trzysta tysięcy za niego wzięła, a mnie pensa z tego nie dała.

Redfern chciał skomentować fakt, że przez kilkanaście lat Bevan mieszkał w domu żony, podczas gdy ona z dwójką dzieci musiała uciekać przed mężem furiatem. Uważał, że Caroline Bevan była stanowczo za dobra jak na to, co ją spotkało, a los jej męża okazał się niewielką karą. Wychodząc z podwórka, inspektor wciąż słyszał pijackie pokrzykiwania mężczyzny, ale nie umiał mu współczuć. Brzydził się przemocą wobec kobiet i miał ku temu wiele osobistych powodów.

Poniedziałek, 9.12.2013, popołudnie

Vine Hill spowiła lodowata mgła, przez którą przebijało się mleczone światło z okien domu Alberta O'Malleya. Redfern przypuszczał, że tam spotka Caroline Bevan, i nie pomylił się. Otworzyła mu drzwi, gdy tylko zapukał, i zaprosiła do środka. Redfern przyglądał się z uwagą, jak rękami brudnymi od sadzy robi porządek wokół pieca, obok którego stało wiadro z popiołem. Albert siedział w swoim łóżku w czystej pościeli i nie wychodził z roli zarządcy.

– Nabrudziłaś tylko w izbie – skarcił ją, ale ona nie pozostawała mu dłużna.

– Było nie pchać tyle papierzysek do paleniska. Więcej z tego dymu i popiołu niż ciepła!

– Zimno mi było, to sobie napaliłem!

– Dobrze, że chociaż rękawiczek użyłeś, bo jeszcze byś pościel ufajdał. – Caroline weszła w ten sam zrzędlawy ton, co starzec, choć zupełnie to do niej nie pasowało.

– A pan co tak stoisz? – O'Malley zwrócił się do Redferna, który utknął w progu speszony kłótnią. – Znalazł pan mordercę mojego syna? Znalazł

pan?

– Właściwie to przyjechałem do Caroline – odparł, nie zamierzając się tłumaczyć.

– Jeszcze Kenneth nie ostygł, a już sobie nowego przygruchałaś? – Starzec zaśmiał się szpetnie i zaniósł się kaszlem. Chwycił chusteczkę, która leżała na podołku, i przystawił sobie do ust. Biała bibuła zmieniła kolor na czerwony. Mężczyzna wytarł usta, zmiął ją szybko i wyrzucił do stojącego obok łóżka kosza, który w jednej trzeciej był wypełniony takimi samymi zwiwkami.

– Albert, weź ty lepiej połknij swoje lekarstwa. – Caroline podniosła się z kolan, zamykając z hukiem piec, w którym wesoło trzaskał ogień. – Może wyjdziemy? – zaproponowała Redfernowi.

– A pan niech nie staje w konkury, tylko znajdzie mordercę mojego syna!  
– Dotarło do nich, gdy stali w korytarzu. Kobieta westchnęła głęboko jak udręczony psychicznie człowiek i zamknęła drzwi.

– O czym chciał pan porozmawiać?

– O pani.

– O mnie? A to mnie pan zaskoczył. – Uśmiechnęła się. – Jak o mnie, to może napijemy się herbaty?

– Bardzo chętnie – odparł Redfern, który od momentu zamknięcia drzwi przez Caroline zrobił się spokojny. Wszystko stało się jasne, więc mógł po prostu wypić kubek złotego napoju z najciekawszą osobą, jaką spotkał w życiu.



– Wszystko, co pan mówi, jest tylko w połowie prawdą – oznajmiła ciepło Caroline Bevan, stawiając przed Redfermem kolejny talerzyk z ciastem marchewkowym i kubek herbaty.

– A co się nie zgadza?

– Marlene O’Malley nie uciekła od Kennetha, bo ją bił, ale dlatego, że się zakochała. Nigdy nie podniósł na nią ręki, bo ją kochał. To był naprawdę dobry człowiek, a winę za to, kim się stał, ponoszę wyłącznie ja.

Redfern ukroił sobie kawałek ciasta. Nie zamierzał przerywać Caroline jej opowieści, która sprawiała, że za każdą minutą lubił kobietę coraz bardziej.

– To ja namówiłam Marlene do ucieczki – wyznała, ale nie było w tym smutku. – Zrobiłyśmy otoczkę, że niby Kenneth był brutalem tak jak ten mój, żeby móc spokojnie odejść z Pirbright. Znalazłyśmy dom w Walii, w Barmouth... albo jak kto woli: w Gwynedd.

– Walia?

– Tak – potwierdziła. – Tam byłyśmy anonimowe, nikt nas o nic nie pytał. Miałam trochę oszczędności po rodzicach, więc kupiłyśmy za bezcen dom niedaleko plaży, wynajmowałyśmy pokoje turystom i spokojnie wychowywałyśmy dzieci. A wie pan, co by się działo, gdybyśmy zostały w Pirbright i ktoś by się o nas dowiedział? Nasza miłość zostałaby spalona na stosie, a my razem z nią.

– Najpewniej tak by się stało – rzekł smutno Redfern i odłożył widelczyk na spodek.

– Takie były czasy, nie? Ale myślę, że niejeden z White Hart chętnie naplułby nam w twarz nawet dziś. A co my komuś byłyśmy winne? – Pytanie rozplynęło się w powietrzu jak dym, sprawiając, że oczy Caroline się zaszkliły. – Marlene zmarła parę lat temu, a ja zostałam sama. Postanowiłam odzyskać dom moich rodziców od mojego męża.

– Chciała pani przekazać pieniądze na leczenie Matthew, prawda? To pani jest tą ciocią, która pomaga Jackowi.

– Sporo pan wie – przyznała kobieta. – Tak, chciałam pieniędzy dla Matthew, przecież to mój wnuk! Wychowywałyśmy Jacka i moje dzieciaki razem. Może pan mówić, co chce, ale byliśmy rodziną, wspaniałą rodziną.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – zapewnił Redfern. – To pani dała Kennethowi te trzysta tysięcy, które pojawiły się na jego koncie?

– Tak. Miał je wpłacić, żeby móc wziąć udział w aukcji, a potem oddać, co też się stało. Niech mnie pan nie pyta, jak to działa. W każdym razie

wśród przedmiotów ze strychu było coś, co miało pomóc Kennethowi stanąć na nogi, zatrzymać to szaleństwo z Vine Hill. Nie powiedział jednak, co to było.

– Nie zapytała pani? – Redfern był zawiedziony. Jego spokój powoli topniał.

– Pytałam, ale kazał mi sobie zaufać. Nie miałam podstaw, by tego nie zrobić.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani, że Kenneth pojechał do Londynu do Christie's?

– Nie wiedziałam, co się dokładnie wtedy stało, więc uznałam, że pewnie poszarpał się z kimś w barze i dlatego miał zniszczoną marynarkę. Gdybym to panu powiedziała, pewnie uznałby pan, że wtedy spotkał się z mordercą, a to odwiódłoby pana od prawdy.

– A jaka jest prawda?

– Nawet nie wie pan, ile bym dała, żeby się dowiedzieć. Wiele osób nie lubiło Kennetha, ale żeby zabić? Wciąż nie mogę tego pojąć.

– Więc wróciła pani z powodu wyrzutów sumienia? – Redfern zmienił temat. Był przekonany, że Caroline Bevan nie wie, kto pozbawił życia mężczyznę.

– Pracowałam u niego wcześniej, więc uznałam, że po powrocie da mi pracę, i się nie pomyliłam. – Zawiesiła na chwilę głos. Upiła łyk herbaty, po czym dodała z żalem: – Odebrałam Kennethowi szansę na wychowanie syna, zrobiłam go potworem w oczach ludzi w Pirbright. Miałam do spłacenia dług i zamierzam go spłacić.

– Co będzie z domem? – Redfern omiótł wzrokiem kuchnię, za której oknami noc rozpostarła swe krucze skrzydła.

– Musimy się wyprowadzić do końca roku – odpowiedziała Caroline, ale w jej głosie nie było smutku. Wskazała na leżącą na stole szarą kopertę. – Urząd miasta przyznał właśnie Albertowi mieszkanie w Woking, a ja będę się nim zajmować jako opiekunka. Sprzedałam już wszystkie konie w imieniu Jacka, który jest spadkobiercą Kennetha. Jutro przyjeżdżają kupcy, więc... Sam pan rozumie.

– Tak, oczywiście. – Redfern odchrząknął i wstał od stołu.

W korytarzu dobiegł ich chrapliwy oddech Alberta O'Malleya. Caroline, nie zapalając światła, odprowadziła Redferna do drzwi.

– Poradzi sobie pani?

– Jak zawsze, inspektorze. – Znów uśmiechnęła się ciepło i pokiwała z przekonaniem głową, a w jej oczach malował się dziwny spokój, jaki Redfern widział u skazańców, którzy spędzili w więzieniu tyle lat, że mogli być pewni planu każdego dnia.

Jechał do domu, myśląc o historii dwóch zakochanych w sobie kobiet. Obrazami wyobraźni uzupełniał wieczorną opowieść Caroline o tym, jak Marlene O'Malley zaglądała do stajni, by porozmawiać. Wciąż szukała jej towarzystwa, jakby chciała uciec przed samotnością, którą w prezencie ślubnym dostała od zakochanego wyłącznie w pracy Kennetha. Tego wieczora Caroline Bevan pięknymi słowami opisywała rodzące się między nimi uczucie. Mówiła też o desperacji kierującej obiema kobietami w ucieczce od świata, który nigdy by ich nie zrozumiał i nie zaakceptował. Tego brakło Adrianowi Bonesowi w walce o siebie – siły i determinacji. Z ukłuciem wstydu David pomyślał, że sam nie okazał mu nigdy wsparcia i choć wiedział, że to nie przywróci przyjacielowi życia, nie pozwoli, by zagadka jego śmierci została nierozwiązana.

Z tą myślą zaparkował przy Princess Road, na której unosił się zapach jakiejś aromatycznej potrawy. Redfern pomyślał, że Siwiaszczyk dba o niego jak nikt inny, i był mu za to ogromnie wdzięczny. Z ochotą szedł więc w dół chodnika prowadzącego do bungalowu, jednak radość zgasiło podejrzenie, że potrawa może nie być przeznaczona dla niego.

Aby szybciej się o tym przekonać, przyspieszył kroku.

Poniedziałek, 9.12.2013, wieczór

Objedzony do granic możliwości siedział przy biurku, a po kubkach smakowych wciąż szalał mu smak wołowiny w sosie z suszonych grzybów,



a także klusek śląskich i ćwikły. W duchu podziękował ciotce, że wpakowała te skarby lasu Siwaszczykowi do kraciastej torby rumunki.

Wciąż nie dawało mu spokoju, dlaczego pastor wyjechał, a w głowie kołatała mu nazwa miejscowości, do której udał się Addison. Denbigh, przypomniał sobie i wpisał do wyszukiwarki. Pierwsza wyświetliła mu się szkoła w Milton Keynes, ale z boku zobaczył zdjęcie z Wikipedii i podpis: „Denbigh – miasto w Walii”. Kliknął na link i już wiedział. Na liście sławnych mieszkańców widniał Henry Morton Stanley, którego statua wzbudzała tak wiele kontrowersji. Biskup St. Asaph postulował zdjęcie pomnika jako przejawu białej supremacji i uciśnienia ciemnoskórych. Wielu ludzi było temu przeciwnych, podnosili argument o zakłamywaniu historii i chcieli przeniesienia pomnika. Redfern przejrzał kilka artykułów na ten temat i jedyne, co cisnęło się mu na usta, to „efekt marmite”.

Nie mógł zrozumieć tylko, co w Denbigh robił pastor z Pirbright w Surrey. Odpowiedź przyszła wraz z ostatnim artykułem, gdzie obok tytułu biskupa dziennikarz pokusił się o nazwisko – Addison – i zdjęcie, na którym uchwycono trochę starszą wersję pastora. Redfern był pewien, że wizyta u brata nie była przypadkowa i mogła być związana z wydarzeniami w małym miasteczku. Inspektor wciąż błędził myślami po nazwiskach, które wiele razy pojawiały się w aktach, ale jedyne powiązanie, jakie dla nich znajdował, miało twarz kontrowersyjnego pomnika.

Spojrzał na szafkę nocną, gdzie wciąż leżała książka autorstwa George’a Bidwella, i sięgnął po nią. Płócienna okładka, mimo zniszczenia, była przyjemna w dotyku, a poźółkłe, wypadające z grzbietu kartki wskazywały na to, że przeszła przez wiele par rąk i cieszyła swą zawartością wiele par oczu. Redfern ostrożnie rozłożył wolumin na biurku, by nie narażać go na jeszcze większe sfatygowanie. Kartkował pachnące starością strony, co jakiś czas natrafiając na rysunki z wypraw Henry’ego Mortona Stanleya. Inspektor prześlizgiwał się wzrokiem po tekście, co jakiś czas wyłapując słowa świadczące o tym, że poszukiwania doktora Livingstone’a były przepełnione niebezpieczeństwami i nadludzkim wysiłkiem. Kiedy dotarł do strony sto dziewiątej, zamarł. Spojrzał nerwowo na zegarek w komputerze, ale wiedział, że na telefon jest za późno, tym bardziej że

zegary w Belgii idą godzinę do przodu. Pozostało mu przekopywać internet w nadziei, że przyniesie odpowiedzi. Te jednak nie napływały.

Zerknął jeszcze raz na książkę o Stanleyu. Na ostatniej stronie widniało zdjęcie monumentu, pod którym spoczywał protoplasta rodu, ale Redfern wiedział, że to nie tam należy wypatrywać skarbu, którego wszyscy szukali, a który znalazł Kenneth O'Malley.



# ROZDZIAŁ X

Wtorek, 10.12.2013, rano

Obudziła go panująca w domu cisza, ale nie zaniepokoił się. Wiedział, że na dziadka jest jeszcze za wcześnie. Leżał przez chwilę w łóżku, zastanawiając się, jak rozegrać sprawę Kennetha O'Malleya. Wydana w latach sześćdziesiątych książka niespodziewanie przyniosła odpowiedzi na wszystkie pytania, ale musiał się upewnić, czy dobrze poukładał klocki tej układanki.

Nie mógł dłużej spać, więc zapalił lampkę nocną i wstał. Poszedł do kuchni i nastawił czajnik. W lodówce znalazł pełne zaopatrzenie i pomyślał, że ten dom i on sam jeszcze funkcjonują, bo Siwiaszczyk trzyma wszystko w garści. Z wdzięczności wydzielił Banditowi plasterek szynki, która natychmiast zniknęła w rozdziawionym radośnie pysku. Sam zjadł jogurt i popił gorącą herbatą. Zerknął na zegar, którego wskazówki dziś wyjątkowo złośliwie przesuwają się bardzo wolno. Do otwarcia belgijskiego muzeum pozostały dwie godziny.

Zastanawiał się, co powinien zrobić najpierw, kiedy zakończy sprawę Kennetha O'Malleya. Wciąż myślał, czy pierwszych kroków nie skierować do Dover i sierżanta Vishnavy Burkulego, któremu obiecał wyjaśnienie wątpliwości związanych z wyłowionym z morza topielcem. Za argument koronny uznał wodę morską znalezioną w lalce. Odcisk palca musiał być przypadkowy. Palacz, czyszcząc upiornego seksmanekina, najwyraźniej pomyłkowo pominął ten niewielki fragment i zostawił ślad. Kluczowa

pozostawała więc woda. Redfern miał niejasne przeczucie, że tam, skąd pochodzi próbka, musi znajdować się Marta, a jedyną znajomą osobą, która znała Dover, był sierżant Burkule.

Spojrzał na komputer Ronalda Rudda, który wciąż pozostawał zagadką. Tabele w Excelu wciąż nie wyjaśniły niczego i Redfern pomyślał, że Palacz zna do nich klucz, a ich zawartość jest dla niego na tyle cenna, że posunął się do ostateczności. Inspektor ze złością stwierdził, że odda mu go bez zadawania pytań, jeśli to jedyny sposób, by odzyskać Martę.

Niepostrzeżenie słońce zalało świat zimnym światłem, oznajmiając początek dnia. Redfern spojrzął na zegar. Miał kwadrans, który wykorzystał na przyrządzenie dziadkowi kanapek i wzięcie prysznic.

Kiedy wychodził z łazienki, drzwi do pokoju Siwiaszczyka wciąż były zamknięte, a przez szybę wзираła ciemność. Zmartwiło go zmęczenie staruszka i obiecał sobie, że gdy to wszystko się skończy, zabierze go na porządny przegląd do prywatnego lekarza.

Rażony tą myślą, przystanął w pół kroku, zastanawiając się, czy nie poniosła go wyobraźnia. Z nadzieją, że ten klocek układanki scali obrazek, podszedł do komputera i wpisał w wyszukiwarkę nazwisko lekarza, którego spotkał w Furzehill, a którego najwyraźniej nie lubił Stuart. Sięgnął po telefon i wybrał jego numer.

– Dzień dobry, doktorze. Mówi inspektor Redfern. Spotkaliśmy się na schodach Willi Stanleyów parę dni temu.

– Tak, pamiętam – zapewnił Gladstone. – Byłem na wizycie kontrolnej. W czym mogę pomóc?

– Chciałbym wiedzieć, jak się czuje lady Celia.

– Nie jestem pewien, czy mogę udzielać takich informacji. – Zmieszał się.

– Myślę, że nawet pan powinien. Zamierzałem ją odwiedzić, by ją przesłuchać w sprawie śmierci Kennetha O'Malleya, ale zanim się tam wybiorę, chciałbym wiedzieć, jak ona się czuje.

– Bardzo źle. Sugerowałem nawet, żeby przenieść ją do szpitala, ale sir Michael chce mieć matkę przy sobie, co zresztą jest zrozumiałe, bo bardzo ją kocha. Otoczył ją opieką, zatrudnił pielęgniarkę. Myślę jednak, że wizyta

policji mogłaby ją bardzo osłabić. Jeśli nie jest to konieczne, to proszę oszczędzić jej tego wysiłku.

Po kilku minutach rozmowy z doktorem Gladstone'em wiedział już prawie wszystko. Potrzebował tylko zadzwonić w jeszcze jedno miejsce.

Zamknął drzwi do pokoju i wybrał znaleziony na stronie Królewskiego Muzeum Afryki Środkowej numer. Po kilku sygnałach odebrała kobieta. Redfern zapytał ją uprzejmie, czy mówi po angielsku, na co ona roześmiała się serdecznie i potwierdziła, przechodząc płynnie na język Szekspira, ale ze spodziewanym akcentem.

– Chciałbym zapytać o państwa kolekcję pamiątek po Henrym Mortonie Stanleyu.

– Oczywiście, proszę pytać. Tak się składa, że od lat jestem opiekunką tej wystawy.

– Doskonale. Czy zatem może mi pani przybliżyć ten zbiór?

– Pierwszą część otrzymaliśmy w darze od syna Stanleya, Denzila. Drugą zakupiliśmy od jego spadkobierców. Wszystko miało miejsce w Londynie podczas aukcji. Wystawa od lat cieszy się dużą popularnością.

– A czy mają państwo na niej tabakierę?

– Tę, którą sir Stanley otrzymał od królowej Wiktorii za znalezienie doktora Livingstone'a?

– Dokładnie tę – potwierdził Redfern, wciąż patrząc na stronę książki Bidwella, na której widniał odznaczający się złożony kursywą, przetłumaczony nieco niedokładnie napis: „Prezent Jej Królewskiej Mości dla Pana Henryka Stanleya w uznaniu jego przezorności, odwagi i zapału, jakie okazał w odnalezieniu i nawiązaniu kontaktu z doktorem Livingstone'em, w ten sposób uspokoiwszy powszechną opinię, zatroskaną losem tego wybitnego podróżnika”[\[1\]](#).

– Niestety tego skarbu nie udało nam się pozyskać – odparła kobieta nieco zawiedzionym tonem – ale nie była ona też przedmiotem aukcji. Myślę, że Brytyjczycy będą ją chcieli zatrzymać u siebie i pojawi się niespodziewanie w jakimś muzeum.

– Czyli nie wiadomo, co się z nią stało?

– Jak dotąd nie, ale myślę, że jest po prostu w prywatnych rękach – odparła. – Widziałam stare rysunki i opisy. Złoto i sześćdziesiąt brylantów oraz wygrawerowany napis o wdzięczności samej królowej. Wspaniale byłoby móc ją wziąć do rąk lub chociaż zobaczyć.

– O, tak – potwierdził Redfern gorliwie, ale przyświecał mu inny niż muzealniczce powód. W małym pudełku jak w kapsule czasu zakłete były oddechy przeszłości, które raz wypuszczone, miały przejść tornadem przez współczesne małe miasteczko.

Żegnając się z kobietą i odkładając telefon na biurko, zdał sobie sprawę, że zanim pojedzie do Pirbright, będzie musiał odwiedzić jeszcze dwa punkty na mapie Woking. Miał tylko nadzieję, że zdąży dotrzeć do miasteczka jeszcze przed południem. Na szczęście Di Stiff zgodziła się na jego warunki i kazała przyjechać w umówione miejsce. Drugi punkt miał po drodze, choć wspinaczka po drabinie napawała go lękiem.

Wtorek, 10.12.2013, południe

Miejska świetlica znajdowała się w ceglanym budynku przy zielonych terenach okalających staw, na którym Redfern nie zauważył kaczek. Prawdopodobnie wygoniła je temperatura. Woda, która uległa pierwszym przymrozkom i zaczęła się dziwnie marszczyć przy powierzchni, zdradzała obecność warstewki lodu. Zacierając z zimna dłonie, inspektor pomyślał, że w takich momentach ptakom przyda się pomoc i w najbliższym czasie przyjedzie tu z dziadkiem, by wysypać trochę pokrojonych warzyw. Z tą myślą wszedł do budynku świetlicy, która ku jego zaskoczeniu nie otuliła go ciepłym powietrzem z wilgotnym, lekko zatęchłym oparem. Od pustego hallu odchodziło kilkoro drzwi, ale tylko za jednymi dostrzegł światło, zdawało mu się, że słyszy też szepty. Zapukał i po usłyszeniu zaproszenia wszedł do środka.

– O, pan inspektor – ucieszył się Green, który był wdzięczny, że Redfern nie zgłosił kradzieży. Nie wiedział jeszcze, że decyzję o przekazaniu informacji odpowiedniej komórce policjant tylko odłożył w czasie.

– Dzień dobry państwu. Widzę, że jesteście niemal w komplecie – skomentował nieobecność lady Stanley i Marcusa Bevana, który z pewnością nie był w stanie podnieść się z materaca w zapadłej chacie przy Furzehill. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam ważne informacje odnośnie do śmierci Kennetha O'Malleya.

– Całe szczęście – powiedziała z wdzięcznością Caroline Bevan, która stała za wózkiem Alberta O'Malleya. Stary człowiek poprawił się na siedzisku w oczekiwaniu na wieści.

– Zaczniemy od pana, pastorze Addison, bo myślę, że tak będzie najłatwiej zrozumieć, co stało się na cmentarzu – rozpoczął Redfern i zajął miejsce za stołem, wokół którego siedzieli członkowie rady. – Przyjaźnił się pan ze świętej pamięci George'em Stanleyem od najmłodszych lat, prawda?

– Oczywiście – odparł z dumą pastor. Jego twarz nosiła znamiona niedawno odbytej dalekiej podróży, co dodatkowo podkreślała wymięta szara koszula.

– A najwyższym dowodem tej przyjaźni i zaufania – ciągnął Redfern – był fakt, że przed śmiercią powierzył panu pieczę nad swoją największą tajemnicą, drogocennym skarbem. Zgadza się, pastorze?

– Tak, przyjaźniliśmy się z George'em bardzo, ale o jakiej tajemnicy pan mówi?

– O tabakierze – oznajmił Redfern.

– Ach, to o nią chodzi. – Pastor uśmiechnął się lekko. – Tak, powiedział mi, że tam jest zabezpieczenie dla jego ukochanego, jak podkreślał, syna i on będzie wiedział, jak go użyć, czego do tej pory nie rozumiem. Nawet nie wiem, gdzie ona jest. Zresztą życzeniem George'a najwyraźniej było, żeby tak pozostało. Lubił tajemnice. – Pastor wzruszył ramionami, wydymając przy tym wargi, jakby nic go to nie obchodziło.

– Racja, nie wiedział pastor, gdzie ona jest. – Redfern machnął ręką. – Ale to nie George'a życzeniem było, by pozostała na swoim miejscu, tylko pańskim.



– Nie rozumiem.

– Też tego nie rozumiałem, aż do dziś. Jednakże pana olśniło znacznie wcześniej, pastorze. Gdy zobaczył leżącego na ziemi Kennetha O'Malleya i skrzywiony wiatrowskaz, wszystko nagle ułożyło się w całość, prawda? Bo to Kenneth O'Malley był tym ukochanym synem George'a Stanleya i to on odkrył, gdzie jest skarb. W przeciwieństwie do pana wiedział też, jak użyć tabakiery, bo to nie było jasne.

– Co? – zapytała dyrektorka szkoły.

– Testament George'a, w którym wszystko zapisał prawdziwemu synowi. Nikt nie wypowiedział ani słowa, więc Redfern kontynuował.

– Wspiąłem się nawet na dach, do samego wiatrowskazu, by to sprawdzić. Byłem jednak pewien, że w kuli pod nim będzie wyłącznie cenna tabakiera, którą Kenneth mógłby sprzedać. Jest warta więcej niż jego ziemia. Tymczasem w puzderku znalazłem ostatnią wolę George'a, który zapisał wszystko swojemu prawowitemu dziedzicowi.

– Co za bzdury pan opowiada! – wykrzyknął Michael Stanley. – To ja jestem synem George'a! Ja!

– Ale przecież tabakiera jest za mała, żeby w niej ukryć cały dokument – zaprotestowała kobieta, nie zwracając uwagi na purpurowiejącego mężczyznę.

– Bo nie ma w niej testamentu – oznajmił Redfern.

Wyciągnął z kieszeni małe granatowo-złote puzderko wysadzone kamieniami i położył na stole, a przez salę parafialną przebiegł szmer. Część zebranych wydała z siebie cichy okrzyk, inni wstrzymali oddech, wpatrując się w drogocenny przedmiot. Inspektor uchylił wieczko i zaprezentował puste wnętrze. Nikt się nie poruszył, obserwując, jak Redfern wyjmuje mały scyzoryk i podważa wyściółkę. Po chwili położył przed zebranymi płaskie, owalne drewnienko, na którym ktoś wyrzeźbił inicjały A.L.

– A.L.? – zdziwił się pastor. – Co to niby znaczy?

– Agnes Livingstone – podrzucił Kalulu M'Hali.

– A co ona ma z tym wspólnego? – Michael nie wytrzymał napięcia, ale nagle jego twarz przybrała wyraz, który wskazywał, że w momencie

zadawania pytania dotarło do niego, że zna odpowiedź. – Sekstans.

– Zgadza się – potwierdził Redfern. – George wiedział, że nigdy się go nie pozbędziecie, więc tam umieścił swoją ostatnią wolę. Moi ludzie już się nim zajmują i podejrzewam, że znajdą w nim rulonik, który powie nam prawdę.

– No a jaka jest ta prawda, powie nam pan wreszcie? – niecierpliwił się duchowny.

– Że Kenneth O'Malley jako syn George'a Stanleya jest prawowitym dziedzicem rodzinnej fortuny.

– Bzdura! To Michael jest spadkobiercą! – ryknął pastor.

– Tak. Pańskim, pastorze – oznajmił Redfern, kładąc na stole pocztówkę nadaną do Denbigh. – Swoją drogą bardzo ładne imię, Michael – skomentował Redfern spokojnie. – Jak kościół, który mamy za plecami, St. Michael and All Angels. Chyba nie muszę nic więcej dodawać, pastorze?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, mierząc wzrokiem inspektora i próbując za wszelką cenę nie spojrzeć na otaczających go ludzi.

– „M. jest zabezpieczony” – przeczytał Redfern na głos. – Nadana krótko po narodzinach Michaela Stanleya. Lady Celia wiedziała, kto jest jego ojcem, ale musiała zyskać pewność, że jej mąż tego nie wie. Gdy tylko jasne dla niej było, że sprawy idą po jej myśli, nadała do walijskiego Dinbych, czyli po angielsku Denbigh, niewinną pocztówkę. Patrząc na nią, myślałem, że lady Celia specjalnie wysłała widokówkę z kościołem, bo wiedziała, że w wiatrowskazie znajduje się tabakiera. Nie wziąłem pod uwagę czegoś tak oczywistego jak zwykły przypadek. Lady Celia była zupełnie nieświadoma, że na widokówce jest trop prowadzący do tajemnicy i po latach będzie ona wskazówką dla Kennetha. – Redfern uśmiechnął się do siebie, po czym ciągnął dalej: – W każdym razie George cały czas udawał, że nie wie o zdradzie żony. Nie był głupi, nie chciał skandalu. Przy okazji dziękuję pani, Caroline, że podała mi pani walijską nazwę Barmouth, to w pewien sposób naprowadziło mnie na trop. – Skłonił się lekko w stronę zaskoczonej kobiety i kontynuował: – No, pewnie bym tego nie skojarzył, ale zdradziła pana, pastorze, podróż do rodzinnego miasta, w którym władzę kościelną sprawuje pański starszy brat. Persival Addison,

jak wspomniał lokaj państwa Stanleyów, walczył, by obalić pomnik sławnego podróżnika, a pan przecież był cichym beneficjentem ich fortuny. Lady Stanley nie chciała dawać na kościół, ale Michael nie mógłby już odmówić prawdziwemu ojcu.

– No dobrze, a jak ta cała tabakiera znalazła się w kuli pod wiatrowskazem? – zapytał Kalulu M’Hali.

– Na to pytanie znajdziemy odpowiedź w spisie inwentarza, który został mi właśnie wypożyczony z Centrum Historii Surrey.

Redfern ostrożnie położył brązową książeczkę na blacie i otworzył na zaznaczonej wcześniej stronie, gdzie ktoś zgrabnym pismem odnotował, że na początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego sir George Stanley ufundował remont kościoła, w tym krużganku i wieży, którą zwieńczono złotym smokiem – symbolem świętego Michała. Wszystko było udokumentowane wklejonymi do notesu zdjęciami. Gdy Redfern przyłożył starą widokówkę do jednego z nich, przez salę znów przetoczył się pomruk.

– Jak widzicie państwo, na pocztówce nie ma wiatrowskazu, a pojawia się on właśnie we wpisie sporządzonym zapewne przez pastora. George Stanley ufundował złotego smoka i umieścił w nim tabakierę, nie mówiąc o tym nikomu. Zagrał na nosie panu, pastorze, mówiąc, że zabezpieczył ukochanego syna, bo tym ukochanym synem nie był Michael, tylko Kenneth.

– To bardzo stara księga – wtrącił sołtys, który do tej pory milczał i Redfern był pewien, że ten mały, podobny do spłoszonego szczura człowiek nigdy nie zabierze głosu.

– Tak, z początków dwudziestego wieku – powiedział inspektor, zły, że mu przerwano. – Dlatego mamy tu wklejone na przykład wycinki z gazet świadczące o hojności lady Dorothy Stanley z domu Tennant.

– Tej malarki i żony Mortona – podchwyciła dyrektorka szkoły, która przysunęła ostrożnie rękopis do siebie i z ciekawością zaczęła go kartkować.

– Tej samej – zgodził się Redfern. – Księga uzupełniana była właśnie mniej więcej do lat dziewięćdziesiątych. Potem została przekazana do

archiwum miejskiego, kiedy poszukiwano pamiątek z Pirbright. Kenneth skojarzył tę niewinną pocztówkę i zdjęcie ze spisu i miał podstawy sądzić, że tam znajduje się tabakiera.

– No dobrze, ale nadal nie wiemy, kto zabił Kennetha – powiedziała Caroline Bevan, która w międzyczasie zajęła krzesło między Albertem O'Malleyem a pastorem.

– Wszystko po kolei – uspokoił ją Redfern i przeszedł na drugą stronę stołu. – Zapewne zastanawiacie się, skąd w ogóle Kenneth się dowiedział, że jest spadkobiercą fortuny. Nic prostszego, powiedziała mu o tym sama Celia Stanley.

– A skąd ona wiedziała? Przecież George jej tego nie powiedział. – Na policzki dyrektorki wystąpił rumieniec.

– Nie, nie powiedział. Ona to zrozumiała, kiedy Kenneth odwiedził ją w Furzehill, ale o tym za chwilę.

– Po co miałyby to robić? – zapytał z wściekłością pastor. – Po co wyjawiać prawdę?

– Wiedziała, że w ten sposób może uratuje choć część majątku, który tak ochoczo trwonił w kasynie jej własny syn. Podejrzewam, że chciała też naprawić pewne krzywdy. Podobnie jak wynagrodziła krzywdy osobom związanym z jej przodkami, którzy nie byli święci. – Redfern spojrzał na Kalulu, a ten odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

– No dobrze, a skąd Kenneth wiedział, że ma szukać tabakiery?

– Bo była jedynym przedmiotem, który nie trafił na aukcję, a przecież wiedziała o niej cała Anglia. Taka podarowana przez samą królową Wiktorię, wysadzana diamentami tabakiera nie mogła tak po prostu zniknąć. Kiedy nie znaleziono jej wśród rzeczy odkrytych na strychu, dla Celi stało się jasne, że George gdzieś ją ukrył.

Redfern znów przeszedł parę metrów, a jego kroki niczym wystrzały rozrywały ciszę. Cały czas obserwował zmiany na twarzach słuchaczy, które ku jego zaskoczeniu nie były w pełni zsynchronizowane. Gdy na jednych malowały się kpiące uśmiechy, drugie skuwał szok, a gdy te drugie wydawały się znużone, przez pierwsze przebiegało zdziwienie. Postanowił podzielić się kolejnym odkryciem.

– Pamiętam, że kiedy siedzieliśmy w bawialni w Furzehill, lady Stanley z dużym ożywieniem mówiła, że zerwała kontakty z Kościołem, czemu przestałem się dziwić, kiedy Stuart powiedział mi o pomniku sir Henry’ego w Denbigh w Walii. To było jednak kłamstwo, bo...

– Zaraz – zaskrzeczał Albert O’Malley. – Skoro wiedziała, że może uratować majątek, to czemu nie poszła z tym do jakiegoś adwokata, żeby ustalił ojcostwo George’a względem Kennetha? Albo sama nie powiedziała, że się puściła z klechą? Po co te kombinacje?

– Była za słaba, by gdziekolwiek iść. Nie mogła przecież zwrócić się do syna. Leżała więc w łóżku i modliła się o śmierć, ale niespodziewanie w Furzehill pojawił się Kenneth O’Malley i poprosił o rozmowę. Był zdesperowany, liczył na to, że lady Stanley wspomůže go w walce o ziemię. Nieświadomy Michael zaprowadził go do matki. Celia i Kenneth długo rozmawiali. Podejrzewam, że wtedy mogło paść coś o schorzeniu mężczyzny. Choroba Pageta. Mówi państwu to coś? Lady Stanley z miejsca skojarzyła, bo jej mąż na nią umarł. Choroba Pageta powoduje bowiem nie tylko miękkość i zniekształcanie kości, ale także ślepotę, głuchotę i właśnie niewydolność serca. I jest dziedziczna. Wszystko stało się jasne. Podejrzewała, że za tym może kryć się coś więcej. Nie wiedziała też, czy Kennethowi nie groziłoby niebezpieczeństwo, gdyby jawnie domagał się spadku po George’u. Kazała mu szukać dowodów dyskretnie.

– No chwila! Przecież dopiero co pan mówił, że z nią rozmawiał w salonie – zauważył trzeźwo stary O’Malley. – A teraz twierdzi, że leżała plackiem i przyjmowała gości w sypialni.

Caroline dotknęła kościstej ręki mężczyzny i szepnęła do niego, by się nie denerwował, ale on odtrącił jej dłoń i kazał milczeć.

– Właśnie do tego zmierzałem – odparł Redfern. – Rozmawiałem ze sprytnie przygotowaną do tej roli żoną Stuarta i przyznam, że dałem się nabrać. Pojąłem tę mistyfikację, kiedy spotkałem się ostatnio z Benem Greenem. Powiedział mi, że o skarbie na strychu poinformował lady Celię w ogrodzie, a mnie kobieta, z którą rozmawiałem, z gorliwością oznajmiła, że od dawna nie opuszcza murów domu nawet na krok. Wszyscy o tym wiedzieli. Zabezpieczyła się tym przed wścibskimi oczami mieszkańców

Pirbright. Prawdopodobnie kiedy ja cieszyłem się konwersacją, prawdziwa lady Stanley dogorywała w jednej z dwunastu sypialni.

– Nadal nie wiemy, kto stoi za śmiercią O'Malleya – powiedział wyniośle Michael, któremu nawet wytworny strój nie pomógł zamaskować zażenowania. – Chyba nie przypuszcza pan, że podniosłem rękę na O'Malleya?

– Nie, nie na przyrodniego brata – oznajmił Redfern z krzywym uśmiechem. – Zamknął pan własną matkę przed światem i czekał na jej śmierć, by położyć łapę na całym majątku. To jednak nie przestępstwo, bo cały czas odwiedzał ją wasz lekarz, który zresztą sam mi powiedział, w jakim stanie jest lady Celia.

Redfern nie wiedział, czy Michael skrzywił się bardziej na dźwięk słowa „brat”, czy „lekarz”, ale faktem pozostawało, że zastygł ze zmiętą grymasem twarzą, walcząc, by nic więcej nie powiedzieć.

– A morderca? – dopytała Caroline Bevan.

– Siedzi pani koło niego – odparł krótko Redfern.

Tym razem nikt nie wydał z siebie nawet najcichszego dźwięku. W sali zapanowała kompletna cisza, a wzrok wszystkich skierowany był na Mertona Addisona.

– Nie – szepnął Redfern, a powietrze w sali stało się gęste jak podpełzająca od strony stawu lodowata mgła.

Wtorek, 10.12.2013, popołudnie

Przez mrozący krew w żyłach ułamek sekundy nikt nie był w stanie nic powiedzieć. Mierzyli się wzajemnie wzrokiem, ale Redfern swój od dłuższej chwili trzymał na sprawcy.

– Co pan gada?! – odezwał się starzec na wózku. – Jak mógłbym zabić własnego syna?

– No właśnie nie własnego – oznajmił Redfern. – Nie własnego, panie O'Malley.

– A jak on miał niby to zrobić? – podrzucił ktoś z sali.

– Już opowiadam. George Stanley został ojcem, zanim stanął na ślubnym kobiercu z dużo młodszą Celią. Matką jego dziecka była nauczycielka, a następnie żona Alberta, która niedługo po ślubie powiedziała mu, że jest w ciąży. Albert, szanowany właściciel stadniny, musiał przełknąć tę zniewagę. W przeciwnym razie Pirbright by go zjadło, tak jak lubi pożerać swoje niepokorne dzieci. Nie wiem, co się działo później, ale dopiero w sześćdziesiątym czwartym, kiedy Celia miała ponad trzydzieści lat, przyszło na świat jej pierwsze dziecko, Michael.

– No nieźle, synek, ale ja się pogodziłem z tym, że mam pod dachem bękarta – zaskrzeczał Albert.

– Pogodził się pan, ale postanowił go ukarać za grzechy swojej żony i nie powiedział mu o dzierżawie. Umiera pan i jest panu wszystko jedno, ale nie przewidział pan, że Kenneth tego tak nie zostawi, że zacznie grzebać. Udał się nawet do lady Celii, by ją poprosić o wstawiennictwo, i wtedy się dowiedział. Prawdopodobnie Celia powiedziała, że jej mąż ukrył gdzieś ostatnią wolę, ale są to tylko moje domysły, tak jak i dalszy przebieg feralnego wieczora.

Redfern przerwał w oczekiwaniu jakiejś reakcji ze strony mieszkańców miasteczka, ale nie doczekawszy się komentarza, kontynuował:

– Tamtej nocy pojechał pan za synem. Widział pan mapy i krzyżyki na nich, ale myślał, że Kenneth nie znajdzie dowodu na swoje pochodzenie. Tamtego wieczora przyszedł do chaty ubrany lepiej niż zwykle, bo zamierzał spotkać się z Jackiem i poprosić go o to, by wspiął się na wieżę i ściągnął złotego smoka, pod którym ukryta była tabakiera. Oczywiście nie miał pan pełnego obrazu sytuacji, ale wiedział, że coś się święci.

– Ale jak on to miał niby zrobić? – powtórzył pytanie Ben Green. – Jak znalazł się na cmentarzu?

– Pojechał na swoim wózku akumulatorowym – oznajmił Redfern.

– Niech pan nie będzie śmieszny, nie przejechałby przez rozmokniętą ziemię na swojej farmie, a jazda tą stromizną też jest niebezpieczna nawet

przy suchej nawierzchni.

– Bo nie pojechał główną drogą. – Niespodziewanie głos zabrała Caroline Bevan, która wstała niepostrzeżenie i przeszła pod okno. – Wykorzystał tymczasową drogę stworzoną na potrzeby budowy z drugiej strony zbocza Vine Hill. Kenneth wyłożył płytami nie tylko ścieżkę do swojego domu, ale też poprowadził jedną w stronę lasu, gdzie trakt jest ubity, a potem łączy się z tymczasówką.

– Dziękuję, Caroline – odezwał się Redfern. – Myślę, że tak właśnie było. Pojechał pan na cmentarz, ale nie widział syna, który w tym czasie wspiął się za pomocą rusztowania i drabiny na wieżę. Podejrzewam, że Jack nie przyszedł, więc Kenneth podjął desperacką próbę wspinaczki, ale tylko skrzywił wiatrowskaz.

– To dlatego przestał się obracać – wywnioskowała dyrektorka szkoły.

– Tak, był lekko skrzywiony, czego nie można było zobaczyć z dołu – potwierdził Redfern, mając w pamięci swoją pierwszą wizytę na cmentarzu, kiedy podczas wietrznej pogody złoty smok wciąż wskazywał nieprawidłowy kierunek. – Podejrzewam, że zobaczył pana z góry i zrezygnował z kolejnej próby. W nerwach zostawił opartą o dach drabinę i zszedł po rusztowaniu na ziemię, by zapytać, co pan tam robi. Gdy Kenneth wyznał, co wie, pokłóciliście się. W pewnym momencie wstał pan i uderzył syna kamieniem z grobu jego pradziadka.

Albert uniósł ręce przed siebie i raz za razem uderzał dłonią o dłoń. Ten jednoosobowy aplauz, wsparty demonicznym uśmiechem, sprawił, że zebrani mieszkańcy odwracali wzrok.

– Bardzo ładna bajka, ale nieprawdziwa, jak każda bajka.

– Obawiam się, że dowody świadczą przeciwko panu, panie O'Malley – odrzekł Redfern i sięgnął do kieszeni kurtki po woreczek wypełniony czymś pomarańczowym. – To są rękawiczki, których używał pan w czasie morderstwa.

– To są rękawiczki ogrodowe, których ten chłystek sprzedaje setki w swoim składzie. – Albert obrzucił pogardliwym spojrzeniem właściciela sklepu ogrodniczego. – Więc to pewnie on zabił.



Redfern poczuł, że w kieszeni zawibrowała mu komórka. Spodziewał się SMS-a od Summer, która od godziny pracowała w domu na Vine Hill. Wiadomość, którą przeczytał na ekranie, potwierdziła, że praca idzie zgodnie z przewidywaniami inspektora.

– Na kamieniu, którym roztrzaskano głowę, znaleziono nie tylko gumę, ale i sadzę. Skojarzyłem to z moimi ostatnimi odwiedzinami na Vine Hill. Caroline powiedziała wtedy dwie ważne rzeczy: po pierwsze użył pan papieru do palenia w piecyku, a po drugie skorzystał z rękawiczek. Owymi papierami były mapy i dokumenty, które po morderstwie zabrał pan z domu syna. Moi pracownicy zabezpieczyli resztę, której pan nie spalił, oraz rękawiczki z mikrośladami. Nie muszę chyba mówić, do kogo należą. Naprawdę tak bardzo nie chciał pan, żeby...

– Nie chciałem, żeby ten bękart pławił się w bogactwie, o którym zawsze tak marzyła jego matka. Żeby pan słyszał, jak mówiła o tych Stanleyach! Jak latała tam z każdą pierdołą, żeby tylko zobaczyć się z tym George'em. Nawet jego żonę uczyła francuskiego! A ten niewdzięcznik? Robił dokładnie to samo! To samo! Poświęciłem dla nich życie, a oni nigdy tego nie docenili, zawsze patrzyli w stronę fortuny Stanleyów.

– Tylko że on tej fortuny nie chciał dla siebie – powiedział Redfern. – Chciał pieniędzy na ratowanie wnuka. Syn Jacka, Matthew, potrzebuje najdroższego leku na świecie i Kenneth chciał mu go kupić, a ze swoją biologiczną rodziną pewnie nie zamierzał mieć nic wspólnego. Jak mądrze powiedziała Caroline Bevan, ludzkie serca miękną w obliczu tragedii, więc i Kenneth przewartościował swoje życie.

– Zabierz mnie stąd! Natychmiast! – wrzasnął Albert, a gołe ceglane ściany odpowiedziały upiornym echem. Caroline jednak się nie poruszyła. Schowała twarz w dłoniach. – To chociaż ty! – Wskazał na pastora. – To wszystko twoja wina!

– I tu się z panem zgodzę, bo dochodzimy do momentu znalezienia przez pana Addisona ciała parafianina. Proszę nie wstawać, pastorze. – Redfern podszedł do niego i wymownie dał mu znak, że ma pozostać na swoim miejscu. – Jeszcze nie skończyłem. Otóż wrócił pan z Furzehill Cottage, gdzie umierała żona Kalulu M'Halego, i zobaczył leżącego pod nagrobkiem

Stanleya Kennetha O'Malleya. Stare serce spanikowało i przewiózł go pan do kompostownika, licząc, że nikt nigdy nie zajrzy do ukrytej przed oczami przypadkowych ludzi zagrody i hodowca koni zostanie uznany za zaginionego. Wszyscy wiedzieli o waszym konflikcie. Poza tym wiedział pastor, że jeśli ktoś zacznie grzebać przy sprawie śmierci Kennetha, wszystko wyjdzie na jaw. Musiał pastor sprawić, żeby Kenneth rozpląnął się w powietrzu. Tyle że mężczyzna ocknął się w beczce. W panice pastor sięgnął po pistolet i oddał celny strzał. Stało się jednak coś jeszcze, czego nie udało się przewidzieć. W mroku nocy nie zauważył pastor śladów krwi na pomniku Stanleya, a rano mieli przybyć wierni, którzy z pewnością zobaczyliby czerwone ślady. Najlepszym rozwiązaniem była zasłona dymna, czyli telefon do nas.

– Nie mam z tym nic wspólnego – oznajmił twardo pastor, a jego oczy przybrały barwę burzowego nieba.

– A z tym? – Redfern niczym magik wydobył z kieszeni ostatni rekwizyt i z metalicznym pacnięciem położył go przed Addisonem, który sprawiał wrażenie, że za chwilę zemdleje. – Bardzo sprytnie pan to ukrył. Paszcza plastikowego krokodyla jako kryjówka na stary pistolet. Plan niemal doskonały.

– To nie moje.

– Racja, bo armii brytyjskiej. Dostał go pastor od ojca Marcusa Bevana, który za parę butelek mszalnego wina przyniósł do kościoła stary pistolet. To z niego oddał pastor strzał do kompostownika, w którym O'Malley odzyskał przytomność.

– To straszne – odezwała się Caroline Bevan, która wciąż chowając twarz w dłoniach, kręciła głową.

– Nie podsumowałbym tego lepiej – powiedział Redfern, zdając sobie sprawę, że cały ten obraz przypomina kadr z serialu o słynnym detektywie. Jediną różnicą był wkraczający właśnie do sali patrol mundurowych, którzy z miejsca zatrzymali podejrzanych. Albert O'Malley, prowadzony na wózku przez starszego z policjantów, wciąż wygrażał Redfernowi. Natomiast pastor Merton Addison szedł dumnie wyprostowany, ale kiedy mijał Michaela Stanleya, spuścił głowę i Redfern był pewien, że zobaczył

pojawiające się maleńkie ciemniejsze plamki na szarym materiale wymiętej koszuli.

Dwie skrajne reakcje i dwaj mężczyźni, którym tak drogi był honor rodziny, że zapomnieli o własnym.

Wtorek, 10.12.2013, noc

Wrócił do domu wykończony i głodny. Siwiaszczyk znów stanął na wysokości zadania i zostawił na kuchence wyborny krupnik, który Redfern zjadł prosto z rondla, nawet go nie odgrzawszy. Nie miał na to siły. Rozpracowanie sprawy Kennetha O'Malleya kosztowało go mnóstwo energii. Złożył w swoim policyjnym życiu wiele układanek, ale żadna nie była tak precyzyjna jak ta. Zupełnie jakby jej klocki ktoś wyciął laserem.

Zjedzona zupa zaczęła mu ciążyć i powodować senność. Postanowił odpuścić prysznic i położył się do łóżka. Jutro będzie musiał się zmierzyć z machiną biurokracji, o której już teraz mógł powiedzieć, że go zmiele i wypluje.

Przyłożył głowę do poduszki, ale nie mógł zasnąć. Jego myśli krążyły wokół Jacka O'Malleya, który był spadkobiercą majątku Stanleyów. Redfern zastanawiał się, jak szybko mężczyzna uzyska pieniądze ze spadku i czy zdąży wysłać syna na terapię do Stanów. Czy pójdą na lody i golfa?

Nagle pewna myśl przemknęła mu przez głowę niczym laser, a kolejne klocki wskoczyły na swoje miejsce, choć układanka była już zupełnie inna. Redfern szybko wstał z łóżka i włączył komputer. Nie mógł się mylić. W pośpiechu klikał na mapę. Wstukał nazwę ulicy i przeciągnął zielonego ludzika na Carters Lane. Droga była prywatna, ale podgląd sięgał do miejsca, które go interesowało. Na białej bramie widniała tabliczka informująca o tym, że nie da się tamtędy dojechać do pola golfowego Hoebridge. Redfern oddalił mapę i zobaczył, że do klubu prowadzi słabo oznaczona inna uliczka. Malik Tayyab, porywacz, który dostarczył

dziewczynkę do Woking Palace, pomylił się, jak wielu innych, przez których mieszkańcy Carters Lane musieli postawić tablicę informacyjną. Redfern był pewien, że szef Malika kazał mu zostawić auto w tej niepozornej uliczce nie bez powodu. Nie bez powodu też Ronald Rudd kupił kije golfowe, a mężczyzna, o którym mówiła squatterka, grywał w golfa.

Redfern ubrał się ciepło, spakował do plecaka latarkę i kilka narzędzi, o których pomyślał, że mogą być przydatne, a także służbową broń. Cicho zamknął za sobą drzwi i ruszył w noc.



Wbrew pierwszej myśli nie zaparkował triumpha w uliczce prowadzącej do pola golfowego, ale pojechał dalej, na Carters Lane. Na jego szczęście biała brama była otwarta i mógł zostawić auto na końcu, tuż przy linii oczyszczalni ścieków, która nawet o tej porze mruzczała złowrogo. Widział, że dla bezpieczeństwa powinien kogoś poinformować. Przejrzał krótką listę kontaktów i zdecydował się na ostatnią pozycję, wysyłając wiadomość, gdzie jest i co zamierza zrobić. Wysiadł z samochodu i po raz ostatni rozejrzał się po zasnutej mrokiem okolicy. Był sam.

Redfern rzucił się biegiem szutrową drogą, czując, jak z każdym krokiem wypakowany narzędziami plecak robi się coraz cięższy. Gdy skończyło się ogrodzenie oczyszczalni, skręcił w lewo. Ku jego zdziwieniu przebiegała tamtędy ścieżka publiczna, która rozdzielała teren oczyszczalni na dwie części. Wspomniał słowa posterunkowego Tinneya o tym, że ścieżki publiczne są w Anglii świętością. Szedł kilkaset metrów w pogrążonym w mroku korytarzu krzewów, których gałęzie sprawiały wrażenie, jakby próbowały wydrapać mu oczy. Wreszcie wypadł na polanę, która w tych ciemnościach mogła wydawać się polem golfowym, ale trawa pod stopami była zbyt słabej jakości. Rzucił się więc biegiem, aż dotarł do linii starych drzew. Przeszedł przez drewnianą bramę, na której widniała tablica z logo

Hoebridge i ostrzeżeniem o tym, że wkracza na teren pola golfowego i ma się trzymać ścieżki publicznej. Nie zamierzał.

Na mapie satelitarnej zobaczył, że po prawej stronie, już poza wszystkimi wymuskanymi dołkami, był niewielki czarny kwadrat. Redfern nie był w stanie go przybliżyć na tyle, by stwierdzić, co to jest, ale miał pewność, że idzie w stronę jakiegoś budynku. Po kilkuset metrach wędrówki dotarł do czegoś, co wyglądało jak wystająca z ziemi betonowa kopuła. Redfern obszedł bunkier dookoła, szukając wejścia. Wreszcie światło latarki padło na pokryty rdzą prostokąt drzwi, na których wisiała niewielka nowa kłódka. Dziękując sobie w duchu za zapobiegliwość, wyciągnął z plecaka dwa płaskie klucze i starym sposobem wsadził je w ramię kłódki. Złożył klucze główkami tak, że zahaczyły o pałąk, i ścisnął z całej siły ich ramiona. Kłódka wydała metaliczny jęk i ustąpiła.

Wnętrze bunkra nie różniło się wiele od domu Marcusa Bevana, którego David odwiedził ostatnio. Zapach wydalin ludzkich był nie do zniesienia, a ilość śmieci przewyższała nawet tę w chacie przy Furzehill. Przed nim rozciągał się korytarz od połowy zasnuty nieprzeniknioną czernią. Policjant włączył latarkę i usiłował ocenić, jak jest długi. Możliwe, że ciągnął się do końca budynku i odchodziły od niego jakieś pomieszczenia.

Oprócz wilgoci dokuczało mu zimno, które przenikało do kości. Światło latarki drgało i Redfern zganił się za to, że nie wziął dodatkowych baterii, po czym zrozumiał, że to nie żarówka, ale jego trzęsące się z zimna ręce. Posuwał się powoli do przodu, omiatając latarką poczerwiałe pajęczyny i uciekające przed światłem wielkie pająki. Nie wyczuwał niczyjej obecności i cała nadzieja, która jeszcze kwadrans temu napędzała jego mięśnie, gasła z każdym krokiem. Nagle dotarł do niego trudny do zidentyfikowania dźwięk, jednak w miarę jego trwania Redfern zaczynał go rozpoznawać. Płacz dziecka. Na początku cichy, potem głośniejszy. Nie miał wątpliwości, że na końcu korytarza ktoś płacze.

Nagle coś przemknęło obok jego nóg. Wyraźnie poczuł na wilgotnych spodniach dotyk. Podskoczył, nie mogąc opanować zdenerwowania. W ostatniej sekundzie w kręgu światła uchwycił uniesiony w górę szczecinowaty ogon. Przeklął w duchu zabłąkanego kota i chciał wyjść, ale

w słupie mlecznego światła coś mu mignęło. Na początku nie był pewien, czy zmęczony wzrok nie podsuwa mu obrazów, które chce zobaczyć. W końcu pomieszczenia leżało mnóstwo szmat lub koców, spomiędzy których kasztanową kaskadą wylewały się znajome kosmyki.

– Marta! – szepnął nerwowo i rzucił się do kobiety.

Jej ciało było całkowicie zimne, a powieki zamknięte. Redfern szarpał nią niczym szmacianą lalką, ale Marta nie otworzyła oczu, nie rozciągnęła ust w cudownym uśmiechu.

W tym samym momencie wydarzyły się dwie rzeczy. Redfern poczuł poruszające się lekko palce, a pomieszczenie zalało białe światło, zupełnie go oślepiając.

– David Redfern? Jest pan aresztowany pod zarzutem usiłowania zabójstwa.

[1] Cytat z książki Stanley George’a Bidwella w przekładzie Anny Wirszyło (Warszawa 1963).



## EPILOG

Z tej perspektywy sala przesłuchań wydawała mu się jeszcze gorsza niż wtedy, gdy zasiadał w niej jako przesłuchujący. Agent po drugiej stronie stołu świdrował go wzrokiem, jakby od tego zależała jego najpewniej niedawno rozpoczęta kariera.

Redfern nie musiał się zastanawiać, w jaki sposób agenci tak szybko dotarli do bunkra. Choć siedział przy fenickim lustrze, doskonale wiedział, że stoi za nim agent Zheng Cong Coh. Tylko jego inspektor poinformował, że wybiera się na pole golfowe. Dał się podejść jak dzieciak. Na wspomnienie wieczoru spędzonego przy stole w kuchni zrobiło mu się niedobrze.

Był wdzięczny, że Patricia Bones przyjechała w niecałe pół godziny po tym, jak skorzystał z prawa do telefonu. Była narzeczona siedziała wyprostowana, nie zwracając na niego uwagi, skupiona na tym, co mówi prokuratorka Bente Hansen.

– Powtórzę jeszcze raz: jest pan oskarżony o uprowadzenie, pozbawienie wolności oraz usiłowanie zabójstwa Marty Sokolińskiej.

– Na jakiej podstawie? – rzucił Redfern i poczuł, jak Patricia wymierza mu kopa w kostkę.

– Został pan zatrzymany wraz z ofiarą w nieczynnym bunkrze.

– Przyjechałem na miejsce, by ją ratować...

– Przed czym? – Agent przerwał mu. – Z tego, co mi wiadomo, nie zgłosił pan zaginięcia, mimo że został poinformowany, że Marta



Sokolińska, obywatelka Polski, nie dotarła do kraju, choć powinna była to zrobić dwudziestego czwartego października.

– Nie byłem pewien, czy to zaginięcie, porwanie czy zwykła ucieczka przed problemami. Katarzyna Sławik, która powiadomiła mnie o tym, że Marty nie było na lotnisku, z pewnością to potwierdzi.

– Proszę wybaczyć, ale pański ekwipunek i miejsce zaparkowania auta wcale nie sugerują próby ratowania – wtrąciła się Bente Hansen. – Nikogo pan nie zaalarmował. Pan próbował się po prostu ukryć.

– To jeszcze nie wszystko. – Agent zdawał się nie słuchać. Patrząc w przygotowaną wcześniej teczkę, wyrzucał z siebie słowa ciężkie jak głazy: – Pomijając fakt, że w domu przy Princess Road zabezpieczono komputer Ronalda Rudda, to w pańskim samochodzie znaleźliśmy pod siedzeniem ślady krwi. Podobnie w bagażniku.

Redfern przełknął ślinę, bo wiedział, co zaraz usłyszy.

– Nie ma wątpliwości, że krew należy do pani Marty Sokolińskiej.

Redfern natychmiast skojarzył niedomknięte okno samochodu i wiedział, że to on je zostawił.

– Zastrzeżenia budzi też fakt, że był pan jedyną obcą osobą, która odwiedziła państwa Knightów w ostatnim czasie. Poza tym w pańskim ogrodzie rośnie cis, którego wyciągu użyto do otrucia komendanta.

– Rośnie, jak w połowie Europy – warknął inspektor, co spotkało się z westchnieniem adwokatkę. – Poza tym musiałbym namówić Knighta do zjedzenia pół kubka igieł albo kilkunastu owoców, więc proszę sobie darować te podchody, pani prokurator.

– Nie zaprzeczy pan jednak, że miał środki i sposobność. Brakuje w tym motywu, ale do tego pewnie dojdziemy. Wróćmy jednak do ofiary, która w tej chwili walczy o życie w szpitalu.

Redfern słyszał to wszystko przez ołowianą ścianę swoich myśli. Nie miał siły zagłębiać się w wywód agenta, który w swej tyradzie zdążył wywlec jeszcze obecność inspektora u Wolańskiego. To wszystko nie miało żadnego znaczenia.

Zrozumiał, że dopóki Marta pozostaje w śpiączce, on tak łatwo się nie wywinie.



## PODZIĘKOWANIA

Choć napisałam ich setki tysięcy, wciąż szukam słów, które oddałyby moją radość i wdzięczność za to, że otaczają mnie tak wspaniali ludzie. Ludzie, którzy każdego dnia wspierają mnie w mojej literackiej drodze – rodzina, przyjaciele i Ty, Droga Czytelniczko i Drogi Czytelniku.

Na tej ścieżce za ręce trzymają mnie moi najbliżsi – Paweł i Lena. To oni tworzą mój pełny miłości i zrozumienia dom. Dziękuję Wam, Kochani! Jesteście moją siłą!

Po raz trzeci i z pewnością nie ostatni dziękuję moim wieloletnim przyjaciom za bezustanne trzymanie kciuków i podnoszenie na duchu, gdy droga robi się kręta: Adrianowi Kościelakowi, Štefanowi Sližce, Asi Musiał oraz Kamili Chowaniec.

Magia tej drogi polega także na tym, że pozwoliła przemienić literackich znajomków w przyjaciół. I w tym miejscu pragnę uściskać: Martę Matyszczak, Beatę Sokołowską, Roberta Małeckiego i Marka Stelara, a także Joannę i Marcina Żyndów oraz Bartka Soczówkę, któremu powinnam poświęcić osobny rozdział podziękowań, a i tak nie znalazłaby się tam nawet połowa rzeczy, za które jestem mu wdzięczna.

Natomiast ramię w ramię idę z niesamowitymi ludźmi literatury, którzy odmieniają ją przez wszystkie przypadki. Założę się, że nie wymienię wszystkich, co musicie mi wybaczyć, ale będę się starać. Dziękuję: Marcie Bajor, Asi Chrzanowskiej (pani\_jo\_asia), Ani Czupioł (Literackie Przeszpiegi), Gosi Gostomskiej, Agnieszce Gracy, Ani Sawickiej-Banaszkiewicz (zaczytasy), Ani Szoblik-Golla (park2read), Ewelinie

Szybiak, Zaczytanej Angie oraz Jarkowi Czechowiczowi, Hubertowi Glińskiemu, Robertowi Jasiakowi (Wspieraj Kulturę), Leszkowi Koźmińskiemu, Darkowi Łubkowskemu, Damianowi Matyszczakowi (Kawiarenka Kryminalna) i Robertowi Ostaszewskiemu. Ściskam Was serdecznie!

Natomiast przede mną idą ludzie, którzy nadają kierunek tej ścieżce – redaktor Adrian Tomczyk i redaktorka Aleksandra Deskur. Dziękuję Wam za bezcenną krytykę, rady i poświęcony tej powieści czas! Bezsprzecznie trafił mi się *dream team*!



# SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

EPILOG

PODZIĘKOWANIA